NIEŁATWY DZIEŃ

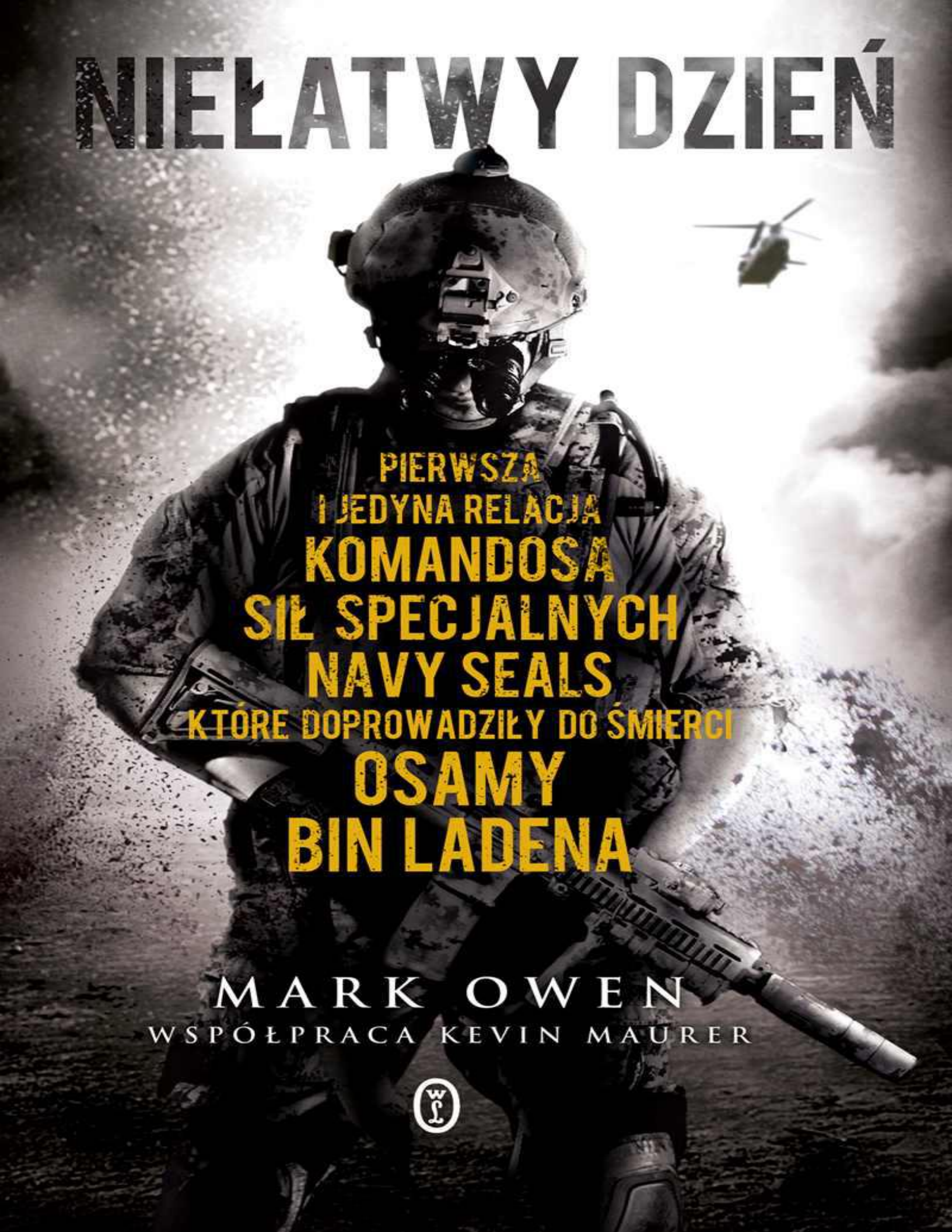

PIERWSZA
I JEDYNA RELACJA
KOMANDOSA
SIŁ SPECJALNYCH
NAVY SEALS
KTÓRE DOPROWADZIŁY DO ŚMIERCI
OSAMY
BIN LADENA

MARK OWEN
WSPÓŁPRACA KEVIN MAURER

PIERWSZA I JEDYNA RELACJA KOMANDOSA
SIŁ SPECJALNYCH NAVY SEAL, KTÓRE
DOPROWADZIŁY DO ŚMIERCI OSAMY BIN LADENA

NIEŁATWY DZIEŃ

Autobiografia komandosa Navy SEAL

Mark Owen
współpraca Kevin Maurer

Przełożył
Łukasz Małecki

Wydawnictwo Literackie

Kraków 2012

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto
Prolog: Chalk One
1. Green Team
2. Pięciu na plus, pięciu na minus
3. Drugi pokład
4. Delta
5. Na szpicy
6. „Maersk Alabama”
7. Długa wojna
8. Kozi szlak
9. Zamieszanie w stolicy
10. Spacerowicz
11. Zabijanie czasu
12. Godzina zero
13. Podejście
14. Chaled
15. Drugie piętro
16. Geronimo
17. Ewakuacja
18. Potwierdzenie
19. Doświadczyć magii
Epilog
Od Autora
Źródła poświadczające

O autorach

Zdjęcia
Operacja *Włócznia Neptuna*
Przypisy

Tytuł oryginału: NO EASY DAY

Opieka redakcyjna: PAWEŁ CIEMNIEWSKI
Konsultacja: MARCIN RAK
Redakcja: BARTOSZ SZOŁUCHA
Korekta: ANNA DOBOSZ, EWA KOCHANOWICZ
Fotografie zamieszczone w książce pochodzą z archiwum autora
Mapy: TRAVIS RIGHTMEYER
Zdjęcia wykorzystane na okładce: NRA Life of Duty/Alamy/Shutterstock
Komputerowe opracowanie okładki na podstawie oryginału: ROBERT KLEEMANN
Redaktor techniczny: BOŻENA KORBUT
Skład i łamanie: Infomarket

Copyright © Mark Owen, 2012
Wszelkie prawa zastrzeżone, w tym prawo do reprodukowania w całości lub w części
w jakiejkolwiek formie. Niniejsze wydanie opublikowano w porozumieniu z wydawnictwem Dutton, oddziałem Penguin Group (USA) Inc.
© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie, 2013

ISBN 978-83-08-05056-9

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 430 00 96
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Jedyny łatwy dzień był wczoraj

– filozofia Navy SEALs.

Niech żyje Braterstwo.

PROLOG

Chalk One[1]

Minutę przed dotarciem do celu szef załogi Black Hawka otworzył drzwi.

Gogle noktowizyjne zakrywały mu oczy. Ledwie go widziałem, gdy unosił palec. Rozejrzałem się i dostrzegłem, jak moi towarzysze spokojnie przekazują sobie sygnał.

Kabinę śmigłowca wypełnił ryk silników i nagle nie było słychać niczego oprócz wirników chłostających szaleńczo powietrze. Uderzył mnie wiatr, gdy wychyliłem się, by spojrzeć na teren w dole. Miałem nadzieję, że uda mi się wyłowić z mroku światła Abbottabadu.

Półtorej godziny wcześniej stłoczyliśmy się na pokładach dwóch śmigłowców UH-60 i wylecieliśmy w bezksiężycową noc. Nasza baza w afgańskim mieście Dżalalabad znajdowała się o rzut kamieniem od granicy z Pakistanem, ale do celu, któremu od tygodni przyglądaliśmy się na zdjęciach satelitarnych, musieliśmy stamtąd lecieć jeszcze godzinę.

Grobowe ciemności kabiny rozjaśniał tylko blask kontrolek na kokpicie. Tkwiłem zaklinowany przy lewych drzwiach śmigłowca i brakowało mi miejsca, żeby się chociaż rozciągnąć. Chcąc zaoszczędzić na masie,

ogołociliśmy kabinę z siedzeń i wszyscy musieliśmy siedzieć na gołej podłodze albo na niewielkich rozkładanych krzesełkach, które kupiliśmy poprzedniego dnia w lokalnym sklepie z artykułami sportowymi.

Teraz, przycupnięty na skraju kabiny, w końcu mogłem wystawić zdrętwiałe nogi na zewnątrz i rozprostować je, by zmusić krew do krążenia. Wokół mnie – i w drugim śmigłowcu – tłoczyło się w sumie dwudziestu trzech moich kumpli z DEVGRU[2]. Pracowałem z nimi mnóstwo razy; niektórych znałem ponad dziesięć lat. Każdemu ufałem bezgranicznie.

Pięć minut wcześniej kabina ożyła. Założyliśmy hełmy, sprawdziliśmy radia i po raz ostatni skontrolowaliśmy broń. Miałem na sobie trzydzieści kilogramów sprzętu – każdy gram był pedantycznie dobierany na potrzeby konkretnego zadania, każdy wynikał z udoskonaleń wprowadzanych przeze mnie przez lata walk i setki podobnych misji.

Ten zespół wyselekcjonowano spośród najbardziej doświadczonych operatorów[3] z naszej grupy. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin, kiedy wylot wydawał się kwestią chwili, następnie został przesunięty, a później jego widmo znów zawisło nam nad głowami, wielokrotnie dokonywaliśmy inspekcji sprzętu i byliśmy w pełnej gotowości.

Marzyłem o tej misji, odkąd 11 września 2001 roku, stacjonując na Okinawie, ujrzałem ataki na ekranie telewizora. Właśnie wracałem z ćwiczeń i dotarłem do koszar w chwili, gdy drugi samolot wbił się w World Trade Center. Nie potrafiłem oderwać wzroku od kuli ognia, która wystrzeliła z wieży, i kłębów gęstego dymu unoszących się w powietrzu.

Podobnie jak miliony obywateli Stanów Zjednoczonych gapiłem się na tę scenę z niedowierzaniem i poczuciem beznadziei ciążącym w żołądku. Resztę dnia spędziłem przed telewizorem, a mój umysł próbował zrozumieć to, co właśnie się stało. Jedna katastrofa lotnicza mogła być wypadkiem, ale napływające wiadomości potwierdziły to, o czym sam byłem przekonany,

gdy w kadr wleciał drugi samolot. Dwa samoloty oznaczały atak, nie miałem co do tego wątpliwości. Niemożliwe, żeby to był wypadek.

Tego dnia byłem na swojej pierwszej zmianie już jako komandos Navy SEALs. Gdy tylko wypłynęło nazwisko bin Ladena, uznałem, że nawet jutro możemy zostać wysłani do Afganistanu. Przez półtora roku nieustannie się szkoliliśmy. Ostatnie miesiące spędziliśmy na ćwiczeniach w Tajlandii, na Filipinach, w Timorze Wschodnim i Australii. Oglądając ataki, żałowałem, że jestem na Okinawie, a nie w górach Afganistanu. Nie mogłem przeboleć, że nie poluję na bojowników Al-Kaidy i nie mszczę się za to, co nam zrobili.

Problem polegał na tym, że nikt się po nas nie zgłosił.

Byłem sfrustrowany. Nie po to szkoliłem się tak długo w wyjątkowo ciężkich warunkach na komandosa Navy SEALs, by teraz patrzeć na wojnę w telewizji. Oczywiście, nie zamierzałem przenosić frustracji na rodzinę i przyjaciół. Pisali do mnie z pytaniami, czy lecę do Afganistanu. Byłem członkiem elitarnej jednostki i dla nich wydawało się czymś absolutnie logicznym, że natychmiast zostanę tam przeniesiony.

Pamiętam, że wysłałem e-maila do mojej dziewczyny, starając się zamienić całą tę sytuację w żart. Rozmawialiśmy o zakończeniu zmiany i planowaliśmy, jak spędzimy czas po moim powrocie do domu, a przed następnym powołaniem.

– Został mi jakiś miesiąc – pisałem. – Niedługo wrócę, chyba że najpierw będę musiał zabić bin Ladena.

W tamtym czasie podobne dowcipy cieszyły się sporą popularnością.

A teraz, gdy śmigłowiec leciał w stronę celu, rozpamiętywałem ostatnie dziesięć lat. Od dnia zamachu na World Trade Center chłopaki z branży nieustannie marzyli, by wziąć udział w podobnej operacji. Osama bin

Laden, przywódca Al-Kaidy, uosabiał wszystko, z czym pragnęliśmy walczyć. To właśnie ten człowiek inspirował swoich zwolenników, by w samobójczych atakach kierowali samoloty na budynki pełne cywili. Ten rodzaj fanatyzmu przerażał nas, a gdy oglądałem sprawozdania z zamachów w Nowym Jorku, Waszyngtonie i Pensylwanii, wiedziałem, że nasz kraj walczy w wojnie – wojnie, której sami nie wybraliśmy. Wielu odważnych ludzi przez lata poświęcało w niej swoje życie, choć nikt nie miał pewności, czy dostaniemy szansę zwieńczenia jej w misji takiej jak ta, która właśnie się rozpoczęła.

Dzisiaj, po dziesięciu latach od ataku na WTC i ośmiu polowaniach na przywódców Al-Kaidy, zaledwie kilka minut dzieliło nas od zjazdu po linie do siedziby Osamy bin Ladena.

Chwyciwszy za linę przywiązaną do kadłuba Black Hawka, poczułem, że w palcach u stóp wreszcie wraca mi krążenie. Snajper obok ześlizgnął się na swoje miejsce, z jedną nogą wiszącą na zewnątrz, a drugą w śmigłowcu, dzięki czemu w wąskim przejściu zrobiło się trochę więcej miejsca. Lufa jego broni szukała celów. Jego zadanie polegało na zabezpieczaniu południowej strony rezydencji, gdy zespół szturmowy będzie zjeżdżać po linach na dziedziniec i rozdzielać się do wyznaczonych celów.

Dzień wcześniej nikt z nas nie wierzył, że Waszyngton zatwierdzi tę operację, ale w końcu, po tygodniach oczekiwania, dostaliśmy zielone światło. Jeszcze tylko kilka minut... Wywiad twierdził, że bin Laden jest na miejscu. Też tak sądziłem, choć nic nie było w stanie mnie zaskoczyć. Już kilka razy wydawało się nam, że prawie go mamy.

W 2007 roku spędziłem tydzień na tropieniu plotek. Dostaliśmy raport, zgodnie z którym bin Laden wracał z Pakistanu do Afganistanu, by przygotować się do ostatecznej akcji. Nasze źródło twierdziło, że w górach widziano człowieka w „długich białych szatach”. Ostatecznie okazało się,

że zmarnowaliśmy tygodnie przygotowań, żeby uganiać się za cieniami. Tym razem miałem inne przeczucia. Przed wylotem analityczka CIA, która stanowiła główny motor napędowy poszukiwań, powiedziała mi, że cel na sto procent jest w Abbottabadzie. Miałem nadzieję, że to prawda, ale doświadczenie mówiło mi, że z wyrokiem lepiej wstrzymać się aż do zakończenia misji.

Teraz zresztą nie było sensu tego roztrząsać. Za kilka sekund mieliśmy się znaleźć w punkcie docelowym – ktokolwiek tam mieszkał, czekała go ciężka noc.

Przeprowadzaliśmy podobne szturmy niezliczoną ilość razy. Przez ostatnie dziesięć lat brałem udział w misjach bojowych w Iraku, Afganistanie i na Półwyspie Somalijskim. Wchodziliśmy w skład zespołu, który w 2009 roku odbił z rąk somalijskich piratów Richarda Phillipsa, kapitana kontenerowca „Maersk Alabama". Działałem wcześniej także na terenie Pakistanu. Z taktycznego punktu widzenia operacja, jaką mieliśmy przeprowadzić dzisiejszej nocy, nie różniła się niczym od dziesiątek podobnych wcześniejszych misji. Miałem nadzieję, że pod względem historycznym różnica będzie ogromna.

Kiedy złapałem za linę, ogarnął mnie wewnętrzny spokój. Wszyscy, którzy lecieli w śmigłowcu, słyszeli sygnał „minuty do celu" tysiące razy i od tej chwili nasze działania nie różniły się od tego, co robiliśmy w przeszłości. Wychylony przez drzwi, zaczynałem dostrzegać punkty orientacyjne, które znałem na pamięć ze zdjęć satelitarnych. Nie byłem przypięty do śmigłowca liną zabezpieczającą, więc Walt, kolega z zespołu, trzymał rękę na nylonowym uchwycie z tyłu mojej kamizelki. Pozostali tłoczyli się za mną, gotowi do zejścia. Ci, którzy siedzieli przy prawych drzwiach, mieli dobry widok na Chalk Two z drugim transportem zmierzającym do strefy lądowania.

Gdy tylko minęliśmy południowowschodnią ścianę zabudowań, śmigłowiec wypuścił flary i zawisnął nad wyznaczonym punktem lądowania. Spoglądając niemal dziesięć metrów w dół, widziałem pranie trzepoczące na sznurach. Pył i ziemia z wirników chłostały dywany wywieszone do suszenia. Po dziedzińcu fruwały śmieci, a w pobliskiej zagrodzie kozy i krowy rzucały się, wystraszone hałasem.

Wisieliśmy dokładnie nad domkiem dla gości, gdy śmigłowiec zakołysał się w powietrzu. Piloci mieli jakieś problemy z utrzymaniem maszyny na pozycji, która chwiała się między dachem domku a murem otaczającym rezydencję. Zerknąwszy w stronę szefa załogi, zobaczyłem, że przyciska mikrofon do ust i przekazuje pilotowi wskazówki.

Mimo to śmigłowiec wciąż się huśtał, próbując znaleźć wystarczającą ilość powietrza, by zawisnąć na pozycji; niezbyt gwałtownie, wiedziałem jednak, że nie mieliśmy tego w planach. Pilot walczył ze sterami. Coś było nie w porządku. Nasi piloci wykonywali takie manewry tyle razy, że zatrzymanie Black Hawka nad celem było dla nich równie proste co zaparkowanie samochodu.

Wpatrując się w zabudowania, rozważałem, czy nie zrzucić liny, żeby jak najszybciej wydostać się z niestabilnej maszyny. Wiązało się to z pewnym ryzykiem, ale w tej chwili dotarcie na ziemię stanowiło priorytet. Zblokowany przy drzwiach, nie mogłem nic zrobić. Potrzebowałem tylko odrobiny wolnego miejsca na ziemi, by zrzucić linę.

Niestety, miejsca nie było.

– Zawracamy, zawracamy! – usłyszałem przez radio, co oznaczyło, że pierwotny plan zjazdu na linie trafił szlag. Teraz musieliśmy okrążyć rezydencję od południa, posadzić maszynę i zaatakować od strony zewnętrznych murów. Operacja potrwa przez to dłużej, co pozwoli ludziom ukrytym w rezydencji przygotować się na atak.

Na chwilę uszło ze mnie powietrze.

Aż do momentu, gdy usłyszałem komendę zawracania, wszystko szło zgodnie z planem. Uniknęliśmy pakistańskich radarów i pocisków przeciwlotniczych i dotarliśmy do celu niezauważeni, a teraz mogliśmy zapomnieć o zrzucie. Ćwiczyliśmy na wypadek takiej możliwości, ale musieliśmy przejść do planu B. Jeżeli cel naprawdę znajdował się w rezydencji, zaskoczenie stanowiło klucz do sukcesu. Właśnie straciliśmy tę przewagę.

Gdy piloci próbowali podnieść maszynę z niestabilnego zawisu, śmigłowiec gwałtownie obrócił się w prawo o dziewięćdziesiąt stopni. Poczułem, jak ogonem szarpnęło. Nagły manewr zaskoczył mnie i natychmiast zacząłem szukać jakiegoś uchwytu w kabinie, żeby nie ześliznąć się przez otwarte drzwi na dół.

Tyłek zjeżdżał mi po podłodze i przez ułamek sekundy w mojej piersi narastała panika. Puściwszy linę, próbowałem wdrapać się do kabiny, ale w drzwiach nie było już miejsca. Ręka Walta mocniej zacisnęła się na mojej kamizelce. Drugą trzymał się snajpera. Odchyliłem się najmocniej, jak potrafiłem. Walt prawie na mnie leżał, żebym nie wypadł.

Ja pierdolę, chyba spadamy, pomyślałem w tamtej chwili.

Nagły obrót sprawił, że maszyna spadała bokiem, a drzwi, w których wisiałem, znalazły się na przedzie. Patrzyłem prosto na zbliżający się szybko mur rezydencji. Silniki, które do tej pory wydawały się szumieć, ryczały w górze jak szalone. Próbowały zmusić powietrze do posłuszeństwa, by utrzymać nas nad ziemią.

Wirnik ogonowy o włos minął domek dla gości, gdy Black Hawk osunął się jeszcze bardziej w lewo. Przed misją żartowaliśmy z kumplami, że nasza maszyna na pewno się nie rozbije, bo każdy z nas brał już udział

w kraksach śmigłowców. Byliśmy przekonani, że jeśli któraś z maszyn spadnie, to raczej Chalk Two.

Stany Zjednoczone poświęciły tysiące, ba, miliony roboczogodzin, by doprowadzić do tej chwili, a tymczasem wszystko wskazywało na to, że nasza misja ostro się popieprzy, zanim jeszcze zejdziemy na ziemię.

Jeszcze raz spróbowałem podciągnąć nogi i wepchnąć się głębiej do kabiny. Wiedziałem, że jeśli spadniemy na bok, możemy przekoziołkować, a wtedy moje nogi utkną pod kadłubem. Odchyliwszy się do oporu, przyciągnąłem kolana do piersi. Tuż obok snajper próbował uwolnić z drzwi własną nogę, ale w śmigłowcu brakowało miejsca. Tak jak ja, był bezsilny; mógł tylko liczyć, że maszyna nie przewróci się i nie odetnie mu kończyny.

Czas zwolnił bieg. Starałem się odepchnąć wizję zmiażdżenia. Z każdą sekundą ziemia była coraz bliżej. Czułem, jak całe moje ciało spina się w oczekiwaniu na nieuniknione zderzenie.

ROZDZIAŁ 1

Green Team[4]

Pot ściekający mi po plecach wsiąkał w koszulę, gdy przesuwałem się powoli korytarzem killing house'a w ośrodku szkoleniowym w Missisipi.

Był rok 2004 – siedem lat przed moim odlotem do Abbottabadu w Pakistanie podczas jednej z najważniejszych operacji specjalnych w historii – a ja brałem udział w kursie selekcji i szkolenia grupy SEAL Team Six, czasami określanej pełną nazwą jako United States Naval Special Warfare Development Group[5] (w skrócie DEVGRU). Tylko ten dziewięciomiesięczny kurs w zespole znanym jako Green Team dzielił mnie wraz z pozostałymi kandydatami od wstąpienia w szeregi elitarnej jednostki DEVGRU.

Serce biło mi szybko i musiałem nieustannie mrugać, żeby strząsać z oczu krople potu, kiedy szedłem za kolegą z zespołu w stronę drzwi. Oddychałem nierówno, z wysiłkiem, starając się wyrzucić z głowy wszelkie zbędne myśli. Byłem zdenerwowany i pobudzony, a właśnie wtedy rodzą się błędy. Musiałem się skupić, wszystko, co czekało na nas w następnym pomieszczeniu, bledło i wydawało się proste w porównaniu z tym, czego

można się było spodziewać po spotkaniu z kadrą instruktorów obserwujących ćwiczenia z pomostów na górze.

Sami wysocy rangą weterani bojowi z DEVGRU, wybrani, by szkolić nowych operatorów. To w ich rękach spoczywała teraz moja przyszłość.

– Wystarczy dotrwać do lunchu – wymamrotałem do siebie.

Tylko w taki sposób umiałem zapanować nad lękami. W 1998 roku przebrnąłem przez kurs BUD/S[6] wyłącznie dzięki myśleniu o najbliższym posiłku. Nie miało dla mnie znaczenia, że nie czułem już rąk, gdy unosiliśmy nad głowy potężne kłody, albo że chłód fal przypływu przenikał moje ciało. Pamiętałem tylko o tym, że to nie będzie trwać wiecznie. Jest takie powiedzenie: „Jak się je słonia? To proste: kawałeczek po kawałeczku". Ja natomiast jadłem te kawałki między posiłkami. Dotrwać do śniadania, ćwiczyć ciężko aż do lunchu, a później skupić się na wizji kolacji. A następnego dnia powtórka z rozrywki.

Choć w 2004 roku byłem już komandosem Navy SEALs, dostanie się do DEVGRU stanowiłoby szczytowy punkt mojej kariery. Jako jednostka kontrterrorystyczna[7], DEVGRU wykonywała misje ratowania zakładników, tropiła zbrodniarzy wojennych i, od chwili ataków z 11 września, polowała na członków Al-Kaidy w Afganistanie i Iraku.

Nie wystarczyła mi już służba w Navy SEALs, mój apetyt wzrastał. Sęk w tym, że w Green Teamie nie mieliśmy łatwego życia. Samo zaliczenie często oznaczało porażkę, a drugie miejsce było pierwszym z ostatnich. Nie chodziło o to, by spełnić minimalne wymagania; chodziło o to, żeby je przekroczyć, zmiażdżyć, zniszczyć. Sukces wymagał umiejętności radzenia sobie ze stresem i działania na granicy możliwości – w każdej chwili bez wyjątku.

Wszystkie dni zaczynały się od wyczerpującego treningu fizycznego złożonego z długiego biegu, pompek, podciągania i wszelkich innych

niespodzianek, jakie wymyślił dla nas sadystyczny instruktor. Przepychaliśmy samochody, często nawet autobusy. Gdy w końcu stawaliśmy przed killing house'em – specjalnym budynkiem-strzelnicą pełnym korytarzy i pomieszczeń, w których ćwiczyliśmy CQB[8] – nasze mięśnie były zmęczone i obolałe. Chodziło o to, żeby doprowadzić organizm do stanu wycieńczenia, symulując stres prawdziwej misji, i dopiero wówczas sprawdzić nas w wymagających taktycznie warunkach.

Nie miałem czasu, by choćby rzucić okiem w stronę instruktorów, gdy przemykaliśmy się przez korytarz. To był pierwszy dzień kursu i wszyscy z trudem trzymali nerwy na wodzy. Rozpoczęliśmy trening CQB po miesięcznym szkoleniu skoków spadochronowych z dużych wysokości w Arizonie i choć już tam wyraźnie czuliśmy presję, by osiągać jak najlepsze wyniki, dopiero tutaj, w Missisipi, napięcie sięgnęło zenitu.

Wszedłem do środka: kwadratowy pokój ze ścianami wykonanymi ze starych, drewnianych podkładów kolejowych, służących jako kulochwyty. Usłyszałem, jak partner dołącza do mnie z tyłu, kiedy przesuwałem lufę karabinu, szukając celów.

Pokój był pusty.

– Ruszam – rzucił mój partner i zrobił parę kroków w głąb pokoju, by sprawdzić kąt.

Instynktownie zająłem pozycję, żeby go osłaniać.

W tej samej chwili usłyszałem mamrotanie dolatujące z pomostu na górze. Nie mogliśmy się zatrzymać, ale już wiedziałem, że jeden z nas popełnił błąd. Na sekundę poziom mojego stresu osiągnął wartość krytyczną, szybko jednak wypchnąłem go z głowy. Nie było czasu na rozpamiętywanie pomyłek. Zostało nam parę pomieszczeń do wyczyszczenia – musiałem skupić się na zadaniu, a nie na tym, co było przed chwilą.

Wróciliśmy na korytarz i weszliśmy do kolejnego pokoju. Natychmiast zauważyłem dwa cele: po prawej sylwetkę mężczyzny z niewielkim pistoletem – ubrany w bluzę, wyglądał jak filmowy bandzior z lat siedemdziesiątych – a po lewej kobietę z torebką w ręku.

Wystrzeliłem do bandziora sekundy po wkroczeniu do pomieszczenia. Pocisk trafił w środek masy. Ruszyłem naprzód i dla pewności wypaliłem jeszcze kilka razy.

– Czysto – powiedziałem, opuszczając karabin.

– Czysto – potwierdził mój partner.

– Zabezpieczyć i odwiesić – zawołał ktoś z góry.

Ćwiczeniom przyglądało się aż sześciu instruktorów – wszyscy stali na pomoście, który wił się nad killing house'em. Dzięki temu mogli swobodnie przechodzić nad naszymi głowami i patrzeć, jak czyścimy kolejne pomieszczenia. Oceniali naszą sprawność, zwracając uwagę na najdrobniejsze błędy.

Zabezpieczywszy karabin, zawiesiłem go na ramieniu i wytarłem rękawem pot z oczu. Serce wciąż waliło mi jak szalone, mimo że nasz sprawdzian dobiegł końca. Scenariusze treningowe były stosunkowo proste. Wszyscy doskonale wiedzieliśmy, jak się czyści pomieszczenia; dopiero przeprowadzanie tych manewrów w doskonale zasymulowanych warunkach bojowych pozwalało oddzielić ziarna od plew.

W naszym przypadku nie istniało coś takiego jak margines błędu, a ja nawet nie byłem pewien, co zrobiliśmy źle.

– Czemu zabrakło sygnału o ruchu? – zapytał z pomostu Tom, jeden z instruktorów.

Zamiast odpowiedzieć, tylko kiwnąłem głową. Czułem się zawiedziony i zażenowany. W pierwszym pomieszczeniu zapomniałem dać partnerowi

sygnał o zmianie pozycji, co stanowiło pogwałcenie reguł bezpieczeństwa.

Uważałem Toma za jednego z najlepszych instruktorów na kursie. Łatwo go było zauważyć, bo miał potężną głowę, jakby nosił w niej olbrzymi mózg, ale poza tym niczym się nie wyróżniał. W tłumie nie przyciągał uwagi – wydawał się zbyt łagodny i nigdy nie tracił nad sobą panowania – ale szanowaliśmy go za zdecydowanie i uczciwość. Kiedy człowiek popełnił na jego oczach błąd, naprawdę czuł, że go zawiódł – rozczarowanie wyraźnie malowało się wówczas na jego twarzy.

Żadnych krzyków, żadnych przekleństw.

Tylko to spojrzenie.

Teraz też je widziałem, kiedy przyglądał mi się z góry. Mówiło do mnie: człowieku, serio? Serio właśnie to zrobiłeś?

Miałem ochotę coś powiedzieć, wytłumaczyć się, ale wiedziałem, że on nie chce tego słuchać. Jeśli instruktor mówił, że popełniłeś błąd, to popełniłeś błąd – i kropka. Na dole, w pustym pomieszczeniu, nie było żadnego gadania.

– Dobra, przyjąłem – wymamrotałem, bezbronny i zarazem wściekły na siebie, że popełniłem tak podstawowy błąd.

– Musisz dać z siebie więcej – westchnął Tom. – Spadaj stąd. Na drabinkę.

Chwyciwszy za karabin, pognałem z killing house’a do drabinki linowej zwisającej z drzewa niecałe trzysta metrów dalej. Wspinając się po niej, szczebel po szczeblu, czułem na ramionach nieprzyjemny ciężar – i nie była to przepocona koszula ani prawie trzydzieści kilogramów kamizelki i sprzętu.

Nie, to strach przed porażką. W całej swojej karierze w Navy SEALs jeszcze nigdy nie zawiodłem.

Gdy sześć lat wcześniej pojechałem do San Diego, by zmierzyć się z piekłem BUD/S, nawet przez chwilę nie wątpiłem, że mi się uda. Wielu z kandydatów, którzy pojawili się tam razem ze mną, zrezygnowało albo zostało odrzuconych. Niektórzy nie wytrzymywali morderczych biegów przez plażę, inni panikowali pod wodą, na ćwiczeniach nurkowania.

Podobnie jak większość chłopaków od małego byłem pewien, że chcę służyć w SEALsach – a dokładnie odkąd skończyłem trzynaście lat. Połykałem książki na temat tej jednostki, uważnie śledziłem wiadomości podczas operacji „Pustynna burza" (ang. „Desert Storm"), licząc na wzmianki o zaangażowaniu SEALsów w działania, a w wolnych chwilach marzyłem o organizowaniu zasadzek i o lądowaniu na plaży podczas misji bojowej. Chciałem robić wszystkie te rzeczy, o których czytałem jako dorastający chłopiec.

Po zakończeniu nauki w niewielkim college'u w Kalifornii wziąłem udział w kursie BUD/S i w 1998 roku zdobyłem swój trident[9]. Następnie odsłużyłem sześć miesięcy w krajach basenu Oceanu Spokojnego i odbyłem zmianę bojową w Iraku w latach 2003–2004, by w końcu uznać, że jestem gotowy na nowe wyzwania. O DEVGRU dowiedziałem się na poprzednich zmianach. Ta grupa zdawała się uosabiać wszystko co najlepsze w społeczności Navy SEALs, a ja wiedziałem, że sobie nie wybaczę, jeśli nie spróbuję zasilić ich szeregów.

DEVGRU – jednostka kontrterrorystyczna marynarki wojennej – została powołana do życia w następstwie niepowodzenia operacji „Orli szpon" (ang. „Eagle Claw"). Decyzję o niej podjął w 1980 roku prezydent Jimmy Carter, by ratować pięćdziesięciu dwóch obywateli Stanów Zjednoczonych więzionych w ambasadzie amerykańskiej w Teheranie.

Po fiasku misji marynarka wojenna dostrzegła potrzebę wyszkolenia sił, które będą w stanie skutecznie przeprowadzać wyspecjalizowane operacje. Zwróciła się w tej sprawie do Richarda Marcinko, który stworzył morską jednostkę kontrterrorystyczną pod nazwą SEAL Team Six. Jednostka ta ćwiczyła odbijanie zakładników, ale także infiltrację wrogich państw, okrętów, baz morskich i platform wiertniczych. Z czasem w zakres jej obowiązków weszły działania, które mają na celu zapobiegać rozpowszechnieniu się broni masowej zagłady.

W chwili gdy Marcinko ustanawiał dowodzenie, w rzeczywistości istniały tylko dwie jednostki Navy SEALs – szóstka w nazwie została przyznana po to, by zmylić Związek Radziecki co do faktycznej liczby jednostek w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych. W 1987 roku SEAL Team Six została rozwiązana, a w jej miejsce powołano DEVGRU oparte w dużej mierze na składzie SEAL Team Six.

Z początku służyło w niej siedemdziesięciu pięciu operatorów osobiście wyselekcjonowanych przez Marcinko. Obecnie wszyscy członkowie są wybierani spośród innych jednostek Navy SEALs i EOD (służb saperskich). Od czasu swego powstania DEVGRU rozrosła się o kolejne zespoły operatorów, jak również personel pomocniczy, ale jej założenia do dziś pozostają niezmienione.

Jednostka ta należy do JSOC[10] i współpracuje z innymi jednostkami do misji o znaczeniu strategicznym dla kraju, takimi jak Delta Force.

Jedną z jej pierwszych misji była operacja „Nagła furia” (ang. „Urgent Fury”) z 1983 roku. Komandosi ówczesnego SEAL Team Six uratowali gubernatora generalnego Grenady, Paula Scoona, podczas przeprowadzonej przez Stany Zjednoczone inwazji na ten niewielki karaibski kraj, w którym władzę przejęły siły komunistyczne. Nad Scoonem wisiało widmo egzekucji.

Sześć lat później, w 1989 roku, DEVGRU połączyła siły z Delta Force podczas inwazji na Panamę, by pojmać generała Manuela Noriegę.

W 1993 roku operatorzy DEVGRU brali udział w misji pojmania somalijskiego watażki, Mohameda Farraha Aidida – akcja przerodziła się w bitwę w Mogadiszu. Walki te zostały opisane przez Marka Bowdena w książce *Helikopter w ogniu.*

W 1998 operatorzy DEVGRU tropili bośniackich zbrodniarzy wojennych, między innymi generała Radoslava Krsticia, oskarżonego później o udział w masakrze w Srebrenicy.

Od 11 września 2001 roku operatorzy DEVGRU uczestniczą w cyklu regularnych zmian bojowych w Iraku i Afganistanie, gdzie ich celami są przywódcy Al-Kaidy i Talibów. Niedługo po atakach z 11 września dowództwo zarządziło przemieszczenie sił do Iraku i Afganistanu, a komandosi działający pod dowództwem JSOC byli odpowiedzialni za część publicznie komentowanych operacji, m.in. uwolnienie Jessiki Lynch w Iraku w 2003 roku. To właśnie takie działania – jak również fakt, że to Navy SEALs jako pierwsi otrzymują wezwanie – motywowały mnie do ciężkiej pracy.

Żeby zgłosić swoją kandydaturę do Green Teamu, trzeba być komandosem Navy SEALs, a gros chętnych ma na koncie dwie zmiany bojowe. Oznacza to, że przeciętny kandydat ma wystarczające zdolności i doświadczenie, by z powodzeniem zakończyć kurs.

Kiedy wspinałem się po drabince linowej w upale Missisipi, nie mogłem pozbyć się przekonania, że zawaliłem trzydniową preselekcję, zanim jeszcze rozpocząłem właściwą część szkolenia.

Termin preselekcji zbiegł się w czasie z ćwiczeniami mojej jednostki z działań bojowych na lądzie. Znajdowałem się w Camp Pendleton

w Kalifornii i, schowany pod drzewem, patrzyłem, jak chłopcy z piechoty morskiej stawiają obóz. Był rok 2003, a my od tygodnia braliśmy udział w bloku ćwiczeniowym poświęconym technikom rozpoznawczym, gdy otrzymałem rozkaz, by wracać do San Diego na trzydniowy proces preselekcyjny. Wiedziałem, że jeśli mi się poszczęści i zostanę wybrany, rozpocznę dziewięciomiesięczny kurs w Green Teamie, a jeśli go na dodatek zaliczę, zasilę szeregi DEVGRU.

Z mojego plutonu na szkolenie wybierałem się tylko ja, ale ze mną jechał gość z plutonu bliźniaczego. W drodze obaj zmywaliśmy z twarzy zieloną farbę. Wciąż przebrani w mundury polowe, po kilku dniach w terenie śmierdzieliśmy potem i sprayem na owady. Żołądek bolał mnie od diety złożonej z racji żywnościowych MRE; przyssany do butelki, uzupełniałem niedobory płynów. Nie byłem w najlepszej kondycji fizycznej, a tymczasem część procesu preselekcyjnego polegała właśnie na teście sprawnościowym.

Następnego ranka byliśmy na plaży. Słońce wychylało się zza horyzontu, kiedy kończyłem ponad sześciokilometrowy bieg na czas. Po krótkiej przerwie dołączyłem do dwudziestu paru innych kandydatów ustawionych w szeregu na betonowym podeście. Od Pacyfiku zawiewała bryza, a w powietrzu wciąż dało się wyczuć pozostałości nocnego chłodu. W innej sytuacji podziwiałbym uroki ładnego poranka, ale byłem zmęczony i miałem świadomość, że wciąż czekają nas pompki, brzuszki i podciąganie, nie mówiąc o pływaniu.

Bez problemu odbębniłem pompki, mimo że mój instruktor czepiał się co drugiej próby. Ćwiczenia musiały być wykonane perfekcyjnie, każdy błąd oznaczał powtórkę. Przewróciwszy się na plecy, przygotowałem się do zaliczenia brzuszków.

Po kilku pierwszych byłem wykończony.

Bieganie po plaży nie wpłynęło zbyt dobrze na moją wytrzymałość. Z początku złapałem całkiem niezły rytm, ale rozkojarzył mnie instruktor, który stanął obok i zaczął powtarzać numery niezaliczonych prób.

– Dziesięć, dziesięć, dziesięć – mówił. – Dziesięć, jedenaście, dwanaście, dwanaście.

Najwyraźniej moja technika nie była zgodna z książkową, a on wymawiał na głos numery podejść, które uznawał za spartolone. Za każdym razem, gdy zmuszał mnie do powtórki, paliłem się ze wstydu. Na dodatek coraz bardziej dokuczało mi zmęczenie, choć w ogóle nie zbliżałem się do wymaganej liczby brzuszków.

– Minuta.

Miałem spore zaległości, gdy usłyszałem ten sygnał i szybko kończył mi się czas. Wystarczyło oblać cholerny sprawdzian z brzuszków, żeby wrócić do domu. Zwątpienie zaczynało brać nade mną górę. W głowie już wymyślałem jakieś bzdurne wymówki – że źle się przygotowałem, bo ćwiczyłem z jednostką, zamiast skupić się na teście preselekcyjnym.

– Trzydzieści sekund.

Pół minuty do końca. Wciąż brakowało mi dziesięciu podejść. Jakiś gość obok mnie dawno przekroczył minimalny próg i wyciskał kolejne brzuszki najszybciej, jak umiał. Kręciło mi się w głowie. Nie mogłem uwierzyć, że zaraz obleję! Zagłuszyłem wątpliwości, żeby skupić się na technice. Wkrótce zacząłem nadrabiać straty.

– Dziesięć sekund.

Blisko, ale bolał mnie brzuch. Oddech miałem nierówny, urywany. Zmęczenie ustąpiło miejsca strachowi. Byłem w szoku! Wiedziałem, że nie mogę zawieść. Przecież nie opowiem kolegom z jednostki, że odpadłem z powodu głupiego testu sprawnościowego!

– Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

Dokończyłem ostatni brzuszek. Ledwo mi się udało – przekroczyłem minimum o dwa żałosne podejścia. Czułem się sterany, a wciąż czekało mnie podciąganie. Kiedy jednak zmierzałem w stronę drążka, wizja porażki zapewniła mi dodatkowy zastrzyk adrenaliny, dzięki czemu zaliczyłem ćwiczenie bez wpadek.

Na koniec zostało nam pływanie w zatoce San Diego. Tego dnia woda była spokojna, a ponieważ założyliśmy pianki, nie przeszkadzał nam jej chłód. Zacząłem z grubej rury. Jeden z gości przeprowadzających selekcję był pływakiem Akademii Marynarki Wojennej i szybko mnie wyprzedził, ale płynąłem na drugim miejscu. Brałem zamachy jak szalony, a mimo to miałem wrażenie, że stoję w miejscu – jakbym płynął na bieżni.

Kiedy dotarłem do mety, dowiedziałem się, że nie zdałem. Oprócz pływaka z akademii nikt nie osiągnął wymaganego czasu. Naturalnie fakt ten zwrócił uwagę instruktorów, którzy szybko sprawdzili rozkład pływów. Okazało się, że płynęliśmy pod prąd.

– Będziemy musieli powtórzyć sprawdzian jutro – powiedzieli nam, ku mojej uldze.

Gdy kursanci przystępowali do kolejnego sprawdzianu, byli wycieńczeni – dlatego powtórny sprawdzian był dla nich wyzwaniem. Nie mogliśmy jednak powtórzyć samego pływania. Wiedziałem, że jutro znów będę robić brzuszki, a coś mi mówiło, że moje mięśnie nie zregenerują się w ciągu jednej nocy.

Krótko mówiąc, kompletne szaleństwo.

Rano zjawiłem się na ćwiczeniach z nastawieniem, że dam z siebie sto procent, i chyba tylko siłą woli osiągnąłem wymagane wyniki. Zdawałem sobie sprawę, że nie są one oszałamiające, miałem pewne obawy, jak

zostaną przyjęte przez komisję następnego dnia. Sam fakt, że zaliczyłem niezbędne minima, w ogólnym rozrachunku nic nie znaczył. Brałem udział w procesie selekcyjnym, który miał wytypować najlepszych z najlepszych. Nie udowodniłem instruktorom, że należycie się przygotowałem.

Przyszedłem na rozmowę przed czasem, ubrany w mój niebieski mundur galowy, ze wszystkimi wstęgami i odznaczeniami. Poprzedniego dnia ostrzygłem się i dokładnie ogoliłem, by wyglądać jak przykład wyjęty prosto z podręcznika. To była jedna z tych nielicznych sytuacji, gdy fryzura, świecące buty i wyprasowany mundur naprawdę coś znaczyły. Przynajmniej instruktorzy mieli jeden powód mniej, żeby się czepiać.

Na końcu sali konferencyjnej stał długi stół. Siedziało przy nim kilku chorążych sztabowych, psycholog, który brał udział w drugim dniu selekcji, i konsultant zawodowy. Wszedłem do środka i zająłem miejsce na krześle.

Przez następne czterdzieści pięć minut na zmianę zasypywali mnie pytaniami. Nigdy wcześniej nikt mnie tak nie maglował. Dowiedziałem się, że przed moim przybyciem komisja rozmawiała z chiefem plutonu i dowódcą w SEAL Team Five. Wiedzieli, z kim mają do czynienia, ale to była ich jedyna szansa, żeby zobaczyć mnie na żywo.

Do dziś nie mam pojęcia, kto zasiadał w tamtej komisji. Dla mnie wszyscy byli wysokiej rangi ekspertami, którzy trzymali w rękach moją przyszłość – ja musiałem ich tylko przekonać, że to mnie powinni wybrać.

Niestety kiepskie wyniki na teście sprawnościowym nie przemawiały na moją korzyść.

– Zdajesz sobie sprawę, do jakiej jednostki chcesz się dostać? – zapytał jeden z chiefów. – Masz pojęcie, na co się porywasz? To był wstępny test. Chcesz grać w pierwszej lidze, a przychodzisz do nas z takimi wynikami?

Nie zawahałem się; przewidziałem, że zaatakują z tej strony, choć miałem tylko jedną kartę przetargową:

– Biorę na siebie pełną odpowiedzialność – odpowiedziałem. – Wstyd mi, że tu siedzę, prezentując takie wyniki. Mogę zapewnić, że jeśli przejdę, jeśli zostanę wybrany, nigdy się to więcej nie powtórzy. Nie mam żadnych wymówek, wina jest tylko i wyłącznie moja.

Szukałem na ich twarzach potwierdzenia, że mi uwierzyli, ale niczego nie potrafiłem z nich wyczytać. Odpowiedziały mi tylko puste spojrzenia. Znów znalazłem się w kluczowym ogniu pytań, który miał mnie wytrącić z równowagi. Chcieli sprawdzić, czy zachowam zimną krew. Bo jeśli nie mogę siedzieć na krześle i odpowiadać na pytania, to co zrobię, kiedy bojownicy zaczną do mnie strzelać ostrą amunicją? Jeśli zależało im, żebym poczuł się nieswojo, to osiągnęli swój cel, choć głównie przeszkadzał mi wstyd. To byli ludzie, których podziwiałem; całe życie chciałem być taki jak oni, a kim byłem? Młodym gościem z Navy SEALs, który ledwo zdał sprawdzian z brzuszków.

Po wywiadzie pozwolili mi odejść.

– W ciągu najbliższych sześciu miesięcy damy ci znać, czy zostałeś wybrany.

Wyszedłem z sali z przekonaniem, że mam pięćdziesiąt procent szans.

W Camp Pendleton nałożyłem zieloną farbę z powrotem na twarz i wymknąłem się w teren, żeby dołączyć do kolegów na ostatnie dni szkolenia.

– Jak ci poszło? – zapytał chief, kiedy dołączyłem do zespołu.

– Nie wiem – odpowiedziałem szczerze.

Słowem nie wspomniałem o teście sprawnościowym – istniało prawdopodobieństwo, że przez słabe wyniki oblałem. Byłem właśnie

w trakcie zmiany z SEAL Team Five w Iraku, kiedy dotarły do mnie wiadomości. Chief plutonu wezwał mnie do centrum operacyjnego.

– Rozpatrzyli cię pozytywnie – oznajmił. – Gdy tylko wrócimy, dostaniesz rozkazy z Green Teamu.

Byłem zszokowany, bo w głębi duszy przygotowałem się na najgorsze. Właściwie już pogodziłem się z myślą, że będę musiał powtórnie przechodzić selekcję. Teraz, gdy mnie wybrali, poprzysiągłem sobie, że drugi raz nie popełnię tego samego błędu. Wiedziałem, że dołączę do Green Teamu świetnie przygotowany.

ROZDZIAŁ 2

Pięciu na plus, pięciu na minus

Płuca paliły mnie żywym ogniem, a nogi bolały, kiedy wracałem biegiem z drabinki linowej w upale i wilgoci lata w Missisipi. Bardziej jednak niż ból fizyczny dawała mi w kość duma. Spieprzyłem sprawę. Presję, którą wywierałem sam na siebie, było dużo gorsze od wszystkiego, co usłyszałem od instruktorów. Błąd w killing housie wynikał z braku koncentracji, a takie błędy są niewybaczalne. Wiedziałem, że nie przetrwam w Green Teamie zbyt długo, jeśli nie poradzę sobie z presją i nie skupię się na zadaniu, które miałem wykonać. Potencjalni kandydaci mogli wylecieć każdego dnia i o każdej godzinie.

Stanąłem przed killing house'em. Ze środka dolatywał huk strzałów drugiego zespołu, który właśnie czyścił pomieszczenia. Mieliśmy kilka minut na zaczerpnięcie oddechu przed kolejną próbą.

Tom zszedł z pomostu i odciągnął mnie na bok.

– Hej, bracie – zaczął. – Tam w środku wykonałeś dobry ruch. Miałeś osłaniać kumpla i to zrobiłeś, ale zabrakło sygnału o ruchu.

– Przyjąłem.

– Wiem, że w poprzednim teamie robiliście niektóre rzeczy po swojemu i może nie używaliście w takiej sytuacji sygnałów – ciągnął Tom – ale tutaj wszystko ma być robione podręcznikowo i właśnie dlatego wymagamy od was komunikacji. Zaufaj mi, przy odrobinie szczęścia ukończysz ten kurs i dołączysz do zespołu bojowego na drugim pokładzie[11], a tam już nie będziesz musiał odbębniać standardowych ćwiczeń CQB. Ale tutaj, kiedy jesteś pod presją, musisz udowodnić, że potrafisz wykonać bezbłędnie każde najprostsze zadanie. Trzymamy się pewnych standardów i nie możesz wykonać ruchu bez sygnału, jasne?

Na tym mitycznym drugim pokładzie w bazie w Virginia Beach pracowały wszystkie zespoły bojowe DEVGRU. Podczas naszych pierwszych dni w Green Teamie powiedziano nam, że nie możemy wchodzić na piętro budynku. Zakaz przestawał obowiązywać dopiero po pomyślnym ukończeniu kursu podstawowego.

Wejście na drugi pokład stanowiło więc nasz cel. Nagrodę za wysiłki.

Kiwnąłem głową i załadowałem karabin nowym magazynkiem.

Tego wieczoru otworzyłem sobie zimne piwo i rozłożyłem na stole zestaw do czyszczenia broni. Wziąłem spory łyk, ciesząc się faktem, że przetrwałem dzień. Kolejny kawałek przysłowiowego słonia. Znajdowałem się o jeden stopień bliżej drugiego pokładu.

Podczas bloku ćwiczeniowego CQB mieszkaliśmy w dwóch dużych budynkach niedaleko strzelnicy i killing house’u. Tak naprawdę były to ogromne baraki, obdrapane i sfatygowane przez setki rotacji szkoleniowych Navy SEALs i Special Forces. W pokojach jedno obok drugiego stały piętrowe łóżka, ale ja większość czasu spędzałem na dole, w saloniku klubowym. Mieliśmy tam stół do bilardu i duży telewizor z lat osiemdziesiątych, przeważnie nastawiony na kanał sportowy. Nikt go nie

oglądał; szumiał w tle, podczas gdy chłopaki czyścili broń albo grali w bilard, żeby się rozluźnić.

Społeczność Navy SEALs jest niewielka. Wszyscy znamy się osobiście lub przynajmniej słyszeliśmy o sobie to i owo. W chwili gdy człowiek wychodzi na plażę, żeby zmierzyć się ze swoimi słabościami podczas kursu BUD/S, zaczyna pracować na własną reputację. Od samego początku każdy ciągle o tym gada: o reputacji.

– Widziałem cię dzisiaj na drabince – rzucił w moją stronę Charlie, ustawiając bile do kolejnej partyjki bilardu. – Co spieprzyłeś?

Charlie wyróżniał się zarówno pod względem postury, jak i niewyparzonej gęby. Miał gigantyczne ramiona i dłonie wielkości łopat. Olbrzym o wzroście ponad metr dziewięćdziesiąt, ważył około stu kilogramów. Był równie głośny co wielki i zapewniał nam niekończące się pasmo nowych złośliwości o każdej porze dnia i nocy.

Nazywaliśmy go Łobuzem.

Charlie – były marynarz pokładowy – dorastał na Środkowym Zachodzie. Do marynarki dołączył zaraz po zakończeniu nauki. Spędził około roku na oskrobywaniu farby i urządzaniu burd ze swoimi kumplami z floty, zanim w końcu zdecydował się wziąć udział w kursie BUD/S. Jeśli wierzyć jego słowom, pływanie we flocie przypominało członkostwo w gangu. Często opowiadał nam o bójkach na statku, w porcie lub podczas rejsu. Charlie nienawidził tego życia i o niczym nie marzył bardziej niż o wstąpieniu do Navy SEALs.

Był jednym z najlepszych kandydatów w grupie. W każdej sytuacji wykazywał się inteligencją i agresją. Z pewnością na jego korzyść przemawiał także fakt, że przed Green Teamem pracował jako instruktor CQB zespołów Navy SEALs ze Wschodniego Wybrzeża. Dla niego killing house był drugim domem, a w strzelaniu nie miał sobie równych.

– Zapomniałem o sygnale ruchu – powiedziałem.

– Trzymaj tak dalej, a już wkrótce będziesz mógł wrócić do San Diego, żeby pracować nad opaleniznną. Przynajmniej zdążysz do przyszłorocznego kalendarza.

Jednostki Navy SEALs mają swoje siedziby w dwóch miejscowościach: w San Diego w Kalifornii i Virginia Beach w Wirginii. Między tymi grupami istnieje zdrowa rywalizacja, która wynika z różnic geograficznych i demograficznych. W praktyce są niemal identyczne – zespoły z obu wybrzeży biorą udział w tych samych misjach i posiadają te same umiejętności. SEALsi z Zachodniego Wybrzeża cieszą się jednak opinią wyluzowanych surferów, podczas gdy ci ze wschodu to w obiegowej opinii wieśniaki w wytartych dżinsach.

Ponieważ ja szkoliłem się na Zachodnim Wybrzeżu, towarzystwo Łobuza Charliego gwarantowało mi nieustający ciąg docinków, szczególnie na temat kalendarza.

– Co nie, miss maja? – dodał, rechocząc.

Choć ja się w nim nie ukazałem, paru moich kumpli z Zachodniego Wybrzeża wydało kilka lat wcześniej kalendarz przeznaczony na cele charytatywne. Zdjęcia półnagich żołnierzy na plaży i na tle szarych kadłubów okrętów w San Diego prezentowały się raczej żenująco. Być może pomogły nakarmić głodujących albo zwalczyć raka, ale jednocześnie dały chłopakom ze wschodu materiał do żartów na całe lata.

– A kto by chciał oglądać kalendarz z bladymi jak ściana chłoptasiami ze Wschodniego Wybrzeża? – odciąłem się. – Przykro mi, że my w San Diego potrafimy cieszyć się pogodą.

To była jedna z tych wojen, które nie mają końca.

– Załatwimy to jutro na strzelnicy – zakończyłem temat.

Moim azylem od zawsze była strzelnica. Nie miałem wystarczająco ciętego języka, by mierzyć się w złośliwościach z Charliem czy innymi wygadanymi gościami z Green Teamu. Wszyscy dobrze wiedzieli, że moje dowcipy są słabe. Rozsądniejsza wydawała się ucieczka na z góry upatrzone pozycje i liczenie, że następnego dnia spuszczę im łomot na strzelnicy – a strzelałem lepiej niż przeciętny kandydat, bo, mieszkając na Alasce, praktycznie dorastałem z bronią w ręku.

Rodzicie nigdy nie pozwalali mi bawić się plastikowymi pistoletami – być może wynikało to także z faktu, że po ukończeniu szkoły podstawowej miałem własny karabin kalibru 5,6 mm. Już jako dziecko zdawałem sobie sprawę z odpowiedzialności niezbędnej przy obchodzeniu się z bronią palną. Dla naszej rodziny była ona narzędziem pracy.

– Musisz szanować broń i możliwości, które ci daje – powiedział mi kiedyś ojciec.

Uczył mnie, jak strzelać i co robić, by czuć się z karabinem bezpiecznie. Nie oznaczało to jednak, że życie nie udzieliło mi ciężkiej lekcji pokory, zanim dobrze zapamiętałem jego cenne wskazówki.

Po jednym z polowań było wyjątkowo zimno – zbyt zimno, żeby rozładowywać broń na zewnątrz. Dołączyłem do rodziny w domu. Moja mama przygotowywała w kuchni kolację, a siostry grały przy kuchennym stole w jakąś grę planszową.

Naciągnąłem na dłonie rękawiczki i zabrałem się za swój karabin. Ojciec wielokrotnie pokazywał mi, jak opróżnia się komorę. Kładł szczególny nacisk na bezpieczeństwo. Należało wyjąć magazynek, sprawdzić, czy w komorze nie został nabój, i na końcu na sucho wystrzelić w bezpiecznym kierunku w ziemię.

Tego szczególnego dnia byłem roztrzepany i najwyraźniej zostawiłem nabój w komorze. Wyciągnąłem magazynek i skierowałem lufę w podłogę, po czym, odbezpieczywszy broń, pociągnąłem za spust. Pocisk wystrzelił z lufy i wbił się w parkiet tuż przed piecem na drewno. Nie pamiętałem o podstawowych zasadach bezpieczeństwa, bo było mi zimno i myślałem tylko o tym, jak się rozgrzać. Huk eksplozji przetoczył się przez dom.

Zamarłem.

Serce waliło mi tak mocno, że czułem ból w piersi. Nie mogłem opanować drżenia rąk. Spojrzałem na ojca, który gapił się na niewielki otwór w podłodze. Mama i siostry przybiegły z kuchni sprawdzić, co się stało.

– Wszystko w porządku? – zapytał ojciec.

Wyjąkałem, że tak, i sprawdziłem karabin. Chciałem się upewnić, że nikomu nie zrobię krzywdy. Odłożyłem go na bok.

– Przepraszam – powiedziałem. – Zapomniałem sprawdzić komorę.

W tamtej chwili najbardziej doskwierał mi wstyd. Wiedziałem, jak obchodzić się z karabinem, ale zachowałem się nieuważnie, bo głowę zaprzątały mi myśli o chłodzie. Tato rozładował własną broń i odwiesił płaszcz na wieszak. Nie był na mnie zły. Zależało mu tylko, żebym dobrze zrozumiał, co się stało.

Uklęknąwszy przy moim karabinie, jeszcze raz powtórzyliśmy wszystkie kroki.

– Co zrobiłeś źle? O czym zapomniałeś? Opowiedz mi po kolei – poprosił.

– Wyciągnąć magazynek – zacząłem recytować. – Sprawdzić komorę. Odbezpieczyć i wystrzelić w bezpiecznym kierunku.

Kilka razy pokazywałem mu, jak należy prawidłowo rozładować broń. Gdy skończyliśmy, odstawiłem karabin na stojak przy drzwiach. Czasami wystarczy chwila nieuwagi, żeby spieprzyć sprawę. Na szczęście ta sytuacja czegoś mnie nauczyła. Dostałem porządną nauczkę – taką, o której pamięta się do końca życia.

Podobnie było po moim błędzie w killing housie – już nigdy nie zapomniałem o sygnale ruchu.

Zajęcia w Green Teamie podczas bloku CQB rozpoczynały się o świcie. Rano ćwiczyliśmy w pełnej trzydziestoosobowej grupie; resztę dnia połowa chłopaków spędzała na strzelnicy, a połowa w killing housie. W porze lunchu następowała zmiana.

Mieliśmy jedne z najlepszych strzelnic na świecie. Nie staliśmy za wymalowaną linią, strzelając do nieruchomych tarcz. Nie, biegaliśmy między przeszkodami, oddawaliśmy strzały zza szkieletów wypalonych samochodów i robiliśmy serię podciągnięć na drążkach, by już po chwili pędzić do kolejnych celów. Cały czas byliśmy w ruchu. Podstawy mieliśmy opanowane – chodziło o to, by ćwiczyć w warunkach zbliżonych do bojowych. Puls nigdy nie spadał nam poniżej pewnego poziomu, więc podczas celowania musieliśmy pracować nad oddechem.

W naszym ośrodku szkoleniowym korzystaliśmy z dwóch killing house'ów. Pierwszy, wykonany z drewnianych podkładów, symulował kilka korytarzy i prostych kwadratowych pomieszczeń. Nowszy killing house miał charakter modułowy – można go było modyfikować, żeby przypominał salę konferencyjną, łazienkę czy salę balową. Rzadko mieliśmy okazję ćwiczyć w tym samym otoczeniu częściej niż raz. Chodziło o to, by stawiać przed nami nowe wyzwania i obserwować, jak sobie z nimi radzimy.

Tempo treningu nie zwalniało nawet na chwilę. Instruktorzy nie czekali na tych, którzy nie nadążali. Ten pociąg nie stawał na żadnej stacji i jeśli spóźniłeś się na odjazd, zwykle bardzo szybko wracałeś do macierzystej jednostki. Było jak w telewizyjnym reality show – każdego tygodnia liczba kandydatów zmniejszała się. A wszystko po to, by przygotować nas na spotkanie z prawdziwym światem i wykorzenić tzw. szaraka – faceta, który stapiał się z tłem. Nigdy najlepszy, ale też nigdy najgorszy, zwykle osiągał wymagane minimum, choć rzadko je przekraczał i dzięki temu pozostawał niewidzialny. Żeby się go pozbyć, pod koniec każdego tygodnia instruktorzy dawali nam parę minut na przeprowadzenie rankingu.

Siadaliśmy przy poobijanych stolikach ogrodowych pod markizą, a każdy z nas dostawał kawałek papieru.

– Pięciu na plus i pięciu na minus, panowie – odzywał się jeden z instruktorów. – Macie pięć minut.

Musieliśmy sporządzić anonimowo listę pięciu najlepszych i pięciu najgorszych kandydatów. Instruktorzy nie mogli obserwować nas wszystkich jednocześnie od rana do wieczora, więc wyniki rankingu ułatwiały im ocenę, kto dobrze daje sobie radę. Co z tego, że człowiek świetnie strzelał i miał wspaniałe wyniki w killing housie, jeśli poza treningiem trudno się było z nim dogadać? Instruktorzy zbierali listy kandydatów i porównywali je ze swoimi. Nasz wkład decydował o losie wielu gości, bo pozwalał kadrze szkoleniowej nakreślić pełniejszy obraz każdego uczestnika kursu.

Początkowo było dość oczywiste, kto trafi do pechowej piątki – słabe ogniwa widzieliśmy gołym okiem. Z czasem jednak, gdy większość z nich odpadła, podejmowanie właściwego wyboru stało się znacznie trudniejsze.

Charlie zawsze należał do mojej czołowej piątki, podobnie jak Steve, który też pochodził ze Wschodniego Wybrzeża. Zwykle spędzaliśmy razem

weekendy i podróże.

Jeśli Steve miał akurat wolną chwilę, czytał – przede wszystkim literaturę faktu, z naciskiem na politykę i aktualne wydarzenia. Miał też całkiem pokaźny zbiór akcji, które monitorował na laptopie podczas tych kilku godzin między zajęciami. Oprócz tego, że doskonale dawał sobie radę jako żołnierz, znał się nieźle na polityce, inwestycjach i futbolu.

Był dość mocnej budowy, ale nie szczupły jak pływak, raczej przysadzisty jak obrońca futbolu amerykańskiego. Charlie ciągle żartował, że Steve przypomina świstaka.

Jako jeden z nielicznych Steve regularnie spuszczał mi łomot w strzelaniu z pistoletu. Pod koniec każdego dnia ćwiczeń sprawdzałem na tablicy z wynikami, czy znowu mnie pobił. Tak jak Charlie Steve pracował na Wschodnim Wybrzeżu jako instruktor CQB, zanim zjawił się w Green Teamie. Miał na swoim koncie trzy zmiany i był jednym z niewielu chłopaków ze Wschodniego Wybrzeża, którzy zdobyli prawdziwe doświadczenie bojowe. W tamtym okresie tylko zespoły z Zachodniego Wybrzeża brały udział w działaniach na terenie Iraku i Afganistanu. Steve poleciał pod koniec lat dziewięćdziesiątych do Bośni, a jego zespół wdał się w wymianę ognia – jedną z niewielu przed 11 września.

Wyglądało na to, że Charlie i Steve zawsze trafiają na szczyt mojej listy, ale gdy odpadali kolejni kandydaci, wskazanie piątki najgorszych stawało się coraz trudniejsze.

– Mam cholerny problem z dolną piątką – wyznałem Steve’owi któregoś wieczoru.

Siedzieliśmy przy stole na strzelnicy i czyściliśmy karabiny.

– A kogo wpisałeś w zeszłym tygodniu? – zapytał.

Wyrecytowałem kilka nazwisk – wiele z nich znalazło się także na liście Steve’a.

– Nie mam pojęcia, kogo wpisać w tym tygodniu.

– A zastanawiałeś się kiedykolwiek, czy po prostu nie wpisać siebie? – zapytał Steve.

– Mam już trzy nazwiska, ale te ostatnie dwa... Sam nie wiem – westchnąłem. – Może rzeczywiście powinniśmy wpisywać siebie? Nie chcę kopać dołków pod innymi chłopakami.

Nie uważałem jednak, żeby którykolwiek z nas źle sobie radził.

– Zaryzykuję – stwierdził w końcu Steve. – W końcu potrzebujemy pięciu nazwisk.

Parę tygodni wcześniej zostawiliśmy dolne pola niewypełnione. Cała nasza grupa postanowiła zbuntować się przeciwko zaleceniom instruktorów. Nie trwało to jednak zbyt długo. Pozostałą część nocy spędziliśmy na bieganiu i przepychaniu samochodów, zamiast na odpoczynku po długim dniu wytężonych ćwiczeń.

W tamten piątek wpisałem w dolnej części listy własne nazwisko. Steve zrobił to samo. Był człowiekiem, który zawsze stawał murem za swoimi przekonaniami. Był też liderem naszej grupy i kiedy wpadał na jakiś pomysł, pozostali kandydaci słuchali.

Pod koniec szkolenia CQB w Missisipi jedna trzecia grupy już się z nami pożegnała. Chłopcy, którzy odpadli, nie umieli przetwarzać informacji wystarczająco szybko, by podejmować decyzje w ułamku sekundy. Nie chodzi o to, że coś było z nimi nie tak – wielu z nich stawiało się na następnych preselekcjach i wielu odnosiło sukces. Ci, którzy nie mieli aż tyle szczęścia, wracali do swoich teamów, gdzie zwykle wybijali się ponad przeciętność.

Zgodnie z plotkami krążącymi w bazie kandydat, który zaliczył ćwiczenia CQB, miał ponad pięćdziesiąt procent szans na ukończenie kursu w Green Teamie. Instruktorzy też musieli o tym słyszeć, bo gdy wróciliśmy z Virginia Beach, wciąż dawali nam niezły wycisk. Nawet na chwilę nie pozwalali nam zapomnieć, że nie jesteśmy jeszcze gotowym materiałem.

Minęły zaledwie trzy miesiące z dziewięciomiesięcznego szkolenia, a następne pół roku wcale nie zapowiadało się łatwiej. Po ukończeniu bloku ćwiczeniowego CQB przeszliśmy do takich zagadnień jak wtargnięcia przy użyciu materiałów wybuchowych, wojna lądowa i komunikacja.

Jedną z podstawowych funkcji Navy SEALs jest abordaż. Spędzamy wiele tygodni, ucząc się zajmowania przeróżnych jednostek, od statków rejsowych aż po frachtowce. Choć poświęcamy wiele czasu na działania w Iraku i Afganistanie, musimy zachować sprawność w operacjach wodnych. Odgrywaliśmy również scenariusze OTB[12], podczas których płynie się przez strefę przyboju, patroluje plażę i przeprowadza szturm. Później znikaliśmy w oceanie, by połączyć się z łodziami, które czekały na wodzie.

Ostatni miesiąc kursu dotyczył ochrony VIP-ów. Pierwszy zespół ochrony afgańskiego prezydenta Hamida Karzaja składał się z SEALsów z jednostki. Wzięliśmy także udział w kursie SERE[13]. Kluczem do osiągnięcia sukcesu było panowanie nad stresem.

Instruktorzy starali się, by wszyscy kursanci działali w warunkach wycieńczenia i napięcia nerwowego – w ten sposób zmuszali nas do podejmowania decyzji w niesprzyjających okolicznościach. Tylko tak mogli zasymulować rzeczywistą walkę. Sukces i porażka każdego z operatorów zależały od umiejętności przetwarzania informacji w stresującej sytuacji. Szkolenie w Green Teamie różniło się od kursu BUD/S, bo tym razem

zdawałem sobie sprawę, że zaliczenie sprawdzianu z pływania i biegania w zimną noc nie wystarczy.

Green Team sprawdzał naszą wytrzymałość psychiczną.

W tym czasie uczyliśmy się także kultury dowodzenia. Przez cały nasz pobyt w Green Teamie musieliśmy odpowiadać na godzinne wezwania, żeby przekonać się, czego doświadczymy na osławionym drugim pokładzie. Kiedy byliśmy potrzebni, odzywał się nasz pager, co oznaczało, że mamy godzinę, by stawić się w pracy. Każdego dnia o szóstej rano budził nas testowy pisk pagerów – kolejny sposób instruktorów na zwielokrotnienie ciśnienia. Kilka razy dostawaliśmy sygnały przed świtem.

Którejś niedzieli mój pager zaczął się wydzierać koło północy. Wpadłem do bazy nie całkiem jeszcze wybudzony, a tam powiedziano mi, żebym przebrał się w strój do ćwiczeń i czekał. Instruktorzy zamierzali przeprowadzić test sprawnościowy.

W żadnej sytuacji nie wolno nam było znajdować się dalej niż godzinę drogi od bazy ani spożywać alkoholu w nadmiernych ilościach. W każdej chwili każdego dnia musieliśmy być gotowi do działania. Zdarzały się sytuacje, że SEALsi dostawali wezwanie na pager, a kilka godzin później lecieli samolotem na drugi koniec świata.

Wkrótce zaczęli się zjawiać goście z mojej grupy. Wyglądało na to, że wezwanie zakłóciło wypad do baru kilku z nich.

– Jesteś pijany? – usłyszałem, jak instruktor zapytał jednego z kandydatów.

– Oczywiście, że nie. Napiłem się tylko piwa w domu – odpowiedział.

Godzina powoli mijała, a ja nigdzie nie widziałem Charliego.

Dotarł do bazy z dwudziestominutowym spóźnieniem. Instruktorzy wyglądali na wkurzonych. Policja wlepiła Charliemu mandat za

przekroczenie prędkości, co oczywiście tylko go spowolniło. Na szczęście skończyło się na słownej reprymendzie – nie wyleciał z grupy.

Gdy do zakończenia dziewięciomiesięcznego kursu zostało kilka tygodni, zaczęliśmy słyszeć plotki o rankingu. Aby wypełnić luki w poszczególnych grupach, instruktorzy sporządzali klasyfikację kandydatów z Green Teamu, która miała pomóc szefom zespołów w doborze nowych członków.

Poszczególne zespoły podlegały nieustannym modyfikacjom. Wynikały one z rotacji zmian bojowych za oceanem i wielomiesięcznych treningów, a także następujących później miesięcy spoczynku, podczas których rozkaz wyjazdu mógł nadejść w każdej chwili.

Uzgodniwszy ranking, instruktorzy wywiesili listę. Okazało się, że cała paczka moich kumpli – łącznie ze Steve'em i Charliem – trafiła ze mną do jednego zespołu.

– Hej, gratulacje – rzucił do mnie Tom, gdy zauważył, że przeglądam listę. – Jak tylko skończę tu zajęcia jako instruktor, wracam do zespołu jako dowódca.

SEALsi w każdej chwili mogą zostać wysłani w dowolny zakątek świata. Serce każdego zespołu bojowego to grupy, kierowane przez starszych podoficerów i złożone z sześciu operatorów. Kilka zespołów tworzy pluton, który podlega komandorowi podporucznikowi, wiele plutonów składa się zaś na zespół bojowy, dowodzony przez komandora porucznika. Zespoły bojowe DEVGRU korzystają ze wsparcia analityków wywiadu i jednostek pomocniczych.

Żołnierz, który trafia do zespołu, powoli wspina się po kolejnych szczeblach starszeństwa. W większości przypadków pracuje w tym samym zespole, chyba że zostaje wyznaczony do pracy instruktora Green Teamu lub zadań pobocznych.

Dzień po rankingu zaniosłem swój sprzęt na drugi pokład. Wszedłem za Steve’em i Charliem do pomieszczenia zespołu – było całkiem spore, z niewielkim barem i kuchnią w kącie. Każdy z nas przyniósł także skrzynkę piwa – tradycja, której musiał się podporządkować każdy nowy operator.

Nasz zespół przygotowywał się obecnie do przejścia w stan gotowości i późniejszego przeniesienia do Afganistanu. Część moich kolegów z Green Teamu już się pakowała, by dołączyć do zespołów, które wylatywały na swoje zmiany.

Z boku znajdowały się wejścia do biur komandora porucznika i master chiefa. Większą część pomieszczenia zajmował duży stół otoczony mniejszymi stolikami zaopatrzonymi w komputery. Na jednej ze ścian wisiały płaskie ekrany do briefingów. Pozostałą przestrzeń ścienną wypełniały pamiątkowe ryngrafy z emblematami innych jednostek, np. australijskiego SAS-u, i pamiątki z dawnych misji. Zakrwawiony kaptur i plastikowe kajdanki przytwierdzone do jednej z tablic upamiętniały akcję pojmania bośniackiego zbrodniarza wojennego z 1990 roku. Gdzie indziej moją uwagę zwrócił karabin maszynowy SAW starszego bosmana Neila Robertsa, który wypadł ze śmigłowca Chinook trafionego dwoma pociskami RPG podczas operacji „Anakonda” (ang. „Anaconda”). Roberts został zabity przez talibańskich bojowników na początku wojny.

Kiedy stanęliśmy przy stole, zobaczyłem wszystkich tych doświadczonych gości z długimi włosami i brodami. Ręce mieli prawie całe w tatuażach i tylko kilku ubrało się tego dnia w mundur. Pod koniec szkolenia w Green Teamie wszyscy zaczęliśmy zapuszczać włosy i brody. Przez lata standardy uczesania zmieniały się kilkakrotnie, choć na tym etapie wojny ludzie coraz mniej martwili się fryzurami, a coraz bardziej działaniem na polu bitwy. Tak czy inaczej patrzyłem na zgraję obdartych

profesjonalistów. Każdy z nas miał inną historię, inne zainteresowania i hobby, lecz łączyła nas chęć poświęcenia czasu, a niekiedy nawet życia w służbie wyższym sprawom.

Starsi koledzy nakłonili nas, żebyśmy się przedstawili i opowiedzieli krótko o sobie. Pierwszy odezwał się Charlie, ledwie jednak zdążył wypowiedzieć swoje imię, a zagłuszyła go wrzawa gwizdów i pokrzykiwań.

– Zamknij się! Mamy to gdzieś!

Każdy z nas mógł liczyć na równie ciepłe przyjęcie. Później jednak ściskali nam dłonie i pomagali rozpakowywać sprzęt. Tylko robili sobie jaja, a poza tym mieliśmy wystarczająco wiele zmartwień na głowie, żeby przejmować się takimi drobiazgami. Tam, na zewnątrz, toczyła się wojna i nikt nie marnował czasu na mało znaczące powitania.

Poczułem się jak w domu.

To była taka jednostka, o jakiej marzyłem, odkąd wstąpiłem do marynarki. Tu nie istniały żadne granice umiejętności ani zaangażowania. W moim przypadku strach przed porażką nagle zamienił się w pragnienie, by dawać z siebie wszystko i osiągać jak najlepsze wyniki.

To, czego jakiś rok wcześniej nauczyłem się podczas trzydniowej preselekcji, dziś stało się jeszcze bardziej oczywiste: norma to za mało.

Gdy rozpakowywałem sprzęt, dotarło do mnie, że znów będę musiał udowadniać innym swoją wartość. Fakt, że wytrwałem do końca w Green Teamie, gówno znaczył. Goście, którzy krzątali się wokół mnie, skończyli ten sam kurs. Kiedy to zrozumiałem, obiecałem sobie, że zaharuję się na śmierć, żeby stać się ważnym elementem zespołu.

ROZDZIAŁ 3

Drugi pokład

Na kilka tygodni przed zaplanowanym przeniesieniem do Afganistanu wydrukowałem sobie spis rzeczy do spakowania. Był rok 2005, a ja właśnie przygotowywałem się do swojej pierwszej zmiany w państwie centralnej Azji. Podczas pobytu w SEAL Team Five zdobywałem doświadczenie bojowe tylko w jednej zmianie – w Iraku – a teraz stałem przy drukarce, patrząc, jak wypluwa kolejne kartki. Sześć drobno zadrukowanych stron później zacząłem kompletować wyposażenie. Lista sugerowanego sprzętu zawierała dosłownie wszystko.

Pracowaliśmy w jednostce na tzw. zasadach dużych chłopców, co oznaczało, że nikt nie stał nam nad głowami, jeśli nie było to konieczne. Odkąd trafiłem do zespołu, chlubiłem się swoją niezależnością. Przez trzy miesiące ciężko trenowałem i robiłem wszystko, by koledzy uznali mnie za cenny nabytek. Zrozumiałem, że nie muszę obawiać się pytań, ale też nie chciałem być tym gościem, który nigdy nic nie wie i zadręcza innych swoimi wątpliwościami.

W każdym razie wolałem nie popełnić błędu podczas swojej pierwszej zmiany, nie zabierając czegoś ważnego, i gdy zauważyłem dowódcę zespołu, postanowiłem zasięgnąć jego rady.

– Hej – zagaiłem, chwytając za kubek z kawą. – Kompletuję sprzęt na wyjazd, a lista z sugerowanym wyposażeniem każe mi zabrać wszystko, co się da.

Mój dowódca siedział przy granitowym blacie i sączył kawę, pochylony nad jakąś papierkową robotą. Był niski, przysadzisty i w odróżnieniu od pozostałych gości z zespołu, którzy preferowali długi, niechlujny zarost, krótko ścięty i ogolony. Nie sprawiał wrażenia rozmownego gościa, a z tego co słyszałem, miał w DEVGRU dłuższy staż niż ja w marynarce.

Na dodatek traktował „zasady dużych chłopców” śmiertelnie poważnie.

– Od kiedy służysz w marynarce? – zapytał.

– Będzie szósty rok – odparłem.

– Jesteś SEALsem od sześciu lat i nie wiesz, co zabrać na zmianę?

Poczułem się jak dupek.

– Chłopie, zastanów się, co będzie ci potrzebne i po prostu to zabierz – dodał po chwili. – To wszystkie wskazówki, jakich potrzebujesz. Pakuj to, co niezbędne.

– Przyjąłem.

W klatce z powrotem rozłożyłem swój sprzęt. Każdy operator DEVGRU miał własną klatkę – coś w rodzaju schowka o rozmiarach kanciapy, z półkami ciągnącymi się wzdłuż wszystkich ścian. Z tyłu znajdował się też wieszak na mundury.

Na półkach leżały torby wypełnione sprzętem niezbędnym podczas przeróżnych zadań, do jakich w każdej chwili mogliśmy zostać powołani. W jednej torbie trzymałem wszystko, czego potrzebowałem do CQB,

w innej wyposażenie do skoków spadochronowych z dużych wysokości. W osobnym, zielonym worku, znajdował się sprzęt do nurkowania bojowego. Wszystko idealnie posortowane i dla jasności oznaczone kolorami. Moja nerwica natręctw nigdy nie pozwalała o sobie zapomnieć.

Część sprzętu, jak np. narzędzie wielofunkcyjne Gerbera, przydawała się jednak niemal zawsze. W SEAL Team Five należał nam się tylko jeden egzemplarz takiego sprzętu, który zawierał ostrze, śrubokręt, nożyczki i otwieracz do puszek.

Dostawaliśmy też tylko jeden celownik optyczny do karabinu.

Jeden nóż o stałej klindze.

Jeden zestaw płyt balistycznych.

Oznaczało to konieczność przetrząsania wielu toreb z wyposażeniem, by znaleźć ten jeden niezbędny przedmiot i przełożyć go do tej ze specjalistycznym sprzętem przygotowanym do określonego zadania. Oczywiście było to kłopotliwe i niepraktyczne, ale tak wyglądała polityka Stanów Zjednoczonych. Do pewnych rzeczy zdążyłem się już przyzwyczaić.

W DEVGRU sprawy wyglądały jednak inaczej.

Później tego samego dnia dowódca dołączył do mnie w klatce – chciał sprawdzić, jak sobie radzę, i zauważył moje zestawy wyposażenia w oznaczonych kolorami torbach. Z boku miałem jeszcze jeden, dodatkowy worek ze sprzętem niezbędnym podczas większości misji, w którym trzymałem między innymi gerbera.

– Idź do magazynu i poproś o gerbera do każdej torby – powiedział na jego widok.

Spojrzałem na niego zdezorientowany.

– Mogę mieć cztery gerbery?

– Jasne. Masz cztery różne zestawy wyposażenia i w każdym z nich potrzebujesz gerbera, zgadza się? – zapytał retorycznie.

Złożył podpis na moim wniosku, a ja zaniosłem go do magazynu.

– Czego potrzebujesz? – zapytał w okienku chłopak z zaopatrzenia.

Pokazałem mu listę. Wypisałem na niej podstawowe rzeczy, takie jak latarki i inne narzędzia, ale wszystko po cztery razy.

– Okej – powiedział bez wahania. – Zaraz wracam.

Kilka minut później wrócił do mnie z plastikowym pojemnikiem pełnym wszystkiego, co wpisałem na listę. Z trudem powstrzymywałem uśmiech, który cisnął mi się na twarz. Miałem wrażenie, jakby spełnił się mój najskrytszy sen. W poprzednich zespołach goście wydawali tysiące dolarów, by skompletować wyposażenie potrzebne do pracy.

Prawdziwa niespodzianka czekała mnie jednak dopiero w arsenale. Nad drzwiami wisiała tabliczka: „Ty marzysz, my tworzymy”.

Facet taki jak ja, który miał fioła na punkcie broni, czuł się tam jak w siódmym niebie. Na moją prośbę przygotowali dla mnie dwa karabinki M4 kalibru 5,56 mm – jeden z czternasto-, a drugi z dziesięciocalową lufą. Miałem też pistolet maszynowy MP7 kalibru 4,6 mm i całą kolekcję pistoletów, łącznie ze standardową w Navy SEAL wersją Sig Sauera P226. Moją podstawową bronią był wyciszony karabin Heckler&Koch HK416 kalibru 5,56 mm z 10,5-calową lufą, celownikiem holograficznym EOTech i dodatkowym trzykrotnym powiększalnikiem. Drugi karabin HK416 – z czternastocalową lufą – przystosowałem do strzelania na duże odległości. Jego także wyposażyłem w tłumik, a na szynie osadziłem celownik optyczny Nightforce 2.5X10.

Do HK416 z dłuższą lufą dołączyłem wskaźnik laserowy widoczny wyłącznie w noktowizji i celownik termowizyjny mocowany przed

celownikiem optycznym, zapewniający większą skuteczność podczas nocnego strzelania. Nie korzystałem z tej broni zbyt często, bo mój główny karabin z krótszą lufą nadawał się do większości zadań, ale dobrze było mieć zapasową broń o większym zasięgu.

Na kilka misji wziąłem pistolet maszynowy HK MP7, ale brakowało mu mocy obalającej HK416. Pistolet maszynowy przydawał się szczególnie podczas działań abordażowych, w dżungli oraz w każdej sytuacji, gdy waga, ciężar i głośność broni odgrywały istotne znaczenie. Parę razy zdarzyło się nam strzelać do napastników z wyciszonych MP7, a ich towarzysze w pokoju obok nawet się nie obudzili. HK416 nie mógł się równać z MP7 pod względem dyskrecji.

Moje uzbrojenie dopełniały dwa pistolety: Sig Sauer P226 kalibru 9 mm i Heckler&Koch HK45C kalibru 11,43 mm. Do obu można było zamontować tłumik, zwykle jednak korzystałem z czterdziestki piątki. Używałem także granatnika M79 kalibru 40 mm, który nazywaliśmy „pirackim gnatem", bo wyglądał jak garłacz. Nasi rusznikarze skracali ich lufy i przerabiali kolby na uchwyty pistoletowe.

Oczywiście żadna z tych broni nie była standardowym egzemplarzem. Chyba wszyscy wprowadzaliśmy indywidualne modyfikacje spustów, kolb i chwytów. Rusznikarze z jednostki byli dumni z faktu, że mogli dbać o narzędzia, od których zależało życie operatorów. Bez wątpienia DEVGRU dysponuje najlepszymi narzędziami w branży.

Kiedy człowiek wałęsał się po bazie, często słyszał odgłosy strzałów dolatujące z krytych i terenowych strzelnic albo huk ładunku odpalanego w killing housie. Treningi nie ustawały nawet na chwilę. Widok gości przechodzących w pełnym wyposażeniu i z załadowaną bronią przewieszoną przez szyję z jednego punktu ćwiczeń do drugiego nie należał

do rzadkości. Wszystko koncentrowało się wokół wojny i przygotowań do niej.

Nawet nie zdążyłem dobrze zadomowić się w zespole, gdy w 2005 roku wpakowali mnie do samolotu i wysłali do Afganistanu. W tamtym czasie jednostka działała głównie w Afganistanie, podczas gdy oddziały Delta Force stacjonowały w Iraku.

Delta przechodziła akurat fatalny okres – w krótkim czasie stracili kilku ludzi i z tego powodu zwrócili się o wsparcie. Na ich prośbę odpowiedziała DEVGRU, a mój zespół został wytypowany do pomocy. Ponieważ jednak w zespole nie chcieli, żebym odbywał pierwszą zmianę z Deltą, imałem się różnych zajęć, pomagając naszym chłopakom w Afganistanie.

Do czasu; ze względu na potrzeby Delty w końcu musiałem opuścić Afganistan i razem z dwoma innymi SEALsami udać się w podróż do Iraku.

Dotarliśmy do Bagdadu grubo po północy. Podczas jazdy z lądowiska śmigłowców na wyludnionych ulicach Zielonej Strefy panowała ciemność. Było lato, a parne powietrze otulało nas niczym koc. Siedząc na pace pickupa, gdzie leżał nasz sprzęt, cieszyłem się pędem powietrza. Wrażenia, zapachy... jakbym cofnął się w czasie do 2003 roku, gdy odbywałem swoją pierwszą zmianę bojową w Bagdadzie w SEAL Team Five.

Zjawiliśmy się wtedy w Iraku tuż po rozpoczęciu inwazji. Nasza pierwsza misja polegała na zabezpieczeniu zapory hydroelektrowni Mukarayin położonej na północny wschód od irackiej stolicy. W łańcuchu dowodzenia obawiali się, że siły irackie spróbują wysadzić tamę, żeby spowolnić postępy wojsk amerykańskich w Bagdadzie.

Plan był banalny: opierając się na naszym doświadczeniu – którego nie mieliśmy wcale – zamierzaliśmy polecieć do punktu X, co oznaczało

lądowanie bezpośrednio u celu, żeby zaskoczenie i szybkość zadziałały na naszą korzyść. W tym przypadku punktem X była tama, a plan zakładał, że gdy tylko śmigłowce znajdą się nad celem, zjedziemy po linach prosto na dziedziniec. Stamtąd pobiegniemy do głównego budynku, żeby go wyczyścić i zabezpieczyć. W pobliżu oddział GROM-u, polskiej jednostki sił specjalnych, miał za zadanie wyczyścić drugie skupisko budynków, podczas gdy inny zespół Navy SEALs będzie zabezpieczać okolicę na dwóch pustynnych pojazdach terenowych.

Po kilku dniach oczekiwania na odpowiednią pogodę dostaliśmy sygnał do rozpoczęcia operacji. Kiedy wsiadałem do śmigłowca MH-53, serce mi waliło. Czekałem na ten moment, odkąd jako dziecko czytałem o zasadzkach w delcie Mekongu.

Za chwilę miałem wylecieć na swoją pierwszą operację bojową. Wiele razy myślałem o tym, wiele razy czytałem, a teraz wreszcie nadarzyła się okazja.

Wydaje mi się, że powinienem był odczuwać strach albo lęk przed nieznanym, ale ja czułem się naprawdę dobrze. Nie chciałem do końca życia uczestniczyć w treningach – marzyłem, by wreszcie zagrać o prawdziwą stawkę.

Lot – łącznie z tankowaniem w powietrzu – potrwał kilka godzin. Mój zespół, złożony z dwudziestu ludzi, siedział ściśnięty w śmigłowcu. Czuliśmy zapach paliwa, gdy maszyna uzupełniała zbiorniki przez sztywny przewód w części dziobowej maszyny. W kabinie panowały egipskie ciemności, a ja wyłączyłem się na większą część podróży i dopiero sygnał szefa załogi przywołał mnie do rzeczywistości.

– Dwie minuty – zawołał, dając nam znak ręką i włączając czerwone światło. Było już dawno po północy, gdy śmigłowiec zbliżał się do tamy.

Zająłem pozycję przy drzwiach i chwyciłem za linę. Silniki ryczały tak głośno, że nic nie słyszałem. Podobnie jak reszta chłopaków z zespołu uginałem się pod ciężarem sprzętu wyważeniowego i kombinezonu przeciwchemicznego. Pomysłowa wróżka – tak nazywaliśmy tendencję ludzi układających plany, by brać pod uwagę każdą, nawet najbardziej nieprawdopodobną ewentualność i obciążać zespół dodatkowym wyposażeniem – podczas tej misji szalała w najlepsze. Mieliśmy nawet piłę spalinową, żeby przedostać się przez ogrodzenie, nie mówiąc o zapasie jedzenia i wody na kilka dni. Nikt nie potrafił określić, ile czasu tu spędzimy, więc musieliśmy być samowystarczalni. Ogólna zasada brzmi: jeśli masz wątpliwości, pakuj. Oczywiście większy ciężar odciska na człowieku swoje piętno; sprawia, że jest wolniejszy i trudniej mu szybko reagować na zagrożenie.

Kiedy śmigłowiec ustawiał się do zawisu, złapałem oburącz linę, by zjechać na dół. Wisieliśmy na wysokości dziewięciu metrów, a ja widziałem, jak ziemia szybko zbliża się w moją stronę. Próbowałem przyhamować, ale nie za bardzo, żeby na głowie nie wylądował mi żaden z kolegów. Obładowany sprzętem, uderzyłem w ziemię jak tona cegieł. Bolały mnie nogi, gdy unosiłem broń, rzucając się pędem w stronę bramy niecałe sto metrów dalej.

Gdy wybiegłem spod śmigłowca, uderzył we mnie podmuch powietrza z wirników. Niewielkie kamyki bombardowały całe moje ciało, a kurz zasypywał oczy. Ledwie widziałem przed sobą bramę. Fala powietrza pchnęła mnie w niekontrolowany sprint. Musiałem się cholernie starać, żeby nie upaść. Zatrzymałem się dosłownie ślizgiem.

Reszta chłopaków była tuż za mną. Szczypcami do prętów odciąłem zamek, po czym ruszyłem na szpicy w kierunku zgrupowania zabudowań. Główny budynek miał dwie kondygnacje i kształt typowy dla bezbarwnej,

betonowej architektury użytkowej krajów bloku wschodniego. Drzwi były metalowe. Koledzy z zespołu ubezpieczali mnie, kiedy nacisnąłem na klamkę.

Otwarte.

Wchodząc do długiego korytarza, nie miałem bladego pojęcia, czego się spodziewać – w każdej chwili mogliśmy się znaleźć pod ostrzałem.

Po bokach dostrzegłem kolejne pomieszczenia. Gdy ruszyliśmy naprzód, naszą uwagę zwrócił ruch w jednym z tych bardziej oddalonych. Najpierw pojawiły się dwie ręce, a zaraz potem grupa irackich strażników. Szli z podniesionymi rękami, wszyscy nieuzbrojeni.

Chłopcy z zespołu przepędzali ich korytarzem do wyjścia, podczas gdy ja zmierzałem przed siebie. W pokoju znalazłem kilka karabinów AK – żaden nie był gotowy do strzału. Wyglądało na to, że strażnicy spali i obudziły ich dopiero silniki śmigłowców.

Wyczyszczenie budynku zabrało nam sporo czasu, głównie z powodu jego rozmiarów. Musieliśmy zwracać dużą uwagę na detale; szukaliśmy ładunków wybuchowych – nasz łańcuch dowodzenia podejrzewał, że Irakijczycy zamierzają wysadzić tamę. Nigdy wcześniej nie zabezpieczaliśmy takiego kolosa, więc trwało to dłużej, niż się spodziewaliśmy.

Nikt nie odniósł ran, jeśli nie liczyć gościa z GROM-u, który złamał kostkę podczas zjazdu po linie do punktu lądowania.

Po zabezpieczeniu budynku podszedł do mnie chief plutonu.

– Hej, możesz sprawdzić moje radio? – poprosił. – Nie dostaję żadnych komunikatów.

Gdy wylatywaliśmy z bazy, miał swoje radio na plecach. Teraz, gdy przede mną stał, widziałem tylko przewód słuchawki zwisający z jego

ramienia. Spojrzałem do tyłu – pusto. Radio zniknęło, został tylko kabel.

– Zgubiłeś kieszeń z radiem – powiedziałem mu.

– Zgubiłem? Chyba nie nadążam – odparł zdezorientowany.

– Po prostu. Zniknęła.

Nie przypiął odpowiednio kieszeni do kamizelki kuloodpornej. Kamizelka ma naszyte na plecach i na piersi rzędy poziomych taśm z przeszyciami tworzącymi komórki, do których mocuje się wyposażenie. Mój chief przymocował kieszeń tylko do górnych i dolnych pętli; gdy zjeżdżał po linie, strumień powietrza zerwał mu radio z pleców i cisnął nim do wody pod tamą. Radio leżące na dnie rzeki na niewiele się nam zdało. Ta sama przykra niespodzianka spotkała zresztą sanitariusza – stracił przez to morfinę schowaną w podobnej kieszeni.

Duża część sprzętu, którego używaliśmy podczas tamtej operacji, była dla nas całkiem nowa. Tuż przed wylotem na zmianę w naszej sali pojawiły się pudła z wyposażeniem. Mantra operatorów brzmi: „ćwicz tak, jak walczysz”, co znaczy że nie wolno ruszać do walki z wyposażeniem, którego się wcześniej nie przetestowało, i to najlepiej bardzo intensywnie. Złamaliśmy tę regułę, a ja wiedziałem, że tym razem mogliśmy mówić o wielkim szczęściu, bo głupota często mści się na człowieku. To była nasza pierwsza lekcja.

Później wyszło na jaw, że los uśmiechnął się do nas więcej niż raz. Irakijczycy mieli działka przeciwlotnicze w pobliżu tamy, załadowane i gotowe do użycia. Gdyby strażnicy postanowili walczyć, mogliby strącić śmigłowce, kiedy zjeżdżaliśmy po linach.

Podczas tej misji nauczyliśmy się miliona rzeczy – na przykład tego, że potrzebujemy dokładniejszych informacji na temat celu i że musimy lepiej zabezpieczać sprzęt. Nikogo jednak nie straciliśmy. Zazwyczaj najlepsze

nauczki to te najbardziej bolesne, ale mnie nie dawało spokoju, że tak ogromną rolę w naszym przeżyciu odegrało zwykłe szczęście. Mój perfekcjonizm dostał porządnego pstryczka w nos.

Kiedy trzy dni później śmigłowce zabierały nas do Kuwejtu, uświadomiłem sobie, że choć wszyscy moi koledzy z Team Five mieli mniejsze bądź większe doświadczenie w Navy SEAL, tak naprawdę byliśmy początkującymi operatorami, a ten szturm stanowił nasz chrzest.

ROZDZIAŁ 4

Delta

Dwa lata później, z powrotem w Bagdadzie, miałem już nieco większe doświadczenie, choć bez przesady. Zgłosiłem się do Green Teamu i z powodzeniem ukończyłem kurs, ale bez wątpienia ciągle byłem „nowy”. Na moją korzyść przemawiał fakt, że spędziłem zmianę w irackiej stolicy, służąc w Team Five. Po misji zabezpieczenia tamy mój zespół został wysłany do Bagdadu, by pomóc w ujęciu lojalistów poprzedniego reżimu i przywódców sił powstańczych.

Delta zorganizowała swoją bazę w Zielonej Strefie, która leży w centrum miasta, nad brzegiem Tygrysu. Zaraz po wylądowaniu rozejrzałem się po okolicy. Baza znajdowała się w niewielkiej odległości od pary osławionych łuków w postaci skrzyżowanych szabli, wzniesionych na wielkim placu apelowym, by uczcić „zwycięstwo” w wojnie iracko-irańskiej. Za dnia można tam było spotkać całe oddziały pozujące do zdjęć obok dłoni, które ściskały rękojeści zakrzywionych kling. Podobno dłonie i przedramiona zostały wyrzeźbione na podobieństwo rąk dyktatora, łącznie z odciskiem linii papilarnych kciuka.

Punkt dowodzenia Delty mieścił się w niegdysiejszej siedzibie Partii Baas. Wszedłem do środka, by zgłosić się do Centrum Operacji Połączonych. Jon, nowy dowódca zespołu, spotkał się ze mną zaraz po moim przylocie. Byłem tu całkiem nowy i jeszcze nie wiedziałem, czego się spodziewać.

Jon, były Ranger, który przeszedł do Delta Force, miał szeroki beczkowaty tors i mocno zbudowane ręce. Nosił też krzaczastą brodę, która sięgała mu do piersi i przypominał wyrośniętą wersję Gimliego, gniewnego krasnoluda z *Władcy pierścieni*.

Jon wstąpił do armii po zakończeniu nauki w szkole średniej. Po latach ścinania się na krótko i przestrzegania surowych reguł Rangersów złożył podanie do szkoły chorążych, żeby zostać pilotem śmigłowca Apache. Ostatecznie zdecydował jednak, że nie odda swojego karabinu, więc dołączył do Delty, żeby tam wspinać się po szczeblach starszeństwa.

– Witaj w raju – rzucił, gdy wchodziliśmy do pomieszczenia zespołu. – Odpowiada ci temperatura?

– Przynajmniej macie tu klimatyzację – odparłem. – Gdy tu ostatnio byłem, mieszkaliśmy w namiocie. Nie mieliśmy klimy przez długie tygodnie.

– Teraz żyje się tu trochę lepiej.

Nasz pokój znajdował się w jednym ze skrzydeł pałacu o szerokich korytarzach, marmurowych posadzkach i wysokich sufitach. Miałem go dzielić z Jonem i jakimś nowym gościem z ich zespołu. Moje łóżko stało w kącie. Zostawiłem obok niego rzeczy, a Jon pomógł mi przytargać resztę sprzętu, po czym oprowadził mnie po pałacu.

Mieli w nim własną salę gimnastyczną, stołówkę, basen – a nawet kilka basenów, ściśle rzecz biorąc – i po dwa pomieszczenia dla każdego zespołu.

Nasz składał się z pięciu facetów, między innymi byłego żołnierza brytyjskich Royal Marines z podwójnym obywatelstwem. Przyleciał do Stanów Zjednoczonych, zaciągnął się do służby i po jakimś czasie wypracował sobie awans w szeregi Delty. Pozostali chłopcy – Jon nie był tu wyjątkiem – stanowili mieszankę dawnych Rangersów i Zielonych Beretów. Najnowszym gościem był Ranger, który został ranny w trakcie znanej z *Helikoptera w ogniu* bitwy stoczonej z Somalijczykami w Mogadiszu. Z fryzurą jak spod garnka i nierówną brodą, która nigdy się nie zrastała, wyglądał całkiem jak amisz.

Po krótkiej pogawędce zająłem się przygotowywaniem wyposażenia. Zeszła mi na tym większa część nocy. Najpierw rozpakowałem swój sprzęt operacyjny do schowka w korytarzu – gdyby coś zaczęło się dziać, mogłem bez większych problemów uzbroić się i wybiec na zewnątrz. Załatwiwszy tę sprawę, zrobiłem porządek z ciuchami i pościeliłem łóżko. Mieliśmy łóżka piętrowe i większość chłopaków używała górnej pryczy do przechowywania rzeczy, a w dolnej zawieszała śpiwór, żeby zyskać odrobinę prywatności.

Zbliżał się świt, gdy wreszcie skończyłem. Ponieważ pracowaliśmy na nocnej zmianie, prawie wszyscy moi koledzy ucinali komara. W pokoju znajdowała się kanapa i telewizor. Zrobiłem sobie kawę i usiadłem przed telewizorem, gdy podszedł do mnie Jon.

– Jutro wprowadzimy cię w temat – rzucił. – Daj znać, gdybyś czegoś potrzebował.

– Dzięki – odpowiedziałem.

– Byliśmy ostatnio bardzo zajęci – ciągnął Jon. – Takie luźne dni jak dziś nie zdarzają się często. Jutro w nocy na pewno będziemy w terenie.

Raczej się ze mną nie cackali. Przeważnie wstawałem po południu i szedłem na basen ze słuchawkami iPoda w uszach. Odprężałem się do

muzyki Red Hot Chili Peppers albo Linkin Park, rozciągnięty na dmuchanym materacu. Pływałem na nim chwilę, ciesząc się słońcem. Jeden z moich kumpli z zespołu w ramach hobby zaczął pielęgnować trawę wokół basenu. W kraju pełnym piachu i kamieni własny skrawek zieleni był luksusem. W niektóre dni mogłem się rozkoszować zapachem świeżo skoszonej trawy.

Następnie jadłem śniadanie i ćwiczyłem na sali gimnastycznej lub biegałem. Starałem się też chodzić na strzelnicę tak często, jak to możliwe. O zmierzchu zaczynały mnożyć się roboty – zwykle zaliczaliśmy jedną operację, dwie, jeśli mieliśmy szczęście.

Wchodziłem w skład tzw. „zespołu dachowego” – razem z innymi chłopakami latałem na podwieszanych ławkach nad płozami śmigłowca MH-6 Little Bird. Lądowaliśmy na dachu budynku i uderzaliśmy z góry, podczas gdy reszta sił podjeżdżała pod cel pojazdami opancerzonymi i czyściła parter, po czym kierowała się na kolejne piętra.

Little Bird to lekki śmigłowiec używany do operacji specjalnych przez siły lądowe Stanów Zjednoczonych. Ma bardzo charakterystyczną kabinę o jajowatym kształcie i dwie ławeczki do siedzenia, zamontowane na zewnątrz. W wariancie bojowym zastępuje się je karabinami maszynowymi i wyrzutniami pocisków niekierowanych.

W Bagdadzie latali nimi piloci ze 160. Pułku Lotniczego Operacji Specjalnych, którzy wykonują większość misji dla JSOC. Pracowaliśmy razem przez wiele lat i mogę potwierdzić, że piloci z tego pułku są najlepsi na świecie. Ich przydomek to Night Stalkers[14], ponieważ większość misji wykonują pod osłoną nocy.

Pracowałem już na Little Birdach, kiedy szkoliłem się w Green Teamie, ale w Bagdadzie siedziałem przycupnięty na ławeczce niemal każdej nocy,

podczas gdy miasto mknęło w dole, rozmazane – tak jak po północy kilka dni po moim przyjeździe.

Jedyne co słyszałem to ryk silników i świst wiatru. Przy prędkości ponad stu dziesięciu kilometrów na godzinę pęd powietrza bił o moje ciało, podczas gdy nogi zwisały z krawędzi siedzenia. Wiedziałem, że spokój i czysty umysł to podstawa przy podejmowaniu decyzji, ale nie było o to łatwo, gdy człowiek pędził niczym na rollercoasterze prosto w strefę walki.

Dociągnąłem pas nośny karabinu, przyciskając broń do piersi, po czym sprawdziłem linę bezpieczeństwa, która miała utrzymać mnie na śmigłowcu, nawet gdybym się ześliznął. W zielonym obrazie noktowizora z mojej ławeczki dostrzegłem drugiego Little Birda, który leciał w formacji na prawej flance. Siedzący w nim kolega z Delty zauważył, że patrzę w jego stronę i pokazał mi środkowy palec. Odpowiedziałem takim samym salutem.

Podczas tej akcji nasze zadanie polegało na ujęciu wysoko postawionego przemytnika broni, który był kolejnym ogniwem w łańcuchu sponsorów rebelii. Mężczyzna ukrywał się w skupisku piętrowych domów w pobliżu centrum miasta razem z kilkoma bojownikami i wielką skrzynią pełną broni. Nasz zespół miał się dostać Little Birdem na dach i jak zwykle zaatakować z góry, podczas gdy nasi koledzy jechali Pandurem, opancerzonym transporterem wyposażonym w karabiny maszynowe Browning M2 kalibru 12,7 mm i granatniki automatyczne Mk 19 kalibru 40 mm. Uzgodniliśmy, że po odwróceniu uwagi wroga zaczekają około pół minuty, żebyśmy zdążyli wyważyć drzwi na dachu, po czym wejdą od parteru, a my będziemy przebijać się do środka.

Pode mną rozciągał się gąszcz przysadzistych budynków poprzecinany drogami i alejkami. Siedziałem w przedniej części ławki, tuż za kabiną, a Jon po przeciwnej stronie.

– Minuta – usłyszałem przez radio głos pilota. Spokojnym gestem wystawił rękę przez drzwi i uniósł jeden palec, by się upewnić, że odebrałem sygnał.

Ze swojego miejsca widziałem drugiego pilota, który wskazał laserem dach celu. Noc w noc nasi piloci manewrowali przez morze tysięcy dachów, żeby dostarczyć nas na ten jeden konkretny. Nie miałem bladego pojęcia, jak im się to udawało z taką dokładnością – dla mnie wszystkie wyglądały dokładnie tak samo.

Czułem, że śmigłowiec obniża pułap. Zwalniając do zawisu, pilot mógł wylądować na samej krawędzi dachu, opierając o nią płozę. Zamiast zjeżdżać na linach, schodziliśmy na płozę i zeskakiwaliśmy, dzięki czemu w niecałe dziesięć sekund cały czteroosobowy zespół znalazł się w wyznaczonym miejscu, a Little Bird odleciał.

Specjalista od wyważania, tzw. „breacher”, pobiegł do drzwi i wysadził zamek ładunkiem. Parę sekund później usłyszałem eksplozję na parterze, po której nastąpiły strzały.

Jon szedł na przedzie, gdy dostaliśmy się na klatkę schodową.

– Wylądowaliśmy na złym dachu – powiedział po zaledwie kilku krokach.

To prawda – odgłos strzałów dolatywał z budynku obok. Podbiegliśmy na skraj dachu; strzałom towarzyszył huk niewielkich wybuchów, prawdopodobnie granatów ręcznych.

– O jeden dom za daleko – stwierdził Jon. Przesuwaliśmy się, zachodząc w głowę, jak pomóc kolegom przeprowadzającym akcję.

Wszystkie budynki wyglądały z powietrza identycznie i po raz pierwszy piloci wysadzili nas na niewłaściwym. Lecąc z południa, minęli cel i wylądowali po północnej stronie.

– Musimy się tam jakoś dostać – stwierdził Jon. – Tu na nic się nikomu nie przydamy.

Sąsiedni budynek był położony na wschód od celu i miał trzy kondygnacje, co pozwoliłoby nam zaasekurować cel z dachu.

– Mamy rannego orła – usłyszałem przez radio, co oznaczało, że ktoś został trafiony. Później okazało się, że jeden z chłopaków z Delta Force oberwał w łydkę, a kilku innych poraniły odłamki granatu.

Rebelianci zadekowani w domu zrzucali granaty w dół klatki schodowej, spowalniając postępy naszych operatorów, którzy kończyli czyścić parter i ruszyli na piętro.

Zespół naziemny zaczął organizować transport dla rannego, wycofując się spod schodów. Tymczasem my zdążyliśmy okrążyć kwartał i zabezpieczyć budynek na wschód od celu.

Huk eksplozji i broni palnej niósł się echem przez pomieszczenia. Wszedłszy na dach, zaczęliśmy szukać potencjalnych celów. Widziałem wiązki wskaźników laserowych przeczesujące okna, kiedy moi koledzy czekali na ruch, który zdradziłby wroga. Co parę minut jeden z rebeliantów wystawiał z okna na piętrze AK i posyłał długą serię.

– *Allah Akbar!* – krzyczeli, zasypując kulami szturmujących na dole.

Klasyczny impas. Zespół na parterze nie mógł wbiec schodami na górę, a my nie mieliśmy jak dostać się na dach, żeby zaatakować w dół. Przez radio słyszałem komendy wysyłane do zmechanizowanej piechoty oddalonej o jakieś dziesięć przecznic – żołnierze zapewniali nam zewnętrzny pierścień bezpieczeństwa.

Lubiliśmy mieć dwa pierścienie bezpieczeństwa. Tej nocy bliższy składał się z oddziału Rangersów, którzy zasadzili się na rogu obszaru

stanowiącego nasz cel. Półtora kilometra dalej czekały czołgi M1 Abrams i bojowe wozy piechoty M2 Bradley uzbrojone w działka kalibru 20 mm.

– Przyślijcie tu Bradleya – doleciało do mnie z radia.

Słyszałem, jak gąsienice wgryzały się w asfalt, gdy pojazd podjeżdżał do budynku.

– Chcę, żebyś zrównał z ziemią całe piętro! – krzyknął kierujący szturmem do dowódcy wozu siedzącego we włazie u szczytu działka.

Przebiwszy się przez kamienną ścianę po południowej stronie budynku, Bradley stanął na dziedzińcu i wypluł krótką serię z dwudziestomilimetrowego działka. Pociski z łatwością podziurawiły ściany na piętrze, zostawiając w betonie ziejące otwory.

Cofnąłem się i zauważyłem, że dowódca szturmu podbiega do Bradleya.

– Nie przestawaj strzelać! – krzyknął w stronę włazu.

– Co?! – nie zrozumiał strzelec.

– Masz zrównać z ziemią całe piętro – powtórzył dowódca szturmu. – Strzelaj.

Gąsienice zatrzeszczały na gruzie i Bradley znów otworzył ogień. Jeden z rebeliantów krzyknął „*Allah Akbar*”, po czym pociągnął serią z okna.

Tym razem Bradley nie odpuszczał, a chłopcy z zespołu zaczęli wiwatować, gdy pociski trafiały w budynek w kolejnych eksplozjach. W ciągu kilku minut Bradley wystrzelał całą amunicję. Przyzwaliśmy drugi wóz, ale jemu też szybko skończyły się pociski.

Kiedy drugi Bradley cofał, na piętrze wybuchł piekielny pożar. Z okien trysnęły kłęby czarnego dymu, który szybko wzbił się w powietrze. Z naszej pozycji na dachu słyszeliśmy pokrzykiwania rebeliantów. Siedziałem na północnowschodnim rogu, kryjąc tyły budynku, w którym się zadekowali. Przez coraz gęstszy dym trudno było cokolwiek dostrzec.

Nagle zobaczyłem zarys głowy i torsu mężczyzny w oknie.

Bez namysłu umieściłem plamkę lasera na jego piersi i pociągnąłem za spust. Oberwał, widziałem to wyraźnie. Zatoczył się do tyłu i znikł w ciemnym dymie.

Po mojej serii natychmiast podbiegł do mnie Jon.

– Co tam masz?

– Zobaczyłem faceta w oknie – wyjaśniłem.

– Jesteś pewien? – Zaczął przeczesywać wskazane przeze mnie okno własnym laserem.

– Tak.

– Ściągnąłeś go?

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– Dobra. Zostań tutaj.

Jon wrócił na pozycję, a ja rozglądałem się za nowymi celami. Nie miałem czasu analizować tego, co się stało, i właściwie nie towarzyszyły mi żadne uczucia. Właśnie zastrzeliłem pierwszego człowieka w swoim życiu i choć niejednokrotnie zastanawiałem się, jak to na mnie wpłynie, tak naprawdę nie wpłynęło w żaden sposób. Wiedziałem, że ludzie zabarykadowani w budynku próbowali zabić moich kolegów na parterze i nie zawahaliby się ani chwili, gdybym to ja wbiegł im pod lufę.

Nawet po interwencji Bradleyów wciąż dolatywały do nas krzyki, po których rozlegał się odgłos strzałów. Z taktycznego punktu widzenia atak schodami na piętro nie miał sensu.

– Będą wysadzać – poinformował nas Jon.

Uznał, że lepiej ściągnąć nas z dachu, niż narazić na skutki eksplozji. Dołączyliśmy do zespołu na dole. Obserwowałem, jak niewielki oddział prowadzony przez specjalistę EOD z Delty wbiega na parter, żeby założyć

ładunek termobaryczny. Wytwarza on potężną falę uderzeniową, która jest w stanie zniszczyć cały budynek.

Kilka minut później uciekli na zewnątrz i schowali się obok mnie, za Pandurem. Słyszałem, jak odliczają, i czekałem na wybuch.

Nic.

Ludzie z zespołu wpatrywali się w gościa z EOD – wszyscy z identycznym wyrazem dezorientacji malującym się na twarzach. Jon ruszył w jego stronę.

– Co jest, do cholery?

– Musiałem źle ustawić timer – wymamrotał facet.

Jestem pewien, że w tamtej chwili przez jego głowę przelatywały tysiące myśli na minutę. Sam się zastanawiał, dlaczego ładunek nie eksplodował.

– Uzbroiłeś podwójnie?

Na kursach uczyli nas, żeby zawsze uzbrajać ładunki wybuchowe podwójnie, co oznaczało konieczność założenia dwóch detonatorów, na wypadek gdyby jeden nie zadziałał. Niepisana zasada głosiła, że jeden to mniej niż zero, a dwa tyle co jeden.

Teraz jednak było za późno na dobre rady. Musieliśmy szybko podjąć decyzję: wysyłać chłopaków jeszcze raz do środka, żeby zresetowali timer, czy czekać i obserwować, co się wydarzy? Nie mieliśmy pojęcia, czy przypadkiem rebelianci nie zeszli na parter i nie czekają na powrót szturmowców. A jeśli EOD źle ustawił timer? Przecież ładunek mógł odpalić w chwili, gdy zespół będzie w środku.

W końcu postanowili, że wyślą gościa z EOD z powrotem do budynku, żeby założył drugi detonator. Zespół zniknął w środku, a parę minut później znów pojawił się za Pandurem.

– Myślicie, że tym razem odpali? – zapytał Jon ze złośliwym uśmieszkiem.

– Musi – odparł specjalista EOD. – Uzbroiłem podwójnie.

Ładunek eksplodował zgodnie z ustawieniem timera, a budynek zawalił się, wzniecając tumany pyłu, który pokrył nas jak talk. Patrzyłem, jak wielka chmura wzbija się w powietrze i zamiera na tle porannego nieba. Zbliżał się świt.

Weszliśmy w ruiny, by przeczesać je w poszukiwaniu broni i ciał. Znaleźliśmy przynajmniej sześciu martwych rebeliantów – większość z nich kryła się na piętrze. Twarze mieli pokryte sadzą. Jon zauważył worki z piaskiem przy niektórych ciałach.

– Hej, patrzcie na to. Całe piętro było zabarykadowane – zwrócił nam uwagę. – Mamy szczęście, że piloci popełnili błąd. Prawdopodobnie uratowali nam życie.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Gdybyśmy wylądowali na właściwym dachu – zaczął wyjaśniać – cała nasza czwórka wpakowałaby się prosto na barykadę na piętrze. Nawet gdybyśmy ich zaskoczyli, nasze szanse nie wyglądałyby różowo. Na pewno ponieślibyśmy dużo większe straty.

Zapadła cisza. Gapiłem się na Jona, który właśnie stwierdził, że się nam poszczęściło, a cudzy błąd prawdopodobnie ocalił nam życie. Głupi uśmiech losu, nic więcej.

Po oczyszczeniu ruin wracaliśmy Pandurem do bazy. Nikt nic nie mówił. Wszyscy byliśmy głodni, zmęczeni i czarni od sadzy. Zwykle po załatwieniu tak dynamicznego celu towarzyszyło nam podekscytowanie,

a głupie gadki nie milkły nawet na chwilę. Pozwoliłem, żeby mój umysł wreszcie zaakceptował wydarzenia dzisiejszej nocy.

W głowie wciąż odbijały mi się echem słowa Jona. Gdyby akcja od początku do końca przebiegała podręcznikowo, wylądowalibyśmy Little Birdem na właściwym dachu i weszlibyśmy do budynku tylko po to, by wpaść wprost na zabarykadowaną pozycję czterech uzbrojonych po zęby rebeliantów. Strzelanina czterech na czterech z użyciem automatycznej broni w pomieszczeniu nie większym od sypialni nigdy nie kończy się dobrze.

Dopiero gdy Pandur zaparkował pod bazą, dałem sobie spokój z mentalną gimnastyką; odepchnąłem od siebie wszystkie „co by było gdyby” i zaakceptowałem fakty, by wyciągnąć jeden ważny wniosek: czasem zwykły przypadek potrafi uratować ci życie. Acha, i jeszcze jeden: zawsze uzbrajaj ładunek podwójnie.

Po zakończeniu zmiany wróciłem do bazy powietrznej Pope w Karolinie Północnej, gdzie mieści się jednostka Delty. Gdy wysiadałem z samolotu, witali mnie jak swojego.

Zanim odleciałem do Virginia Beach, Jon wręczył mi pamiątkowy ryngraf – monetę Delta Force i rysunek przedstawiający komandosa Delty i Little Birda, oprawione na zielonej tkaninie.

– Chcę, żebyś to zatrzymał – powiedział. – Każdy, kto współpracuje z naszym zespołem, dostaje taką pamiątkę.

Szkic wykonał starszy sierżant Randy Shughart, snajper Delty, a oryginał znaleziono po jego śmierci w Somalii. Shughart otrzymał Medal Honoru za udział w bitwie w Mogadiszu. Po zestrzeleniu Black Hawka zgłosił się na ochotnika, żeby bronić wraku w oczekiwaniu na przybycie pomocy. Został zabity przez somalijski tłum.

Przed atakiem z 11 września między Deltą a DEVGRU panowała swoista rywalizacja. Nasze jednostki były na szczycie i nieustannie wybuchały dyskusje, kto powinien dzierżyć palmę pierwszeństwa. W czasie wojny nie mogliśmy sobie jednak pozwolić na jałowe spory i całe to pieprzenie szybko ucichło. Podczas mojej służby z Deltą wszyscy traktowali mnie jak brata.

Uścisnęliśmy sobie z Jonem dłonie, po czym udałem się na lot do Virginia Beach.

Następnego dnia, z powrotem w DEVGRU, spotkałem się z Charliem i Steve'em. Zajrzeli do mojej klatki, kiedy się rozpakowywałem i układałem sprzęt. Razem z resztą zespołu właśnie wrócili ze zmiany w Afganistanie – w porównaniu z moją wycieczką do Bagdadu ich służba przebiegała dość spokojnie.

Choć całkiem nieźle bawiłem się w Iraku z Deltą, dobrze było wrócić do chłopaków.

– Słyszeliśmy, że miałeś pełne ręce roboty – zagaił Charlie.

– To kiedy przenosisz się do Fortu Bragg ze swoimi kumplami z Armii? – zapytał Steve.

Nie odciąłem się, bo moje dowcipy na nikim nie robiły wrażenia, a poza tym wiedziałem, że celowo pieprzą od rzeczy. Tak czy inaczej cieszyłem się, że jestem w domu.

– Ha, ha – odparłem. – Was też miło widzieć.

Nie mogłem się doczekać, kiedy pojedziemy do Missisipi, żeby trochę postrzelać. Tylko na strzelnicy miałem szansę zamknąć im jadaczki. Choć dopiero co wróciliśmy do domu, wkrótce czekało nas kolejne szkolenie. Dostaliśmy zaledwie dwa tygodnie przepustki. Podobny cykl zmian bojowych i szkoleń powtarzał się później przez niemal dekadę.

ROZDZIAŁ 5

Na szpicy

W grudniu 2006 roku zostaliśmy wysłani do zachodniego Iraku. To była moja trzecia zmiana. W trakcie poprzedniej blisko współpracowałem z CIA, ale cieszyłem się, że wreszcie mogę dołączyć do chłopaków, zamiast pomagać agencji w planowaniu i szkoleniu afgańskich bojowników. Sporo pracowaliśmy z innymi jednostkami, zawsze jednak lepiej czułem się wśród swoich, bo byliśmy ulepieni z tej samej gliny.

Mój oddział prowadził działania wzdłuż syryjskiej granicy i w części z najpaskudniejszych irackich miast, takich jak np. Ramadi, które stanowiło kolebkę irackiej Al-Kaidy. Nasze zadanie polegało na namierzaniu celów o szczególnym znaczeniu – w tym przypadku kurierów zajmujących się przemycaniem cudzoziemskich bojowników i irańskiej broni.

Goście z piechoty morskiej stacjonującej w Al Anbar zwrócili się do nas z pytaniem, czy moglibyśmy przeprowadzić operację zabezpieczenia skupiska domów w wiosce przy syryjskiej granicy. Cieszyła się ona wśród rebeliantów statusem azylu – gdzieś w jej centralnej części przebywało

kilku ważnych przywódców. Ustaliliśmy, że uderzymy w nocy, podczas gdy Marines będą otaczać wioskę, by zluzować nas rano.

Choć w Black Hawku było ciasno, musiałem walczyć z chłodem.

Zabraliśmy ze sobą psa bojowego, który pomagał nam wykrywać ładunki wybuchowe i tropić rebeliantów. Próbowałem nakłonić go, żeby usiadł mi na kolanach, ale za każdym razem, gdy się zbliżał, odciągał go jego przewodnik.

Trzęsłem się z zimna, gdy w końcu wylądowaliśmy w odległości około sześciu i pół kilometra od wioski. Zasłaniając oczy przed pyłem, czekałem, aż śmigłowiec odleci. Kilka minut później usłyszałem, jak dźwięk jego silników cichnie. Oddalił się w stronę bazy powietrznej w Al Asad.

Zatupałem mocno o ziemię i roztarłem ręce, by przywrócić w nich krążenie, podczas gdy reszta oddziału przygotowywała się do wymarszu.

Chociaż byłem w Iraku już dwukrotnie, trzecia zmiana różniła się od poprzednich. Wróg ewoluował, więc robiliśmy to, co SEALsi robią najlepiej – adaptowaliśmy się do nowej sytuacji. Zamiast latać bezpośrednio do punktu X, lądowaliśmy w odległości kilku kilometrów i podchodziliśmy do celu niezauważeni. Dzięki temu bojownicy nas nie słyszeli. Zamiast atakować głośno i szybko, działaliśmy cicho i ostrożnie, dłużej utrzymując element zaskoczenia. Przekradaliśmy się przez domy i sypialnie, budząc rebeliantów, zanim mieli szansę zareagować.

Podejście do celu nie było jednak łatwe – szczególnie w mroźne zimowe noce. Wiatr wdzierał się pod mundury, gdy zmierzaliśmy w kierunku wioski. Przyjąwszy rolę szpicy, szedłem blisko czoła oddziału.

Jedną z kluczowych rzeczy, których nauczyłem się na początku swojej kariery SEALsa, była umiejętność odnalezienia pozytywów w każdej,

nawet najgorszej sytuacji. Pierwszą lekcję odebrałem jednak dużo wcześniej – na Alasce, gdy sprawdzaliśmy z tatą sidła.

Marznąc w Iraku czy nawet podczas „piekielnego tygodnia”[15] na kursie BUD/S, zawsze wracałem myślami na Alaskę, żeby znów usłyszeć warkot skutera śnieżnego, gdy wraz z tatą przemierzaliśmy szlak sideł ciągnący się głęboko w dzicz.

Wciąż pamiętam, jak się czułem, gdy skuter ciął świeży śnieg. Jeden ostry zakręt, drugi... Miałem wrażenie, że pędzimy po morskich falach na desce surfingowej. Temperatura zwykle utrzymywała się w okolicach zera, a nasz ciepły oddech parował w powietrzu.

Pewnego szczególnie chłodnego dnia byłem ubrany w kombinezon firmy Carhartt, zimowe buty i rękawiczki. Uszy ogrzewała mi czapka z bobrzego futra uszyta przez moją mamę, a twarz chronił szalik. Tylko oczy miałem odsłonięte. Było mi ciepło, jeśli nie liczyć stóp i dłoni. Spędziliśmy na dworze wiele godzin i prawie nie czułem palców.

Próbowałem ruszać nimi w grubych wełnianych skarpetach, nic to jednak nie dawało. Skulony za tatą, by skryć się przed wiatrem, potrafiłem myśleć tylko o tym, jak bardzo marzną mi dłonie i stopy. Znaleźliśmy już kilka kun i łasicę wielkości kota z ogonem bujnym jak u wiewiórki i miękkim brązowym futrem. Tato handlował futrami w wiosce, by trochę dorobić, a mama mogła uszyć z nich czapki dla moich sióstr.

Przenikliwe zimno odebrało mi jednak całą radość spędzania czasu z tatą. Jej pozostałości ostatecznie pierzchły, kiedy uleciały ze mnie resztki ciepła.

A wcześniej prawie błagałem tatę, żeby zabrał mnie ze sobą.

– Jesteś pewien? – pytał. – Będzie naprawdę zimno.

– Chcę jechać – nie ustępowałem.

Zależało mi, by spędzać z nim jak najwięcej czasu, zamiast tkwić bezczynnie w domu. Mężczyźni muszą mieć swoje zajęcia, a on uczył mnie strzelać i polować. Gdy trochę podrosłem, pozwalał mi na samodzielne wyprawy. Płynąłem łódką w górę rzeki, czasami nawet na cały tydzień. W pewnym sensie to wtedy pierwszy raz zakosztowałem „zasad dużych chłopców” i cholernie mi się spodobały. A poza tym nie musiałem siedzieć w domu z samymi babami.

Ciągle miałem ochotę wychodzić na zewnątrz. Kochałem odludzia, oczywiście z wyjątkiem zimna, i wiedziałem, że jeśli tato pozwoli mi jechać, nie będę mógł narzekać na chłód jak rozkapryszony dzieciak. Po kilku godzinach jazdy skuterem marzyłem jednak wyłącznie o rozgrzaniu dłoni i stóp. W końcu odważyłem się odezwać.

– Tato! – próbowałem przekrzyczeć wiatr. – Tato, stopy mi zamarzają!

Mój ojciec, ubrany w identyczny kombinezon i czapkę, zatrzymał skuter. Odwrócił się i, jak sobie wyobrażam, zobaczył małego chłopca szczękającego z zimna zębami za szalikiem.

– Zimno mi – wymamrotałem.

– Zostało kilka pułapek – odpowiedział. – Myślisz, że dasz radę?

Popatrzyłem na niego w milczeniu, bo bardzo nie chciałem go zawieść. Nic nie mówiłem, mając nadzieję, że podejmie decyzję za mnie.

– Nie czuję stóp – wybąkałem wreszcie.

– W takim razie zsiądź i idź pieszo po śladach skutera. Ja pojadę dalej, ale będę w pobliżu. Trzymaj się śladów płóz i nie przystawaj nawet na chwilę, to zrobi ci się cieplej, dobrze?

Ześliznąłem się z siedzenia i poprawiłem karabin wiszący na plecach.

– Wszystko jasne? – zapytał dla pewności tato.

Kiwnąłem głową.

Zapaliwszy silnik, pognał do następnych sideł. Ruszyłem za nim i rzeczywiście po jakimś czasie moje stopy się rozgrzały.

Niektórzy globtroterzy płacą tysiące dolarów, żeby doświadczyć alaskańskiej tundry – mnie przez całe dzieciństwo wystarczyło wyjść przed dom.

Gdy miałem pięć lat, przeprowadziliśmy się do małej eskimoskiej wioski w głębi alaskańskiej dziczy. Rodzice byli misjonarzami – poznali się w college'u w Kalifornii i wspólnie odkryli, że wiara nie tylko pomaga im szerzyć chrześcijaństwo, ale też przemawia do ich niezaspokojonego ducha przygody, rzadko spotykanego u innych ludzi.

Poza wykonywaniem obowiązków misjonarskich tato pracował także dla władz stanowych. Ta praca wymagała dyplomu ukończenia college'u, a on był jedną z niewielu osób w wiosce, które mogły się nim pochwalić.

Mama spędzała większość czasu z dziećmi. Zajmowała się pracami domowymi i wychowaniem mnie i moich sióstr. Byłem drugim dzieckiem z trojga – miałem zarówno młodszą, jak i starszą siostrę. Nasza rodzinka trzymała się razem, bo w wiosce nie mogliśmy liczyć na zbyt wiele atrakcji. W dodatku zimy były surowe, więc przeważnie siedzieliśmy przy kuchennym stole i graliśmy w gry planszowe.

Nasza wioska nie zasługiwała nawet na miano miasteczka. Mieliśmy dwa sklepy – razem nie większe od przydrożnego zajazdu – niewielką szkołę i pocztę. Żadnego centrum handlowego czy kina, chociaż w jednym ze sklepów wypożyczaliśmy filmy. Największą chlubę okolicy stanowił pas startowy – na tyle długi, że mógł na nim wylądować boeing 737 i część większych samolotów transportowych o napędzie śmigłowym. Dzięki lotnisku nasza wioska pełniła rolę głównego ośrodka regionu. Co rusz przylatywały do nas awionetki z myśliwymi i podróżnikami z Anchorage, którzy rozjeżdżali się stąd do innych miejscowości.

Mieszkaliśmy w piętrowym domku sto metrów od rzeki. Z okien roztaczał się widok na malowniczy krajobraz Alaski, a z ganku można było czasem zobaczyć łosia albo niedźwiedzia. Jeśli akurat nie siedziałem w szkole, najczęściej polowałem lub łowiłem. Już jako dziecko potrafiłem posługiwać się bronią palną, wędrować po lesie i samodzielnie podejmować odpowiedzialne decyzje.

Podczas kursu BUD/S osiągałem znakomite wyniki w ćwiczeniach z działań lądowych, bo nie różniły się one zbytnio od moich wypadów łowieckich z dziecięcych lat. Każdy z kursantów miał inną historię i pochodzenie, co zwykle odbijało się na jego umiejętnościach. Całkiem nieźle radziłem sobie też w wodzie, ale najlepiej czułem się na lądzie i z bronią w ręku.

Z tych powodów, trafiwszy do DEVGRU, często pełniłem funkcję zwiadowcy zespołu. W tę mroźną iracką noc prawie sześcioipółkilometrowy patrol do wioski trwał około godziny. Dochodziła trzecia nad ranem, gdy dotarliśmy na miejsce. Z daleka widziałem światła migoczące nad drogą.

To było jedno wielkie, zakurzone zadupie.

Po ulicy fruwały jasnoniebieskie plastikowe reklamówki, a z przydrożnego rowu unosił się smród ścieków. Dostrzegłem zarys biszkoptowych domów, które widziane w noktowizorze lśniły bladym zielonkawym blaskiem. Linie wysokiego napięcia wzdłuż drogi prowadzącej do Syrii były powykrzywiane. Wszystko wydawało się odrapane i zniszczone.

Po wejściu do wioski zespoły rozdzieliły się do wyznaczonych celów. Poprowadziłem swoich chłopaków do budynku, który musieliśmy sprawdzić. Podkradłszy się do bramy, nacisnąłem klamkę; zawiasy czarnej

żelaznej kraty zaskrzypiały. Odepchnąłem ją tylko na tyle, by zerknąć do środka, i rozejrzałem się po podwórzu. Pusto.

Drzwi piętrowego budynku były wyposażone w duże okno zabezpieczone kratą. Mogłem zajrzeć do przedsionka, gdy lasery kumpli z zespołu przeczesywały okna na parterze.

Ostrożnie pchnąłem drzwi – nie były zamknięte. Przystanąłem w progu z karabinem w gotowości i czekałem... Spoglądając ponad moim ramieniem, jeden z chłopaków pokazał mi wyciągnięty kciuk. Wymrugałem pył z oczu, żeby mieć pewność, że dobrze widzę, i dopiero wtedy wszedłem do środka. Miałem na sobie nieporęczny sprzęt założony na zimową kurtkę, a próbowałem poruszać się jak kot.

– Tylko nie myśl za głośno – powiedziałem do siebie.

Przedsionek był zagracony. Na podłodze stał niewielki generator elektryczny. Wprost przede mną znajdowały się drzwi i następne po mojej prawej. Zignorowałem te po prawej, bo były zastawione generatorem, i podkradłem się do tych na przedzie.

Wszystkie moje zmysły działały na podwyższonych obrotach. Wytężałem uszy, starając się wychwycić nawet najcichsze dźwięki, podczas gdy oczy przepatrywały puste pomieszczenie. W moje nozdrza wdarła się woń nafty z piecyka do ogrzewania.

Każdy krok zdawał się brzmieć jak grzmot. Szkolono nas, by w każdej chwili spodziewać się ataku samobójcy obwieszonego ładunkami wybuchowymi albo bojownika z AK, który tylko czekał za drzwiami, żeby otworzyć ogień.

W przejściu prowadzącym do sypialni wisiała zasłona. Nie znosiłem zasłon; drzwi zapewniały mi przynajmniej namiastkę osłony. Skąd miałem

wiedzieć, czy ktoś nie śledzi mnie zza szczeliny albo nie czeka, aż na podłodze pojawi się cień, żeby pociągnąć za spust?

Nie wierzyłem, by dom był pusty – pytanie, czy jego mieszkańcy już nas usłyszeli. Na poprzedniej zmianie kilku gości z Delty zginęło w budynku, w którym jeden z bojowników ukrył się za workami z piaskiem. Ta zabójcza nauczka utkwiła nam w głowach – przypominaliśmy sobie o niej za każdym razem, gdy wchodziliśmy do nowego celu.

Zatrzymałem się na moment, licząc, że wypłoszę niecierpliwych napastników. W następnym pokoju paliło się światło. Zsunąwszy noktowizor z oczu, odciągnąłem zasłonę.

W rogu korytarza o kształcie litery L stała wysoka lodówka. Zauważyłem lekko uchylone drzwi i przesunąłem się szybko, żeby je pokryć, podczas gdy moi koledzy tłoczyli się w korytarzu, zabezpieczając inne pokoje. Jeden z chłopaków dołączył do mnie, gdy uchyliłem szerzej drzwi i wszedłem do sypialni. Nie odzywaliśmy się; wszyscy świetnie znali swoje role.

Na podłodze leżały trzy materace, ale ja dostrzegłem coś jeszcze: parę ciemnych oczu wpatrujących się we mnie z mrocznego kąta. Należały do młodego mężczyzny o rzadkim zaroście. Wydawał się zdenerwowany i co rusz zerkał na boki, gdy zajmowaliśmy pozycje.

Uderzyło mnie i zdziwiło, że tak siedział, tylko się na mnie gapiąc.

Oprócz niego w pokoju znajdowały się dwie kobiety – także przebudzone. Obie patrzyły w stronę drzwi. Natychmiast ruszyłem do mężczyzny. Wiedziałem, że coś jest nie w porządku, bo zwykle mężczyźni i kobiety spali w oddzielnych pomieszczeniach. Przechodząc obok kobiet, wyciągnąłem do nich rękę i zamachałem, żeby je uspokoić. Nagle koleś otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

– Ciii! – syknąłem. Nie chciałem, by zaalarmował tych, którzy mogli na nas czekać w następnym pokoju.

Nawet na chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku. Złapałem go za prawą rękę i poderwałem, po czym odrzuciłem na bok koc, by się upewnić, że nie ukrywał broni. Przytrzymując go przy ścianie, ściągnąłem koce także z kobiet. Dopiero wtedy zorientowałem się, że spała pomiędzy nimi dziewczynka, pięcio-, może sześcioletnia. Matka złapała ją i utuliła w ramionach.

Przyciągnąłem kolesia na środek sypialni, po czym skrępowałem mu ręce plastikowymi kajdankami i założyłem kaptur na głowę. Kolega z zespołu pilnował kobiet, gdy przeszukiwałem chłopakowi kieszenie. Nic nie znalazłszy, powaliłem go na kolana i wepchnąłem mu głowę w kąt. Znów próbował coś tłumaczyć, więc przycisnąłem mu twarz do ściany.

Dowódca oddziału, który kierował misją, wetknął głowę do pokoju.

– Co tutaj macie? – zapytał.

– Jednego mężczyznę w wieku poborowym. Zostało nam jeszcze jedno pomieszczenie do sprawdzenia.

Ruszyłem w kierunku przeciwległego kąta, gdzie leżały materace, i nagle zauważyłem brązową kolbę karabinka AK. Oprócz karabinku na stosie plastikowych worków spoczywała kamizelka taktyczna, przeznaczona do noszenia dodatkowych magazynków, i granat.

– Mam tu AK, kamizelkę taktyczną i granat. Kurwa! – Byłem wściekły, że nie zobaczyłem broni od razu. Mój partner, który pilnował kobiet, też niczego nie dostrzegł.

Młody mężczyzna, którego znaleźliśmy w pokoju, z pewnością był bojownikiem – i to na dodatek wyjątkowo cwanym. Schował broń,

kamizelkę i granat poza zasięgiem rąk, tak żebyśmy ich nie zauważyli od razu po wejściu do pomieszczenia.

W środku aż się gotowałem, mając ochotę zabić go na miejscu. Znał zasady, którymi musieliśmy się kierować, i wykorzystał je przeciwko nam. Nie mogliśmy go zastrzelić, jeśli nie stwarzał zagrożenia. Gdyby miał większe jaja, rozwaliłby nas, kiedy wchodziliśmy przez drzwi. Wiedział, że znajdujemy się w domu. Musiał nas usłyszeć i pewnie liczył, że schowa się razem z kobietami.

Po zabezpieczeniu budynku zaprowadziłem go do ustronnego pokoju na przesłuchanie. Całą podłogę pokrywały szmaty, a pośrodku leżała sterta mat do spania. Obok stał włączony telewizor, ale na ekranie wyświetlały się tylko zakłócenia. Nasz tłumacz czekał obok kolesia, kiedy ściągnąłem mu kaptur z głowy. Twarz miał mokrą od potu, a oczy wielkie; próbował przyzwyczaić się do światła.

– Zapytaj go, po co mu ten granat i kamizelka taktyczna – zwróciłem się do tłumacza.

– Jestem tutaj gościem – odpowiedział koleś.

– Dlaczego spałeś z kobietami i dzieckiem? Goście nie śpią z kobietami.

– Jedna z nich to moja żona.

– Myślałem, że jesteś gościem – przypomniałem mu.

Przesłuchanie ciągnęło się w podobnym tonie przez około pół godziny. Jego historyjka nie trzymała się kupy i następnego dnia przekazaliśmy go piechocie morskiej.

Najbardziej frustrował nas fakt, że podobne misje były na porządku dziennym. System zmuszał nas do łapania i niemal natychmiastowego wypuszczania bojowników. Zwijaliśmy ich, a kilka tygodni później znów

chodzili po ulicach. Byłem przekonany, że koleś, którego znaleźliśmy, już wkrótce wyjdzie na wolność. Tylko martwi nie wracali.

Jakiś czas później dowiedzieliśmy się od miejscowej starszyzny, że mężczyźni z wioski należeli do komórki bojowników, którzy wymieniali się w poszczególnych domach. Złapany przez nas koleś wrócił tego dnia do domu, żeby spędzić czas z rodziną. Trzej inni z jego komórki zginęli w strzelaninie z moimi kolegami z zespołu. Tym razem nasi mieli szczęście – zaskoczyli grupę bojowników, zanim ci zdążyli zareagować. W budynku znaleźli broń, miny i materiały wybuchowe do konstruowania przydrożnych bomb.

Zabezpieczywszy cele, wzięliśmy się do przeszukiwania pozostałych domów. W jakiejś sypialni natrafiłem na szufladę pełną bielizny. Wyszperałem z niej ładny biały stanik z koronką i wstążką pośrodku. Zwinąłem go w kulkę i wcisnąłem do dużej kieszeni bojówek.

Z zewnątrz dolatywało donośne „pach, pach, pach” wielkich śmigłowców CH-53. Tarcza słońca powoli wynurzała się zza horyzontu, kiedy trzymaliśmy pozycje ubezpieczające w pobliskim budynku. Miałem wrażenie, że zamarzam. Poranek zawsze wydawał się najzimniejszą częścią dnia.

Podniosłem wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak nad moją głową przelatuje coś, co przypominało dwa wielkie szare autobusy szkolne. Skręciły o dziewięćdziesiąt stopni i usiadły na pustyni na północ od linii wysokiego napięcia. Rampy otworzyły się, a ze środka wybiegli żołnierze piechoty morskiej – dokładnie tak jak na reklamach.

Dowódca mojego oddziału już zmierzał w ich stronę. Chciał skoordynować działania z piechotą morską, żebyśmy mogli przekazać wioskę w ich ręce i wrócić do bazy.

– Widziałeś ich sztab? – zapytał.

– Chyba tam dalej, na drodze. – Wskazałem w stronę skupiska ludzi i anten radiowych.

Kiedy przechodził obok, wyciągnąłem z kieszeni bojówek stanik i dyskretnie zawiesiłem go na antenie radia, które nosił na plecach. W zimne i smutne dni właśnie takie drobiazgi rozgrzewały nas najlepiej. Patrzyłem, jak mój dowódca mija grupę żołnierzy piechoty, którzy na jego widok wybuchnęli śmiechem.

– Ej, gdzie jest wasz sztab? – zwrócił się do tego stojącego najbliżej.

Gościu pokazał palcem na drogę, po czym dodał uprzejmie:

– Sir, wydaje mi się, że ma pan na plecach stanik.

– No jasne, a co myślałeś – odparł mój dowódca, nawet na chwilę nie tracąc rezonu. – Co chwilę mi się to przytrafia. – Zerknął w naszą stronę.

Kiedy jakiś czas później szliśmy przez pustynię w stronę strefy lądowania, kątem oka zauważyłem, że coś powiewa mi na plecach. Sięgnąłem do tyłu.

Okazało się, że ktoś zawiesił mi stanik na szczypcach do przecinania prętów.

Głupie żarty stanowiły część stylu życia naszego zespołu.

Zdarzały się tak często, że w końcu byliśmy zmuszeni stworzyć w zespole siatkę, która łączyła wszystkich delikwentów. Podobnej siatki używaliśmy do tropienia terrorystów. Nazwiska dowcipnisiów tworzyły piramidę, a na szczycie figurował Phil – najgorszy kawalarz ze wszystkich i w tamtym czasie dowódca mojego zespołu.

Phil służył w marynarce chyba od zawsze. W tym samym roku, gdy ja kończyłem kurs BUD/S, on pomyślnie przeszedł przez Green Team, a później zrobił sobie przerwę i na jakiś czas opuścił DEVGRU, by

dołączyć do pokazowego zespołu spadochroniarzy marynarki wojennej o nazwie „Leap Frogs”. Pracował też jako instruktor specjalizujący się w swobodnym opadaniu, zanim w końcu zdecydował się wrócić do jednostki.

Poznałem Phila parę dni po dołączeniu do zespołu i natychmiast go polubiłem. Odbywszy kilka zmian w zespole szturmowym, pokierował programem szkolenia psów bojowych, aż ostatecznie został moim dowódcą.

Phil był doskonałym kawalarzem, może nawet najlepszym ze wszystkich. Gdy któregoś dnia wszedłem do swojej klatki, okazało się, że ktoś poprzecinał mi sznurówki w butach, choć z jakiegoś powodu tylko w prawych. W żaden sposób nie mogłem dowieść, że zrobił to Phil. Miał też wielki magnes, którym lubił machać nad portfelami ofiar, rozmagnesowując im karty kredytowe. Poza tym słynął z miłości do brokatu. Nie zliczę, ile razy wymieniałem torby i mundury, bo rzepy i zgięcia materiału świeciły się fioletowym brokatem.

Kiedy czas płynął nam zbyt wolno, Phil prowokował awantury.

– No dobra, który robi sobie ze mnie jaja?! – wrzeszczał, wchodząc do pokoju.

My jednak dobrze wiedzieliśmy, że jedyną osobą, która robiła sobie jaja, był on. Z nudów próbował doprowadzić do kolejnej wojny.

Oczywiście zdarzało się, że któryś z chłopaków naprawdę wyciął mu jakiś numer. W pewien piątkowy wieczór wyszliśmy po pracy na parking i ujrzeliśmy samochód Phila wysoko w powietrzu. Jedna z jego ofiar – nigdy nie dowiedzieliśmy się która – uniosła jego brykę podnośnikiem widłowym i tak zostawiła.

To właśnie Phil zapoczątkował jeden z najstarszych numerów w jednostce. Kiedy nie prowadziliśmy żadnych działań, zazwyczaj ćwiczyliśmy w ośrodkach rozrzuconych po całych Stanach Zjednoczonych. Tamtego wieczoru znajdowaliśmy się w Miami i przeprowadzaliśmy szkolenie w zakresie działań w warunkach miejskich. Zapadał zmrok, a my mieliśmy jeszcze zaplanowane zajęcia z CQB w starym opuszczonym hotelu.

Przed rozpoczęciem szkolenia Phil wszedł do środka z przedstawicielami miejscowej policji, która rozganiała gapiów. Chodziło o to, by podczas ćwiczeń nie natknąć się na jakiegoś squattera. W tamtym okresie Phil pracował jako przewodnik psów.

Przemierzając korytarze pustostanu, zajrzał do jednego z pomieszczeń i zauważył jakiś przedmiot wystający z gipsowej ścianki. Okazało się, że był to wielki, trzydziestocentymetrowy penis z gumy. Naciągnąwszy na dłoń lateksową rękawiczkę, Phil wyszarpnął go i zaniósł na dół.

– Patrzcie, co znalazłem! – rzucił, machając nim nad głową.

– Zabierz to ode mnie – syknąłem i cofnąłem się przed rozhuśtanym kawałkiem gumy.

Ponieważ hotel był pusty, mogliśmy rozpocząć trening. Skończyliśmy na krótko przed świtem. Schowałem sprzęt do bagażnika wynajętego auta i klapnąłem za kierownicę, absolutnie wykończony. Dopiero wtedy zauważyłem, że ktoś zrobił mi niespodziankę.

– Phil! – krzyknąłem, niemal wyskakując z siedzenia.

Rozejrzałem się, ale Phila już nie było. Uciekł z miejsca zbrodni.

Do kierownicy przyczepiony był sztuczny penis. Rozciągał się mniej więcej od godziny dziewiątej do godziny trzeciej. Odciąłem go i wrzuciłem do pierwszego hełmu z brzegu.

Jakiś czas później sztuczny penis – ochrzciliśmy go Berłem Władzy – zniknął. Na kilka miesięcy całkiem o nim zapomnieliśmy, ale w końcu znów dał o sobie znać – po szkoleniu w Virginia Beach, które przeprowadzaliśmy w maskach przeciwgazowych.

Ponieważ do zadań DEVGRU należy między innymi tropienie broni masowej zagłady, często ćwiczyliśmy w killing housie w pełnych kombinezonach przeciwchemicznych. Trzeba było nieco czasu, by przyzwyczaić się do noszenia maski przeciwgazowej, a musieliśmy mieć swobodę wydłużonego operowania w takim stroju.

Pod koniec dnia wszyscy spotkaliśmy się w pokoju zespołu, żeby napić się piwa. Wyciągnąłem puszkę z lodówki, otworzyłem i wziąłem spory haust. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem grupę chłopaków stłoczonych przy stole konferencyjnym.

– O cholera... – rzucił jeden z nich.

– Nie wierzę. Powiedzcie mi, że to nie to, o czym myślę – wymamrotał inny.

Wcisnąwszy się w zbiegowisko, zobaczyłem zdjęcia z polaroidu przyklejone do białej kartki papieru. Berło Władzy tkwiło zwinięte w czyjejś masce przeciwgazowej. Przewróciło mi się w żołądku. Nie mieliśmy pojęcia, co się działo z tym kawałkiem gumy, zanim Phil znalazł go w hotelu, a teraz być może wylądował w mojej masce – tej samej, w której spędziłem tego dnia wiele godzin. Oglądałem zdjęcie z każdej strony, starając się potwierdzić, czy rzeczywiście była moja, ale ujęcie na to nie pozwalało. W tamtej chwili każdy z nas czuł się ofiarą żartu i nikt nie zamierzał ryzykować.

Jak stado owiec poszliśmy do magazynu, żeby wymienić maski na nowe. Po tym wydarzeniu Berło Władzy znikło na kilka kolejnych miesięcy.

W kuchni zawsze trzymaliśmy jedzenie – między innymi ogromne słoje z precelkami i innymi przekąskami z Costco. Któregoś dnia w pokoju zespołu znalazł się wielki pojemnik z krakersami w kształcie zwierzątek. Garść po garści krakersy znikały. Goście z jednostki podjadali je, kiedy szli z kuchni do klatki czy na strzelnicę.

Jakiś czas później, mniej więcej w połowie drogi do dna, natrafiliśmy na nowe zdjęcie. Tym razem Berło Władzy tkwiło w pojemniku, po sam czubek obłożone krakersami.

Nigdy więcej nie wziąłem do ust krakersa.

Nie mam pojęcia, czy to Phil odstawił ten numer; wiem tylko, że to on odnalazł Berło Władzy, którego los do dziś pozostaje nieznany.

ROZDZIAŁ 6

„Maersk Alabama”

Jedyną rzeczą, którą Phil kochał bardziej od dobrego żartu, były skoki spadochronowe. Ponieważ pełnił funkcję dowódcy zespołu, jego pasja przełożyła się na nasz udział w wielu operacjach powietrznych, w szczególności w skokach HAHO[16] – technice zapewniającej najlepszy i najdyskretniejszy sposób infiltracji celu. Podczas skoku HAHO komandos wyskakuje z samolotu, otwiera spadochron kilka sekund później i manewruje czaszą tak, by trafić prosto do strefy lądowania.

Zaliczyłem kurs ze spadania swobodnego jeszcze w Team Five, ale dopiero w DEVGRU opanowałem tę sztukę do perfekcji.

Żeby było jasne: z początku bałem się skakania.

Jest coś nienaturalnego w podchodzeniu do krawędzi rampy i rzucaniu się w przepaść. Z początku przerażało mnie to i, szczerze mówiąc, nie znosiłem skakania. Byłem tym gościem, który wdycha tlen, kiedy samolot nabiera wysokości. Po każdym skoku, stojąc już na ziemi, czułem się podekscytowany, a następnego dnia znów oblewał mnie zimny pot. Zmuszałem się jednak, by robić to raz za razem, i w końcu się

przyzwyczaiłem. Podobnie jak podczas kursu BUD/S kapitulacja nie wchodziła w rachubę – spadochroniarstwo stanowiło część naszej pracy i po prostu musiałem je pokochać.

W 2005 roku, podczas mojej zmiany z Deltą w Iraku, Phil z powodzeniem przeprowadził skok HAHO w Afganistanie. Zawsze szkoliliśmy się do takich operacji, nigdy jednak nie sądziłem, że pewnego dnia przyjdzie nam przeprowadzić ją „na żywo". Od chwili gdy dołączyłem do jednostki, podróżowałem między Irakiem a Afganistanem, zmiana po zmianie. Przywykłem do tego schematu wyjazdów, szkoleń i oczekiwania na wezwanie. Kolejne misje zaczynały się ze sobą zlewać. Z każdą zmianą coraz szybciej zdobywaliśmy doświadczenie bojowe. Nasza jednostka nieustannie udoskonalała taktykę i stawała się coraz bardziej efektywna w działaniach bojowych.

Dopiero w 2009 roku przyszła pewna odmiana.

Byłem akurat na przepustce i czekałem na rejsowy lot do Virginia Beach, gdy moją uwagę zwróciło specjalne wydanie wiadomości. „Maersk Alabama", kontenerowiec przewożący siedemnaście tysięcy ton ładunku, który płynął do Mombasy w Kenii, został zaatakowany przez piratów w pobliżu Półwyspu Somalijskiego. Była środa, 8 kwietnia 2009. Piraci pojmali kapitana statku, Richarda Phillipsa, i uciekli w jednej z sześciometrowych zadaszonych łodzi ratunkowych. Mieli zapas żywności na dziewięć dni. Amerykański niszczyciel USS „Bainbridge" śledził łódź, która płynęła w odległości niecałych pięćdziesięciu kilometrów od wybrzeża Somalii. Na pokładzie znajdowali się czterej mężczyźni uzbrojeni w karabinki AK.

Siedząc na lotnisku, zastanawiałem się, czy dostaniemy wezwanie. Czas wolny stanowił dla nas nie lada gratkę, bo zespół znajdował się w ciągłej

gotowości i dosłownie w każdej chwili mogli nas wysłać na drugi koniec świata.

Wpatrzony w ekran telewizora, widziałem pomarańczową łódź podskakującą na falach. Niedaleko przesuwał się szary kadłub USS „Bainbridge”. Podszedłem do telewizora, bo gwar lotniska zagłuszał słowa spikera. Kiedy kilka dni wcześniej opuszczałem Virginia Beach, nic się nie działo, ale teraz miałem przeczucie, że dostaniemy sygnał do działania. Na ekranie znów pojawiła się pomarańczowa łódź ratunkowa i w tej samej chwili odezwała się moja komórka. Phil.

– Widziałeś wiadomości? – zapytał.

– Właśnie oglądam.

– Gdzie teraz jesteś?

W tamtej chwili, pomijając dowódcę, byłem najstarszym rangą członkiem zespołu.

– Na lotnisku. Czekam na swój lot.

– Świetnie – rzucił Phil. – Wracaj do jednostki najszybciej jak to możliwe.

W jednej chwili przytłoczyła mnie nawałnica myśli. Nie było takiego samolotu, który mógłby mnie zabrać do jednostki wystarczająco szybko. Dostaliśmy szansę, która zdarza się raz na całe życie – za żadne skarby nie chciałem jej przegapić.

Wejście na pokład samolotu jest już wystarczająco frustrujące, kiedy człowiek nigdzie się nie śpieszy. Patrzyłem bezradnie, jak pasażerowie drepczą do swoich miejsc i siłują się ze schowkami. W głowie błagałem ich, żeby się pośpieszyli – w końcu im szybciej wystartujemy, tym wcześniej wrócę do pracy. Poza tym wiedziałem, że w powietrzu będę odcięty od wszelkich form komunikacji i Phil nie będzie mógł się ze mną

skontaktować, gdy dostaną zielone światło. Równie dobrze za chwilę mogłem otrzymać powiadomienie, że mam godzinę na powrót do jednostki, a kiedy wylądujemy, mojego zespołu już nie będzie.

Wetknąwszy słuchawki do uszu, próbowałem się wyciszyć, ale nie mogłem. Pięć kroków za bramką na lotnisku w Virginii wisiałem na telefonie.

– Mów, co się dzieje – rzuciłem zniecierpliwiony, gdy tylko Phil odebrał.

Było już grubo po ósmej, bo leciałem z Zachodniego Wybrzeża.

– Wciąż jesteśmy na miejscu – uspokoił mnie. – Zgłoś się wcześnie rano, to wprowadzę cię w temat. W tej chwili układamy plan, ale jeszcze nie ma decyzji ze stolicy.

Zjawiłem się w jednostce skoro świt. Phil spotkał się ze mną w pomieszczeniu zespołu. Usiedliśmy razem w sali konferencyjnej.

– Czterech piratów. Mają jednego zakładnika – wyjaśnił. – Chcą za niego dwa miliony.

– Dobrze wiedzieć, ile człowiek jest wart.

– Ja zażądałbym więcej. Dwie bańki to mało, chyba że zapytasz moją byłą żonę.

– Gdzie z nim płyną? – dopytywałem.

– Chcą się skontaktować ze swoimi ziomkami, żeby przenieść Phillipsa do obozu albo na statek bazę, więc musimy się przygotować zarówno na abordaż, jak i na podejście plażą i szturm na jeden z obozów.

Pracowaliśmy całe lata, przygotowując się do takich misji.

– Na „Bainbridge’u” jest już kilku naszych chłopców – ciągnął Phil. – Stacjonowali w Afryce i zjawili się tej nocy. Negocjacje zostały zerwane w czwartek.

– Ile mamy czasu, zanim piraci dobiją do brzegu?

– Przez jakieś plemienne tarcia nie chcą z tego miejsca, gdzie są teraz, kierować się prosto na ląd. Ich plemię zajmuje tereny trochę dalej na południe, więc na pewno nie będą mogli wyjść na brzeg przez następny dzień czy dwa. To nam daje trochę czasu do działania.

Zapytałem, czy przyszło już wezwanie.

– Jeszcze nie, ale omawiają sprawę – poinformował mnie Phil.

– Czemu się nie odzywają? – nie mogłem uwierzyć. – To nie ma sensu, przecież podjęcie decyzji nie trwa aż tak długo...

– Człowieku, mówisz o Waszyngtonie. Czy tam cokolwiek ma sens?

Dopiero następnego dnia dotarła do nas wiadomość, że możemy ruszać. W tym czasie większość z nas była już w jednostce, spakowana i gotowa do działania.

Dwadzieścia godzin później rampa C-17 opuściła się i kabinę zalało światło.

Czułem na twarzy wiatr, kiedy zasłaniałem dłonią oczy przed ostrym wschodnioafrykańskim słońcem. Parę minut później zobaczyłem, jak otwiera się niewielki spadochron podczepiony do masywnej szarej łodzi HSAC[17] i wyciąga ją z luku samolotu. W łodziach znajdował się nasz sprzęt operacyjny. Plan zakładał, że w pierwszej kolejności zrzucimy łodzie, za nimi skoczą załogi, a dopiero na końcu my.

Klik. Klik. Klik.

Łódź przesuwała się na metalowych wałkach. Przed krawędzią rampy nabrała prędkości, po czym spadła, znikając mi z oczu. Po chwili otworzył się drugi spadochron i przemknęła mi przed oczami taka sama jednostka, za którą wyskoczyły załogi.

– Pięknie! – krzyknąłem, gdy łodzie znalazły się w powietrzu. Kumple wokół mnie też wiwatowali. Serce biło mi szybko, głównie jednak z podekscytowania, gdy czekałem, aż goście z zespołu pokażą nam kciuk. Spoglądali na dół, chcąc się upewnić, że czasze spadochronów przyczepionych do łodzi otworzyły się bez problemów.

Skakaliśmy za linią horyzontu po drugiej stronie USS „Bainbridge'a", żeby piraci nas nie widzieli. Miał się z nami spotkać USS „Boxer", okręt desantowy, który zwykle przewoził piechotę morską w strefę działań.

Załogi wylądowały blisko swoich HSAC-ów i zajęły się usuwaniem spadochronów. Czas dłużył mi się niemiłosiernie, bo my przed skokiem musieliśmy czekać trzydzieści minut.

Siedziałem w przedniej części samolotu, na jednej z szerokich ławek, z ekspertem zespołu bojowego do spraw łączności na kolanach. Miał na sobie uprząż do skoków tandemowych, przypiętą do mojego ciała. Zaledwie kilka godzin wcześniej dowiedział się, że leci do Afryki, by pomóc w misji odbicia zakładników. Na tym jednak nie koniec niespodzianek; powiedziano mu także, że będzie musiał skoczyć do Oceanu Indyjskiego.

Żeby dostarczyć cały niezbędny personel na USS „Boxera", musieliśmy zabrać w tandemach trzech dodatkowych pasażerów, którzy nie służyli w SEALsach, w tym gościa od łączności. Podczas przelotu miałem szansę streścić facetowi szczegóły operacji.

– Lecisz ze mną – wyjaśniłem mu. – Jesteś gotowy na skok?

Był chudy, z krótkimi włosami i aparycją mola książkowego. Wyglądał na zdenerwowanego, gdy tłumaczyłem mu, czego powinien spodziewać się po skoku.

– Skakałeś kiedykolwiek ze spadochronem?

Zaprzeczył.

Gdy dostaliśmy sygnał, że za sześć minut skaczemy, wszyscy wstali, by po raz ostatni sprawdzić osprzęt. Zauważyłem, że mój facet jest blady jak ściana. Odkąd otworzył się właz, nie wydusił z siebie ani słowa. Cóż, ja przynajmniej po raz pierwszy skakałem nad Arizoną, a nie prosto do Oceanu Indyjskiego.

– Wszystko będzie okej – próbowałem go uspokoić, ale nie wyglądał na przekonanego.

W samolocie leciało około czterdziestu skoczków i teraz wszyscy ustawiali się na rampie.

– Przygotować się – krzyknął jumpmaster[18], informując nas, że do skoku pozostało niecałe trzydzieści sekund.

Nogi mojego chłoptasia zaczęły drżeć. Cały się trząsł, gdy szliśmy naprzód.

– Chłopie, rozluźnij się trochę – rzuciłem. Wymagałem od niego tylko jednego – żeby pamiętał o wszystkim, co mu mówiłem.

– Zielone światło. Naprzód!

Jumpmaster wskazał na krawędź rampy.

Wężyk przesuwał się naprzód, a kolejni skoczkowie jeden po drugim zeskakiwali w przepaść. Po paru krokach zobaczyłem, jak niebo łączy się z oceanem. Dwukrotnie klepnąłem mojego faceta w ramię, po czym wrzasnąłem mu do ucha, by przekrzyczeć wiatr:

– Pozycja!

Dawałem mu sygnał do zajęcia ustalonej pozycji. Chodziło o to, by jego palce u stóp dosłownie zwisały z rampy, bo inaczej przy skoku mógłbym poharatać mu łydki.

W tej samej chwili facet zamarł. Czułem, jak zapiera się o podłogę.

– Pozycja! – powtórzyłem, ale on ani drgnął.

Nie mieliśmy czasu, więc po prostu pchnąłem go naprzód i obaj runęliśmy w dół.

Otworzył się spadochron hamujący. Niewielka czasza stabilizowała lot i kontrolowała prędkość spadania swobodnego. Tak jak podczas setek innych skoków powtórzyłem w głowie wszystkie procedury i pociągnąłem za uchwyt, by otworzyć spadochron główny.

Nagle hałas samolotu zginął w oddali i zapadła cisza. Słyszeliśmy jedynie trzask materiału na wietrze.

Rozejrzałem się; widok był wspaniały, a po duchocie panującej w kabinie C-17 świeże powietrze stanowiło miłą odmianę. Niebo i woda miały tę samą kryształową barwę błękitu, a wysoko nad naszymi głowami wisiało kilka delikatnych, pajęczych chmur. Gdy spojrzałem pod nogi, moim oczom ukazał się wir spadochronów wokół czterech szarych łodzi, które podskakiwały na falach oceanu.

Moi koledzy z zespołu krążyli wokół siebie, by uniknąć zderzenia, i wpadali do wody. Przypominało to trochę walki powietrzne z czasów drugiej wojny światowej.

Tego dnia morze było spokojne, a fale niewielkie. Niedaleko widziałem płaski pokład USS „Boxera”, który czekał na nasze przybycie. Gdy zbliżyliśmy się do powierzchni, wypiąłem spadochron i zaraz potem wpadliśmy do wody ciepłej jak w wannie. Odczepiwszy łącznościowca, wyplątałem się z uprzęży.

Znajdowaliśmy się w odległości jakichś dwudziestu metrów od łodzi. Zsunąłem z kostek płetwy, które przykleiłem tam taśmą przed skokiem. Rezerwowy spadochron wypełnił się wodą i zaczął schodzić pod

powierzchnię. Dołączyłem do mojego faceta, który płynął w kamizelce ratunkowej do drabinki zwisającej z łodzi.

– I co? Jak było? – zapytałem go.

– Totalne wariactwo! – odpowiedział tylko, po czym uśmiechnął się – po raz pierwszy od chwili, gdy załoga samolotu opuściła rampę.

Wspiąłem się na pokład i znalazłem sobie miejsce w przedniej części łodzi, żeby poczekać, aż zostaniemy policzeni. Ponieważ łodzie typu HSAC były przystosowane do przenoszenia tylko dwunastu członków załogi, szybko zrobiło się tłoczno. Usiadłem na dziobie i zwiesiłem nogi za burtę, pozwalając, by prąd poruszał moimi płetwami.

– Hej, człowieku, widziałeś jakieś rekiny? – zapytał mnie jeden z kumpli.

– Nie – odparłem. Wiedziałem, że pobliskie wody są opanowane przez rekiny, ale nie zauważyłem, żeby coś się do nas zbliżało.

– Chłopie, jak tu płynąłem, zobaczyłem pod powierzchnią taaaki cień.

Wciągnąłem płetwy z powrotem do łodzi.

Niedługo później dowiedziałem się, że podczas naszego przelotu kapitan Phillips próbował uciec, co jeszcze bardziej podkręciło napięcie. Skoczył do wody, ale piraci wyłowili go, grożąc mu bronią. Po tym incydencie skrępowali mu ręce i wyrzucili za burtę jego komórkę i krótkofalówkę – uznali, że w jakiś sposób odbierał rozkazy z amerykańskiego okrętu.

Wkrótce jednak skończyło im się paliwo i łódź ratunkowa dryfowała na morzu. Kapitan USS „Bainbridge’a”, komandor porucznik Frank Castellano, zdołał przekonać piratów, by pozwolili wziąć się na hol. Załoga amerykańskiego okrętu dostarczała im pontonem jedzenie i wodę pitną. Podczas jednego z takich przelotów czwarty pirat, Abdul Wal-i-Musi, poprosił o pomoc medyczną z powodu kontuzji ręki, której doznał podczas

próby ucieczki Phillipsa. Został przetransportowany na pokład niszczyciela, gdzie go opatrzono.

Po zainstalowaniu się na USS „Boxerze” wysłaliśmy mały zespół na „Bainbridge’a”. Reszta zespołu otrzymała polecenie, żeby czekać. Gdyby łódź ratunkowa dobiła do brzegu, musielibyśmy przeprowadzić operację ratunkową na lądzie.

W skład sił, które popłynęły na niszczyciel, wchodził zespół szturmowy, liczni snajperzy i nieduża sekcja dowodzenia. Komandosi z Navy SEAL zorganizowali stanowisko obserwacyjne na skraju rufy „Bainbridge’a”. Snajperzy zmieniali się nieustannie, mimo że negocjacje zostały wznowione. Cierpliwie czekaliśmy na rozwój sytuacji.

W niedzielę dotarła do nas niespodziewana wiadomość, że Phillips jest już bezpieczny na pokładzie „Bainbridge’a”. Zespół biorący udział w akcji wrócił, a ja wpadłem na mojego kumpla Gary’ego. Podczas kursu BUD/S Gary znajdował się w starszej grupie, ale do Green Teamu zgłosił się kilka lat po mnie. Rozpoczął karierę w Navy SEAL jako sternik miniaturowych łodzi podwodnych. Zawsze bawiło mnie wyobrażenie, jak się kuli, żeby wcisnąć do kabiny swoje ciało (mierzące, bagatela, sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry). Za swoją poprzednią zmianę otrzymał Srebrną Gwiazdę. Dosłownie poszatkował pięciu facetów, którzy próbowali obejść flankę jego sekcji podczas operacji w Kandaharze. Gary popłynął z zespołem na „Bainbridge’a”, by zająć się przesłuchaniem pojmanego pirata, Abdula Wal-i-Musiego.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Chłopie, błagam cię, powiedz mi coś, cokolwiek!

– Dorwaliśmy ostatniego, gdy tylko wychylił głowę. Ściągnęliśmy wszystkich trzech jednocześnie – wytłumaczył krótko Gary.

Opowiedział mi, że powierzono mu zadanie przesłuchania rannego pirata. Liczył, że facet zdoła nakłonić wspólników, by się poddali. Zaczął urabiać go swoją uprzejmością, gdy tylko dotarł na pokład niszczyciela.

– Hej, człowieku, chcesz może lody? Albo zimną colę?

Obietnice jedzenia i picia pozwoliły Gary'emu zjednać sobie sympatię pirata. Trzymał go na zewnątrz, na pokładzie, żeby jego wspólnicy, którzy porozumiewali się z negocjatorami krzykiem, widzieli, jak zajada się lodami i popija je schłodzoną colą.

– Nic nie słychać – powiedział mu Gary. – Powiedz im, żeby wciągnęli linę.

Musi przekazał tę informację i lina stopniowo stawała się krótsza, a łódź ratunkowa podpływała do niszczyciela. Morze zaczynało się burzyć i pozbawiona silnika mała jednostka podskakiwała coraz gwałtowniej na falach. Gdy zapadł zmrok, Gary i jego koledzy z zespołu przyciągnęli ją jeszcze bliżej. Tamtej nocy panowały egipskie ciemności, więc piraci nie zorientowali się, że są coraz bliżej „Bainbridge'a". Tymczasem nasi ludzie przyglądali się łodzi z rufy. Punkciki laserów podczerwonych, które widać tylko w noktowizorze, tańczyły na jej poszyciu.

Pierwszy pirat trzymał straż na szczycie zadaszonego obszaru – ściągnięcie go wydawało się proste. Drugiego widzieli przez okienko, gdy sterował łodzią, ale trzeci zawsze się ukrywał, a oni musieli załatwić wszystkich jednocześnie. Żeby to zrobić i zapewnić Phillipsowi bezpieczeństwo, trzeba było skłonić faceta do wyjścia. W końcu w niedzielną noc, po długich godzinach wyczekiwania, głowa i ramiona trzeciego pirata wynurzyły się z tylnego luku. Snajperzy nie potrzebowali niczego więcej. Rozkazy mówiły wyraźnie: działajcie tylko w sytuacji zagrożenia życia Phillipsa. Ponieważ jednak napięcie sięgało zenitu, a moi

koledzy obawiali się o zdrowie zakładnika, otworzyli ogień. W kilka sekund ich kule załatwiły sprawę.

Gdy przebrzmiał ostatni strzał, zespół na rufie usłyszał pojedynczy trzask AK. Tego dźwięku nie dało się pomylić z żadnym innym; rozszedł się echem nad powierzchnią morza, a moi koledzy podupadli na duchu. Stawka była wysoka. Waszyngton regularnie otrzymywał uaktualnienia na temat akcji i śledził łódź ratunkową za pomocą zdalnie sterowanych samolotów. Zarówno dowódca DEVGRU, jak i mojego zespołu płynęli na USS „Boxerze".

Nie było czasu do stracenia. Obawiając się najgorszego, dwaj snajperzy zerwali się na nogi i zaczęli pełznąć po linie holowniczej do łodzi ratunkowej. Balansowali dosłownie kilka centymetrów ponad ciemnymi falami, ale po paru minutach dotarli do celu. Uzbrojeni tylko w pistolety, weszli na pokład i wskoczyli do kabiny. Prowadziło do niej pojedyncze wejście i zdawali sobie sprawę, że są łatwymi celami dla rannego pirata.

Szybko, ale metodycznie sprawdzili każdego z mężczyzn, by się upewnić, że nie stanowią zagrożenia. Znaleźli kapitana Phillipsa związanego w kącie. Był cały i zdrowy. Za łodzią ratunkową płynął RHIB[19] z garstką SEALsów. Gdy tylko usłyszeli strzały, błyskawicznie podpłynęli i przejęli zakładnika.

Tymczasem na „Bainbridge'u", jeszcze zanim wybrzmiał huk karabinów snajperskich, Gary chwycił czwartego pirata i powalił go na podłogę.

– Trafisz do pierdla, koleś – rzucił. – Twoi kumple nie żyją, nie jesteś mi już potrzeby.

Z kajdankami i kapturem na głowie, Musi został wyprowadzony.

Gary spotkał się z Phillipsem na rufie. Kapitan „Maersk Alabama" był zdezorientowany, kiedy wspinał się na pokład niszczyciela.

– Dlaczego to zrobiliście? – nie mógł zrozumieć.

Cierpiał na łagodny przypadek syndromu sztokholmskiego i jeszcze nie otrząsnął się z szoku po strzałach. Nie rozumiał, co się stało ani dlaczego.

Badania medyczne wykazały, że jest w całkiem niezłym stanie, a syndrom sztokholmski wkrótce ustąpił. Podziękował moim kolegom za pomoc i zadzwonił do rodziny, po czym został odesłany na USS „Boxer", skąd udał się do domu w Vermont.

Spędziliśmy na „Boxerze" jeszcze kilka dni, czekając na rozkazy, zanim przybiliśmy do brzegu i polecieliśmy z powrotem do jednostki. Podobało nam się, że wreszcie mogliśmy uratować komuś życie, zamiast ciągle je odbierać. Fajnie było popracować poza Afganistanem i Irakiem. Krótko mówiąc, cieszyłem się, że robimy coś innego. Złe strony całej sytuacji? Na własne oczy zobaczyliśmy, jak ospale działa waszyngtońska machina. Byliśmy gotowi do działania, zanim dostaliśmy zielone światło, ale koniec końców misja odbicia kapitana Phillipsa pozwoliła wykorzystać nasze umiejętności w akcji i wysłać do Waszyngtonu czytelny sygnał, że jesteśmy gotowi na najważniejsze operacje.

ROZDZIAŁ 7

Długa wojna

Bolały mnie nogi i paliły płuca, kiedy biegłem w górę wzniesienia.

Było lato 2009 roku, a my znajdowaliśmy się jakieś dwa tysiące czterysta metrów nad poziomem morza, w górach centralnego Afganistanu, dwie godziny drogi od Kabulu. Po uratowaniu kapitana Phillipsa wróciliśmy do domu, ćwiczyliśmy przez kilka miesięcy, po czym zgodnie z planem polecieliśmy na kolejną zmianę do Afganistanu.

Zauważyłem wskaźnik laserowy zdalnie sterowanego samolotu – nazywaliśmy je dronami – który śledził ruch ośmiu bojowników uciekających z obozu. Zespół rzucił się w pościg, gdy tylko rampa śmigłowca dotknęła ziemi.

– Zespół Alpha ma kontakt wzrokowy ze zbiegami – powiedział Phil przez radio.

Rebelianci kierowali się w stronę górskiej grani trzysta metrów na północ od obozu. Próbowaliśmy odciąć im drogę, podczas gdy reszta oddziału czyściła budynki. Zbliżając się do ich pozycji, zerknąłem za plecy – Phil i jego chłopcy byli tuż za mną. Przeprowadzaliśmy pierwszą operację

podczas tej zmiany i nasze organizmy jeszcze nie zdążyły się przyzwyczaić do warunków panujących na dużej wysokości.

Upewniony, że reszta zespołu zajmuje pozycje, oparłem karabin o ramię. Rebelianci organizowali punkt oporu w odległości mniej więcej stu trzydziestu metrów. Po przebiegnięciu prawie pięciuset metrów w pełnym wyposażeniu miałem trudności z ustabilizowaniem lasera, ale udało mi się wycelować w faceta z karabinem maszynowym PKM. Posłałem w niego całą serię i zobaczyłem, jak upada. W tej samej chwili dogonili mnie koledzy i ściągnęli dwóch kolejnych rebeliantów. Reszta zniknęła za górskim grzbietem.

Porzuciwszy swoich zabitych, zbiegali ze wzniesienia.

– Pięć punktów zmierza na północ, w stronę skupiska budynków – poinformował nas przed radio pilot drona. Laser przesuwał się z grzbietu wzniesienia na dół.

Phil kiwnięciem głowy dał nam sygnał i znowu pędziliśmy sprintem, żeby skrócić dystans do przeciwników.

Zwolniliśmy, wbiegając na szczyt wzniesienia, żeby nie wpaść w pośpiesznie zorganizowaną zasadzkę. Dostrzegłem trzy ciała – jedno z karabinem maszynowym i jedno z granatnikiem RPG. Mieliśmy szczęście, że wyeliminowaliśmy z walki dwa najcięższe „działa” w ciągu pierwszych sekund starcia.

Martwi rebelianci byli ubrani w workowate koszule, spodnie i czarne cheetahy – tenisówki podobne do tych z Pumy, noszone przez talibańskich bojowników. W zespole żartowaliśmy, że każdy, kto nosił w Afganistanie czarne cheetahy, automatycznie stawał się podejrzanym. Z jakiegoś powodu w tych butach chodzili wyłącznie talibańscy bojownicy.

Z grzbietu wzniesienia wyraźnie widzieliśmy pozostałych rebeliantów, którzy gnali po zboczu na dół. Phil podniósł granatnik leżący przy jednym z martwych i wystrzelił w kierunku uciekającej grupy. Pocisk trafił niedaleko, zasypując rebeliantów odłamkami.

Phil odłożył granatnik i odwrócił się do mnie. Przez radio dostaliśmy meldunek o bezpośrednim wsparciu lotniczym. W górze krążyła powietrzna forteca, AC-130.

– CAS[20] na pozycji! – ryknął mi Phil prosto w twarz.

Huk granatnika stępił mu słuch.

– Człowieku, nie musisz się drzeć.

– Co?!

Przez resztę nocy słyszałem Phila, zanim miałem szansę go zobaczyć.

Patrzyliśmy ze wzniesienia, jak dwudziestomilimetrowe działko AC-130 miażdży siły bojowników. Po wysłaniu naprzód psa bojowego, któremu Phil nadał przydomek operacyjny „kudłaty pocisk”, przez całą noc uganialiśmy się za pozostałymi rebeliantami. Koniec końców wszyscy byli martwi albo śmiertelnie ranni.

Phil wraz z innym operatorem popędził za jednym z bojowników do budynku, a reszta zespołu zaczęła oczyszczać pole wysokiej do pasa trawy. Z AC-130 dolatywały meldunki o kolejnych potencjalnych celach. „Wystrzeliliśmy” kudłaty pocisk, który natychmiast zwęszył rebelianta jakieś piętnaście metrów po mojej prawej. Facet wrzeszczał, gdy zwierzę zaatakowało.

Odwoławszy psa, rzuciliśmy granaty do rowu, w którym bojownicy urządzili zasadzkę. Kiedy moi partnerzy przesunęli się, by oczyścić rów, ja ruszyłem naprzód.

Nawet w noktowizorze widoczność była słaba, a gęsta trawa utrudniała mi ruchy. Zza pleców dolatywał do mnie przerywany odgłos karabinów. Phil i jego partner wdali się w wymianę ognia ze strzelcem zabarykadowanym w jednym z budynków. Trzymałem karabin wysoko, wodząc laserem po trawie. Widziałem przed sobą wypalone plamy ziemi w miejscach, gdzie trafiły pociski z dwudziestomilimetrowego działka.

Każdy krok był dokładnie wymierzony.

Przez szparę pod goglami dostrzegłem u swoich stóp cień. Podniosłem nogę, żeby na niego nastąpić, przekonany, że to gałąź lub kłoda, wtedy jednak usłyszałem sapnięcie. Odskoczyłem przerażony i odruchowo pociągnąłem za spust.

Upewniwszy się, że ze strachu nie narobiłem w gacie, opanowałem nerwy i podszedłem bliżej, żeby przeszukać ciało. Facet musiał już nie żyć, kiedy na niego nadepnąłem – był przypalony od dwudziestomilimetrowych pocisków. Ciężar mojej nogi wypchnął mu powietrze z płuc. Po szybkich oględzinach znalazłem AK i kamizelkę taktyczną.

Wróciwszy do Dżalalabadu, pozowaliśmy do zdjęć – Phil z czarną obcisłą czapeczką Under Armour na głowie i granatnikiem na ramieniu. Ta fotografia zawsze przypomina mi, jak załatwił wroga jego własną bronią, przy okazji pozbawiając się słuchu.

Noc była pracowita i stanowiła świetny wstęp do dynamicznej zmiany. Tamtego dnia zabiliśmy ponad dziesięciu rebeliantów i nie straciliśmy ani jednego człowieka. Jak zwykle stało się tak za sprawą mieszanki umiejętności i szczęścia. Strzelec ukryty w rowie zaskoczyłby nas, gdyby nie pies bojowy, co kolejny raz potwierdziło jego wartość.

Od dnia przybycia do jednostki na moje życie składały się wzloty w postaci świetnych operacji i upadki, kiedy czekaliśmy na następną misję.

Jeśli nie byliśmy na zmianie, ćwiczyliśmy do tej, która wkrótce nas czekała. Na przemian służyliśmy w Iraku i Afganistanie. Ani chwili wytchnienia – i to bez względu na to, czy człowiek był samotny, żonaty czy dzieciaty. Cały nasz świat kręcił się wokół pracy, priorytetu numer jeden.

Z powodów bezpieczeństwa nie powinienem pisać o rodzinach, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że ich nie mieliśmy. Mieliśmy – żony, byłe żony, dziewczyny, dzieci, rodziców i rodzeństwo. Wszyscy ci ludzie zabiegali o nasz czas. Staraliśmy się być dobrymi mężami i partnerami, ale po latach wojny trudno być w stu procentach obecnym – nawet wtedy, gdy człowiek siedzi w domu.

Każdego dnia patrzyliśmy jednym okiem na telewizor, czekając na wiadomości o następnym kapitanie Phillipsie. Kiedy ćwiczyliśmy, robiliśmy to tak sumiennie, jak to tylko możliwe. Kolejna zmiana, szkolenie, a nawet nieustana czujność na przepustce wymagały od nas tak dużo uwagi, że nie mieliśmy czasu myśleć o innych sprawach.

W większości przypadków nasi bliscy rozumieli ten styl życia. Gdy nie ma cię w domu osiem, dziewięć, a nawet dziesięć miesięcy z dwunastu, rodzina w naturalny sposób schodzi na dalszy plan.

Chcieli, żebyśmy wrócili.

Chcieli, żebyśmy byli bezpieczni.

W rzeczywistości wiedzieli bardzo mało o tym, co działo się w naszym życiu. Żadna z tych osób nigdy nie zaznała satysfakcji płynącej z przeświadczenia, że wraz z każdym wyeliminowanym bojownikiem Al-Kaidy i twórcą improwizowanych urządzeń wybuchowych świat stawał się odrobinę bezpieczniejszym miejscem – a jeśli nie cały świat, to przynajmniej drogi patrolowane przez naszych żołnierzy.

Może rozumieli to w teorii, ale martwili się o nas z zacisza swoich domów. Bali się, że któregoś dnia w drzwiach stanie mężczyzna w mundurze galowym i poinformuje ich, że już nie wrócimy. Społeczność Navy SEALs straciła wielu wspaniałych chłopaków, a DEVGRU nie stanowiła pod tym względem wyjątku. Nie było to jednak daremne poświęcenie. Żadna nauczka ani bohaterski wyczyn nie szły w zapomnienie. Znaliśmy ryzyko związane z udziałem w operacjach i szkoleniach; wiedzieliśmy, jak sobie z nim radzić, i mieliśmy świadomość, że nasza praca wymaga ofiar. Członkowie naszych rodzin, jak na przykład mój ojciec, który nie chciał dla mnie takiego życia, nie zawsze to rozumieli.

Tuż przed ukończeniem szkoły średniej powiedziałem rodzicom o planach zaciągnięcia się do służby. Nie zareagowali zbyt pozytywnie. Kiedy byłem mały, mama nie pozwalała mi bawić się żołnierzami G.I. Joe ani innymi wojennymi zabawkami, bo uważała, że są zbyt brutalne. Do dziś żartujemy, że gdyby mi jednak pozwoliła, być może wybiłbym sobie z głowy zabawę w wojnę i nie wstąpił do armii.

Przed zakończeniem roku szkolnego siedziałem w kuchni i rozmawiałem przez telefon z pracownikiem zajmującym się werbunkiem. Z początku rodzice sądzili, że to tylko kolejna faza, która w końcu minie, ale szybko zorientowali się, że moje plany wstąpienia do marynarki wojennej są bardzo poważne.

Tato usiadł ze mną, żeby porozmawiać o wojsku i kontynuowaniu nauki w college’u.

– Po prostu nie chcę, żebyś został żołnierzem – przyznał w końcu otwarcie.

Nie był pacyfistą, nic z tych rzeczy, ale dorastał w czasie konfliktu w Wietnamie i doskonale wiedział, jaki wpływ wojna wywiera na ludzi. Wielu jego przyjaciół zostało powołanych i nigdy nie wróciło do domów.

Nie chciał, żeby jego syn kiedykolwiek poszedł na wojnę, ja jednak nie słyszałem w jego głosie zmartwienia ani zdenerwowania – słyszałem wyłącznie odmowę.

– Zrobię to – powiedziałem – bo mi na tym zależy.

Tato nawet na chwilę nie uniósł głosu. Cały czas próbował racjonalnie argumentować.

– Posłuchaj – poprosił. – Jeśli w ogóle bierzesz pod uwagę moje zdanie, idź na rok do college'u. Nie spodoba ci się, to trudno, nie będziesz musiał tam wracać.

Ojciec wiedział, że dorastając w małej wiosce na Alasce, nie miałem zbyt wielu okazji, by poznać prawdziwy świat. Razem z mamą uznali, że w nowej szkole i nowym miejscu będę wystawiony na tak wiele wpływów, że szybko zapomnę o karierze SEALsa.

Dostałem się do niewielkiego college'u w Kalifornii.

– Dobrze, tato. Na rok.

Rok zamienił się w cztery lata, a ponieważ zdobyłem dyplom, rozważałem możliwość wstąpienia do marynarki na stanowisko oficerskie. Odradził mi to jednak były komandos Navy SEALs, z którym zaprzyjaźniłem się w szkole. Wytłumaczył mi, że na karierę oficerską zawsze będzie czas, a standardowa droga awansu zapewni mi więcej czasu operacyjnego i pozwoli dłużej pozostać na linii frontu. Po zdaniu egzaminów końcowych zaciągnąłem się do służby i tym razem tato nie protestował.

Podobnie jak wielu moich kolegów z zespołu, napędzała mnie ambicja, żeby zostać SEALsem, a kiedy ukończyłem kurs BUD/S, ambicja, by być najlepszym SEALsem jak to możliwe. Pod tym względem nie stanowiłem wyjątku, w jednostce służyli sami twardzi faceci. Ale my wszyscy mieliśmy

kłopoty z odnalezieniem złotego środka. Nazywaliśmy to zjawisko „pędzącym pociągiem” – trudno było do niego wsiąść i równie trudno wysiąść, ale kiedy człowiek załapał się na przejażdżkę, musiał się czegoś mocno chwycić.

Tak naprawdę mieliśmy dwie rodziny: gości z jednostki i ludzi, których kochaliśmy i zostawiliśmy w domach. Ja pochodziłem z bardzo zgranej rodziny mieszkającej na Alasce, którą darzyłem podobnym uczuciem co kolegów z zespołu: Phila, Charliego czy Steve’a.

Dla mnóstwa chłopaków złoty środek między czasem poświęconym na pracę a tym dla rodziny okazywał się nieuchwytny. Wielu przechodziło bolesne rozwody; omijały nas wesela, pogrzeby i wakacje. Nie mogliśmy powiedzieć „nie” marynarce, ale mogliśmy odmówić rodzinie – i często to robiliśmy. Trudno nam było wygospodarować czas wolny, bo praca figurowała na szczycie listy priorytetów. Wysysała z człowieka niemal wszystko i niemal nic nie dawała w zamian.

Żeby było śmieszniej, część chłopaków przychodziła do pracy na przepustce przed kolejną zmianą. Przygotowywali sprzęt, ćwiczyli albo po prostu załatwiali ostatnie sprawy.

Sekret polegał na tym, że wszyscy, łącznie ze mną, kochali taki styl życia. Nie chcieliśmy, by ominęła nas żadna zmiana, co oznaczało, że wszystko inne schodziło na dalszy plan.

W 2009 roku odbywałem jedenastą z kolei zmianę bojową. Przeszedłem długą drogę od nowego gościa do zastępcy Phila. Licząc od roku 2001, miałem tylko jedną przerwę – w Green Teamie – jeśli w ogóle można to nazwać przerwą. Osiem nieprzerwanych lat w boju i na szkoleniach. Byłem mądrzejszy i dojrzalszy, a gdy wspinałem się po szczeblach starszeństwa, na moje miejsce przychodzili nowi goście – zwykle bardziej doświadczeni

pod względem bojowym. Z pewnością dysponowali lepszym wyszkoleniem niż ja, gdy dołączyłem do Green Teamu. Cała jednostka była lepsza. Skupialiśmy się na działaniach w Afganistanie i choć operacje w Iraku stopniowo wygaszano, tempo pracy nie zwalniało nawet na chwilę. Wszyscy chcieliśmy pracować, ale starsi operatorzy zaczynali odczuwać trudy wyjazdów.

Steve awansował i został dowódcą innego zespołu w naszym szwadronie, Charlie pracował zaś jako instruktor w Green Teamie.

Tym razem służyliśmy na letniej zmianie, co oznaczało, że mieliśmy dużo zajęć. Coroczna letnia ofensywa sił talibańskich wchodziła w szczytową fazę. W zimie walki zamierały, bo wszystkim dokuczało zimno i kiepska pogoda. Kiedy na początku lata zaginął jeden z amerykańskich żołnierzy, rzuciliśmy wszystko, by go odnaleźć.

Starszy szeregowy Bowe Bergdahl zniknął 30 czerwca 2009 roku. Porwała go talibańska grupa i natychmiast przemieściła w pobliże granicy z Pakistanem, mając nadzieję, że zdołają przemycić go na drugą stronę. Nasz analityk wywiadu tropił każdy ślad. Przeprowadziliśmy kilka akcji ratunkowych, ale ze wszystkich wracaliśmy z pustymi rękami. Toczyliśmy wyścig z czasem – chodziło o to, żeby odbić zakładnika, zanim talibowie przemycą go przez granicę. Obawialiśmy się, że ludzie, którzy go porwali, postanowią sprzedać go innej grupie, takiej jak sieć Haqqani, terrorystom powiązanym z talibami.

Niespełna miesiąc po porwaniu talibowie udostępnili nagranie, na którym zobaczyliśmy Bergdahla ubranego w długą błękitną koszulę i workowate spodnie charakterystyczne dla tego regionu. Siedział przed białą ścianą, chudy, z wyciągniętą szyją i kilkudniowym zarostem. Wyglądał na przerażonego.

Tego samego wieczoru dostaliśmy cynk, że wywiad może znać jego obecne miejsce pobytu.

– Twierdzą, że prawdopodobnie Bergdahl znajdował się dziś na tym obszarze, na południe od Kabulu – wyjaśnił dowódca oddziału, wskazując na mapę centralnego Afganistanu. – Nie mamy zbyt wiele informacji, ale ta sprawa to teraz nasz priorytet.

Zgromadziliśmy się na odprawę w centrum operacyjnym. Był tam też Steve ze swoim zespołem. Miał lecieć cały oddział. Tym razem plan polegał na wylądowaniu w punkcie Y, czyli poza zasięgiem granatników, i przemieszczeniu się na pozycję. Niebezpieczniejsza opcja niż patrol, ale mimo wszystko lepsza od lądowania w punkcie X. Tylko w taki sposób mogliśmy zaatakować cel i wyczyścić go przed świtem.

Była już północ, co oznaczało, że wkrótce skończy się nam ciemność.

– Mamy dzisiaj stuprocentowe oświetlenie, a to oznacza, że będzie kurewsko jasno – stwierdził Phil. Zwykle staraliśmy się nie prowadzić działań podczas pełni. Co prawda noktowizory działają wtedy jeszcze lepiej, ale duża ilość oświetlenia sprawia, że wróg może nas dostrzec, niwelując część naszej przewagi.

Taktyczna cierpliwość to klucz do sukcesu. W większości przypadków lubiliśmy czekać i pracować nad celem, by uderzać dopiero wtedy, gdy prawdopodobieństwo przemawiało na naszą korzyść. Nie walczyliśmy z patałachami – talibowie to sprawni bojownicy i zawsze mogło się zdarzyć, że operacja wymknie się spod kontroli.

– Chłopaki, tym razem działamy częściowo pod przymusem – stwierdził dowódca oddziału. – Musimy pogodzić się z ryzykiem, bo chodzi o naszego człowieka.

Spowiła mnie chmura pyłu, gdy zbiegałem z rampy śmigłowca CH-47 Chinook. Wylądowaliśmy w otwartym terenie, a zadanie mojego zespołu polegało na przesunięciu się na zachód od celu, podczas gdy Steve i jego ludzie mieli iść od południa. Wspólnie chcieliśmy stworzyć szyk przypominający literę L, przesuwając się w stronę skupiska budynków, w których rzekomo przetrzymywano Bergdahla.

Cel znajdował się w odległości półtoragodzinnego lotu śmigłowcem od bazy w Dżalalabadzie. Na skraju strefy lądowania stał samotny dom. Zespół Steve'a zrobił zaledwie kilka kroków po zejściu z rampy, kiedy otworzyły się drzwi i ze środka wypadli rebelianci. Jeden z talibów był uzbrojony w karabin maszynowy PKM. Przez huk wirników śmigłowca przebijał się odgłos strzałów z broni automatycznej.

Obejrzawszy się w stronę Chinooka, zobaczyłem pociski smugowe, które niczym laser cięły kłęby pyłu, mknąc tuż obok maszyny. Zdążyłem jeszcze zauważyć, jak zespół Steve'a zanurkował za najbliższą osłonę i natychmiast zwrócił się w stronę wroga.

Pomimo skutecznego ognia karabinu maszynowego jeden z chłopaków Steve'a zdołał wyciągnąć pirackiego gnata – niewielki, jednostrzałowy granatnik – i w przerwie między seriami posłał granat prosto do wnętrza domu. Trafił centralnie w drzwi – strzał jeden na milion. Usłyszałem stłumiony huk eksplozji, a z budynku buchnął dym. Karabin maszynowy natychmiast ucichł, co dało zespołowi Steve'a niezbędne sekundy, by podejść do budynku, nie ponosząc strat. Ustawiwszy się obok drzwi, wyczyścili dom i zabili pozostałych rebeliantów.

– Ruchome cele na północ i na wschód – zgłosił Phil przez radio.

Przy tak jasnym świetle księżyca widziałem wszystko wyraźnie jak w dzień. Jeśli jednak oni widzieli nas gołym okiem z odległości jakichś stu

metrów, my z pomocą noktowizorów mogliśmy ich wypatrzeć z niemal trzystu.

Rozciągający się przed nami teren był płaski jak stół – bojownicy z bronią na plecach uciekali od śmigłowców. Pole przecinała droga, która biegła z południa na północ, przez zabudowania i dalej za dolinę. Dostrzegłem niewyraźnie dwóch facetów na motorowerach. Phil wypatrzył grupę złożoną z czterech rebeliantów, którzy z drogi pobiegli na zachód, w kierunku niewielkiego domu.

– Ruszamy we trzech – poinformował mnie przez radio. – Zajmiemy się kolesiami na zachód, ty bierz tych na rowerach.

Zespół Steve'a czyścił budynki, które stanowiły nasz pierwotny cel. Nigdzie nie znaleźli śladów Bergdahla, ale doszliśmy do wniosku, że musi się znajdować gdzieś w pobliżu – było tu zbyt wielu bojowników, i to zbyt dobrze uzbrojonych.

Miałem wsparcie dwóch snajperów z sekcji rozpoznania DEVGRU, którą nazywaliśmy krótko RECCE (skrót od *reconnaissance*, czyli rozpoznanie), i specjalistę z EOD, a Phil zabrał zespół z psem i dodatkowego operatora.

Gdy biegliśmy przez pole, niemal wpadliśmy na rebelianta ukrywającego się w trawie. Z początku go nie widziałem, dostrzegł go dopiero jeden ze snajperów i otworzył ogień. Przechodząc obok, zauważyłem, że miał na stopach cheetahy. Winny.

Po chwili moim oczom ukazały się motorowery zaparkowane przy drodze. Zauważyłem dwie głowy wystające zza beli siana, która musiała mieć wysokość co najmniej półtora metra i szerokość trzech, może nawet czterech metrów.

– Mam kontakt wzrokowy z dwoma rebeliantami około trzystu metrów na dwunastej – zgłosiłem.

Snajperzy też ich zauważyli. Przyklęknęliśmy na polu, by szybko wymyślić jakiś plan.

– Zasadzę się na drodze i zobaczę, czy mam czysty strzał – zaproponował mój partner.

Był jednym z najbardziej doświadczonych snajperów w jednostce. Na poprzedniej zmianie, w Iraku, to on wytropił irackiego snajpera, który strzelał do gości z piechoty morskiej. Trwało to kilka tygodni, ale w końcu znalazł go, zamelinowanego w budynku. Zastrzelił go przez dziurę w ścianie po brakującej cegle.

Droga biegła po lewej stronie beli siana i miała nieduży garb, który mógł mu zapewnić odpowiednią wysokość.

– Podejdę od prawej flanki – odezwał się specjalista z EOD.

– Okej – rzuciłem. – Ja wezmę środek i spróbuję przerzucić nad tym sianem granat.

Nie zachwycał mnie ten plan, inny nie wchodził jednak w rachubę. Przez płaskie pole ostrzału i zespół Phila na prawej flance mieliśmy dość ograniczone możliwości manewru, by pozbyć się facetów za belą.

Ufałem, że snajperzy kryją mi tyłek, gdy ruszyłem naprzód. Od celu dzieliło ich niecałe dwieście metrów – niezbyt łatwy strzał, ale też nieszczególnie trudny, tym bardziej że dysponowali noktowizorami i celownikami optycznymi.

Szybko zajęliśmy swoje pozycje.

– RECCE gotowy.

Niosłem na plecach małą składaną drabinkę. Rzuciłem ją na trawę i oznaczyłem światłem chemicznym widocznym wyłącznie w podczerwieni.

– EOD gotowy.

Przełożywszy karabin do lewej ręki, ukląkłem i wyciągnąłem granat. Wyszarpnąłem zawleczkę, po czym wziąłem głęboki oddech i rzuciłem się sprintem w stronę beli siana. Słyszałem tylko własny oddech i świst wiatru, starając się jak najszybciej zmniejszyć dystans, zanim rebelianci znów wychylą głowy. Mniej więcej w połowie drogi z prawej flanki doleciały do mnie strzały z kałasznikowów. Phil i jego zespół musieli wytropić swoje cele.

Bieg nie trwał dłużej niż kilka sekund, ale w mojej głowie wszystko zwolniło jak w telewizyjnej powtórce. Do beli zostało mi nieco ponad trzydzieści metrów, gdy znów ujrzałem głowę napastnika.

Znajdowałem się na otwartym terenie, pozbawiony wszelkich form osłony. Nie mogłem się zatrzymać, musiałem dotrzeć do celu. Nie rzucałem zbyt dobrze i wiedziałem, że nie zneutralizuję zagrożenia z tej odległości. Pozostawało mi tylko biec dalej. Ułamek sekundy później seria z karabinu snajpera trafiła faceta w pierś. Padł na ziemię jak szmaciana lalka.

Jedna z kul zapaliła materiał miotający pocisku RPG na jego plecach. Kiedy padał za siano, z jego plecaka trysnęła fontanna iskier. Wyglądał niczym gigantyczny fajerwerk.

Zatrzymawszy się gwałtownie, przerzuciłem granat nad belą i odtoczyłem na bok. Uciekając, usłyszałem huk wybuchu.

Kryty przez ogień snajperski, dołączyłem na polu do gościa z EOD i drugiego snajpera. Ruszyliśmy z powrotem do beli. Podchodząc od lewej strony, z bronią w gotowości, znaleźliśmy tylko jednego bojownika – tego, który dostał w pierś. Pocisk RPG wciąż się pod nim palił. Po jego towarzyszu nie było jednak śladu.

Zaczęliśmy się rozglądać za brakującym kolesiem, gdy w radiu zatrzeszczał meldunek:

– Ranny orzeł, ranny orzeł, proszę o natychmiastową ewakuację medyczną!

Jeden ze snajperów, którzy mi towarzyszyli, był sanitariuszem i bez wahania ruszył do zespołu Phila. Nadal nie widzieliśmy drugiego rebelianta, więc chwilowo wyparłem ze świadomości pytanie, kto z naszych chłopaków oberwał, żeby skupić się na poszukiwaniach.

Pomogłem specjaliście z EOD zebrać broń i motorowery porzucone przez rebeliantów. Mieli też granaty i morfinę – byli profesjonalistami, a nie zgrają farmerów, którzy po żniwach chwytali za karabiny.

Podczas tamtej operacji nie udało nam się oswobodzić Bergdahla, a w lecie 2012 roku chłopak wciąż przebywał w niewoli. Coś mi jednak mówi, że w którymś momencie musiał tam być. Może minęliśmy się o kilka godzin, a może podczas zamieszania porywacze zdążyli zabrać go i uciec.

Gdy opanowaliśmy sytuację, saperzy założyli ładunki, by wysadzić sprzęt rebeliantów.

– Gotowe – zakomunikował gość z EOD.

Odeszliśmy na bezpieczną odległość, a on odpalił ładunki, zamieniając ciało bojownika w strzępy. Wybuch liznął belę siana, podpalając ją i zostawiając czarny, osmalony ślad.

Kiedy wróciliśmy na miejsce, znaleźliśmy trzy ludzkie dłonie. Doszliśmy do wniosku, że drugi facet musiał się schować w sianie i zginął podczas wybuchu.

Wkrótce usłyszałem charakterystyczny odgłos nadlatującego Chinooka. Wylądował na polu tylko na chwilę, by zabrać rannego na pokład, po czym wyruszył w kierunku szpitala w Bagram na północ od Kabulu, gdzie znajdowała się ogromna baza lotnicza.

– Alpha 2, tu Alpha 1 – zgłosił się Phil przez radio.

Mój zespół miał dwójkę, a zespół Phila jedynkę. Słyszałem go po raz pierwszy, odkąd rozdzieliliśmy siły, by gonić uciekinierów.

– Człowieku, mam prośbę, zajmij się moimi chłopakami – powiedział.

Okazało się, że to właśnie on był rannym orłem. Siedział w śmigłowcu z rozciętą nogawką spodni, a krew ściekała na pokład i wsiąkała w mundur. Na szczęście, dzięki potężnej dawce morfiny, nie czuł bólu.

Później dowiedziałem się, że jego zespół gonił dwóch uzbrojonych po zęby rebeliantów. Wysłali naprzód psa bojowego. Na jego widok rebelianci otworzyli ogień. Pies zginął, a Phil dostał w nogę – kula rozerwała mu podudzie. Mało brakowało, by wykrwawił się na śmierć, ale szybka interwencja sanitariuszy uratowała mu zarówno życie, jak i nogę.

– Jasna sprawa, brachu – odpowiedziałem. – Trzymaj się.

Gdy wracałem do strefy lądowania, żeby przegrupować się z oddziałem, słyszałem już pierwsze żarty.

– Dobra robota. Ładnie załatwiłeś Phila, żeby przejąć dowodzenie – rzucił gościu z mojego zespołu. – Widzieliśmy, jak postrzeliłeś go w nogę i pognałeś po jego naszywkę.

Pięknie. Phil jeszcze nie doleciał do szpitala, a chłopcy już robili sobie jaja.

ROZDZIAŁ 8

Kozi szlak

Musiałem się odpryskać.

Od chwili gdy trzydzieści minut wcześniej wsiadłem w Dżalalabadzie na pokład śmigłowca, którym lecieliśmy do posterunku w górskiej prowincji Kunar, coraz bardziej chciało mi się sikać. Zgodnie z procedurą przed lotem każdy operator szedł sobie ulżyć, tym razem jednak odległość była niewielka, więc postanowiłem zaczekać, aż dotrzemy na miejsce.

Przeprowadzaliśmy tę operację dwa miesiące po incydencie, w którym Phil został postrzelony. Odesłali go do domu, żeby się kurował, a nam zostały trzy tygodnie do zakończenia zmiany. Odkąd Phil nas opuścił, pełniłem rolę dowódcy zespołu. Zmierzaliśmy właśnie do FOB-u[21] w jednym z najgroźniejszych regionów wschodniego Afganistanu. Baza miała stanowić teren przygotowań dla operacji wysoko w górach.

Czułem, jak CH-47 Chinook zwalnia do zawisu i obniża pułap. Kilka sekund później opony uderzyły o ziemię, a rampa opadła. Wyskoczyłem ze śmigłowca, przebiegłem pod potężnym silnikiem i skierowałem się w stronę rowu prawie dwadzieścia metrów od punktu lądowania.

Wylądowaliśmy w odległości pięćdziesięciu metrów od niewielkiej bazy wsparcia ogniowego, więc czułem się stosunkowo bezpiecznie, nawet na otwartym terenie.

Dołączyli do mnie inny chłopcy, którzy też musieli się odpryskać. Wokół panowały grobowe ciemności. Nie było żadnego światła, bo częściowo zasłaniały je majaczące przede mną góry. Za moim ramieniem łopaty śmigłowca chłostały powietrzem ziemię, wzniecając wielką chmurę pyłu. Ryk silników CH-47 był ogłuszający.

Stojąc na skraju rowu, podziwiałem piękno stromych gór. Spowite zielonym blaskiem noktowizora, wydawały się niemal błogo spokojne. Wtedy jednak dostrzegłem lśniący obiekt, który mknął przez niebo. W pierwszej chwili pomyślałem, że to spadająca gwiazda – dopiero po chwili dotarło do mnie, że – cokolwiek to było – pędziło w moją stronę.

Sruuu!

Pocisk granatnika przeciwpancernego uderzył trzy metry od tylnej rampy śmigłowca, zasypując moich kumpli odłamkami. Zanim zdążyłem zareagować, zobaczyłem grad pocisków smugowych, a wokół nas grzmiały kolejne eksplozje. Ruszyłem w stronę rowu po przeciwnej stronie lądowiska. Byliśmy całkowicie zaskoczeni – dla nas ta baza stanowiła punkt wypadowy, z którego korzystaliśmy przed robotą. Nie spodziewaliśmy się kontaktu przed szturmem, który mieliśmy przeprowadzić dopiero za kilka godzin.

Skowyt silników śmigłowca zmienił ton, gdy maszyna wzniosła się w powietrze i odleciała z doliny. Drugi śmigłowiec wystartował w pośpiechu, a fala powietrza z wirników przez przypadek odpaliła jedną z flar sygnalizacyjnych rozstawionych wzdłuż granicy niedużej placówki bojowej. Teoretycznie flary miały ostrzegać nas przed atakiem wroga, ale

teraz w ich świetle byliśmy widoczni jak na dłoni. W niewielkich grupach uciekaliśmy od światła, gdy rebelianci kierowali ogień w stronę bazy.

Pędząc przed siebie na złamanie karku, próbowałem zapiąć spodnie. Dolatywał już do mnie huk pierwszych moździerzy, a zaraz potem odezwał się równomierny grzechot amerykańskiego wielkokalibrowego karabinu maszynowego 12,7 mm. Żołnierze z bazy odpowiadali na atak. Wśliznąwszy się do rowu, patrzyliśmy, jak ostrzał omiata linię wzniesienia. Wyglądało to jak wielki, rozkwitający pąk. Lufy karabinów wystawały ze wszystkich stron bazy otoczonej zaporami Hesco – koszami z drucianej siatki, które wypełnia się piaskiem.

Kiedy w końcu zgasła flara, pod osłoną mroku przemieściliśmy się do głównej bramy i skryliśmy się za barierą ochronną posterunku.

Za bramą sanitariusze zajęli się opatrywaniem rannych. Obyło się bez poważnych obrażeń, choć odłamki pocisku z granatnika poraniły gościa z Rangersów, tłumacza, afgańskiego żołnierza, który z nami współpracował, i naszego psa bojowego. Śmigłowce kręciły się w pobliżu i gdy tylko ogień ustał, wróciły po rannych.

Gdy po chwili odleciały w stronę szpitala, chief oddziału i dowódcy zespołów spotkali się w bunkrze dowodzenia z dowódcą kompanii FOB-u i sierżantem szefem.

Charlie czekał z oddziałem w siłowni. Zgłosił się na ochotnika, żeby pomóc nam podczas ostatnich miesięcy zmiany, i teraz służył w moim zespole. Odkąd Phil oberwał, a ja przejąłem jego obowiązki, brakowało nam strzelca, a Charlie właśnie zakończył pracę instruktora w Green Teamie.

– Słyszałem, że postrzeliłeś Phila, żeby dostać tę robotę – stwierdził, gdy przyleciał do kraju. – To tak teraz przejmuje się zespół? Lepiej miej oczy z tyłu głowy.

Stęskniłem się za tym wielkim chuliganem i cieszyłem, że znów jesteśmy razem.

Po tym, jak Phil wrócił do domu, skończyły się żarty w bazie. W końcu przestałem się bać, że znowu znajdę w pokoju brokatową bombę, ale atmosfera nie była już taka luźna jak wtedy, gdy Phil kręcił się w pobliżu. Przede wszystkim jednak brakowało mi jego doświadczenia. Podobnie jak w drużynie futbolowej w naszej mentalności dominowała gotowość do zastąpienia kontuzjowanego kolegi, ale trudno było umniejszać wartość doświadczenia, a Phil miał go w nadmiarze. Wyraźnie odczuwaliśmy jego brak, mimo że tempo operacji nie dawało nam nawet chwili na rozpamiętywanie przeszłości.

Powrót Charliego złagodził te bolączki przynajmniej częściowo. Ponieważ dopiero co zakończył pracę w Green Teamie, był w formie i wiedziałem, że jego udział w operacji okaże się kluczowy. Jego doświadczenie i spokój pod ostrzałem nie miały sobie równych.

Centrum operacyjne, stworzone z worków wypełnionych piaskiem, było ciasne, a mapy obszaru wisiały na ścianach nad meblami ze sklejki. Z rogów niskiej konstrukcji sterczały anteny. W kącie stało radio, przy którym siedzieli dwaj młodsi szeregowi.

Patrzyliśmy ze Steve’em na mapę.

– Wybaczcie to przyjęcie powitalne – powiedział kapitan dowodzący bazą. – Mamy takie atrakcje przynajmniej raz w tygodniu. Po prostu mieliście szczęście znaleźć się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

Prowadzenie działań w Kunarze nie było łatwe. Moim zdaniem to jeden z najtrudniejszych regionów całego kraju, jeśli chodzi o efektywne namierzanie wroga. Prawie nie zdarzało się, żebyśmy wyszli w teren, nie wdając się w walkę. Zlokalizowany w niskim Hindukuszu, obfituje w trudne przeszkody naturalne, takie jak wzgórza i wąskie doliny

o stromych zboczach. Ta prowincja od dziesiątek lat stanowi ulubioną kryjówkę grup rebelianckich. Niedostępny teren, sieci jaskiń i mała odległość do quasi-autonomicznej prowincji granicznej Pakistanu zapewniają grupom bojowników znaczną przewagę.

To właśnie w Kunarze, znanym nieformalnie jako „Enemy Central" lub „Indian Country", między styczniem 2006 a marcem 2010 roku doszło do aż sześćdziesięciu pięciu procent wszystkich incydentów z rebeliantami zanotowanych na terenie kraju. Nie dość, że miejscowe grupy talibańskie zadają się z obcokrajowymi bojownikami Al-Kaidy, to na dodatek w całym regionie działa także mudżahedińska milicja.

Staliśmy ściśnięci przy stole, na którym leżała mapa regionu. Plan polegał na pieszym podejściu w dolinę na południe od bazy i przeprowadzeniu operacji zabicia lub pojmania grupy talibów o dużym znaczeniu, którzy w tym samym czasie zorganizowali spotkanie.

To mogła być nasza ostatnia szansa na ustrzelenie grubszego celu, bo obecna zmiana powoli dobiegała końca – choć i tak należało zaliczyć ją do udanych, pomimo rany Phila i straty psa. Wiedzieliśmy, że jeśli dobrze rozegramy nasze karty, dostaniemy szansę na mały rewanż.

Z dronów przelatujących nad podejrzanym obozem obserwowaliśmy kluczące patrole. Przez lata obaj ze Steve'em nauczyliśmy się całkiem nieźle rozpoznawać tak zwaną szemraną aktywność. Surowy przekaz z dronów nie mówił człowiekowi zbyt dużo. Na ekranie rebelianci wyglądali jak mrówki drepczące tam i z powrotem, ale dla mnie i dla Steve'a drobne szczegóły układały się w sensowną całość. Większość obozów nie wystawia pieszych patroli, a jeśli dodać do tego raporty wywiadu i fakt, że znajdowaliśmy się w Kunarze... Wszystko to wskazywało na wspomnianą „szemraną aktywność".

Z góry zakładaliśmy, że pakujemy się w niezłą kabałę.

Zgodnie z planem ośmioosobowy zespół miał się wspiąć na górską grań, by wzdłuż doliny podejść do celu. Po dotarciu do obozu zamierzaliśmy ustawić się na pozycji blokującej i odciąć bojownikom ewentualną drogę ucieczki. Podejrzewaliśmy, że nie będą spodziewać się ataku z góry, bo większość obozów leżała u szczytu dolin. Pozostałe dwa zespoły miały wejść do doliny główną drogą i wypłoszyć talibów, starając się zapędzić ich prosto w zasadzkę. Ustaliliśmy jednak, że jeśli dotrą do celu niezauważeni, po prostu dołączymy do nich, by wyczyścić obóz ze wszystkich stron.

W większości przypadków bojownicy nie rzucali się na nasz widok do walki. Uciekali, licząc, że ukryją się między drzewami albo w pobliskiej wiosce. Chcąc ich zatrzymać, wysyłaliśmy zespół w jakiś wysoki punkt, by sami wchodzili w strefę ognia.

Trasa, którą mieliśmy dokonać infiltracji, liczyła około siedmiu kilometrów; niby niewiele, ale tylko wtedy, gdy nie bierze się pod uwagę różnic wysokości. Mój zespół musiał tej nocy poradzić sobie z większością trudnych podejść, bo szliśmy bezpośrednio w górę wzniesienia. Wiedząc, że czeka nas wymagająca wspinaczka, zostawiłem w bazie płyty balistyczne chroniące przed ostrzałem i wziąłem tylko trzy dodatkowe magazynki, granat ręczny, radio i apteczkę. Wszyscy staraliśmy się ograniczyć balast. Mieliśmy takie powiedzenie: „Im mniej, tym więcej”.

Kiedy jednak człowiek rezygnuje z płyt, musi brać pod uwagę możliwe konsekwencje. Po niespodziance w strefie lądowania zaczynałem mieć wątpliwości.

Podczas omawiania planu z kapitanem placówki czuliśmy na sobie wzrok żołnierzy z garnizonu. Dla nich – dokładnie ogolonych i krótko ostrzyżonych gości z armii – musieliśmy wyglądać jak gang motocyklowy albo drużyna wikingów.

Większość z nas nosiła dość długie włosy jak na wojskowe standardy, a nasze mundury stanowiły miszmasz niepasujących spodni i koszul. Mieliśmy wymyślne noktowizory panoramiczne z czterema przetwornikami o znacznie większym polu widzenia niż klasyczne urządzenia z jednym lub dwoma przetwornikami. Generalnie rzecz biorąc, korzystaliśmy z wszelkich nowinek na militarnym rynku. Każdy z nas był profesjonalistą – doskonale wiedzieliśmy, czego potrzebujemy, by wykonać zadanie, i kompletowaliśmy sprzęt indywidualnie.

– Niektórzy z tych gości nie mają płyt balistycznych – zauważył jeden z żołnierzy.

Dowódca rozpoznania wskazał na mapie kozi szlak.

– Widzieliście kiedykolwiek tę ścieżkę? – zwrócił się do kapitana.

Kapitan przytaknął.

– Stromo pod górę. Jak stoicie z czasem?

– Chcemy uderzyć i wrócić, zanim się rozjaśni – wyjaśnił dowódca zespołu rozpoznawczego.

– Nie ma szans, ten teren jest piekielnie trudny. Nie zdążycie przejść całej trasy podczas jednego cyklu ciemności.

Ponieważ to jego jednostka stacjonowała w dolinie, nie mieliśmy podstaw, żeby się z nim spierać. To było ich podwórko i to oni widzieli teren w świetle dnia.

– Byliście tam kiedykolwiek? – zapytał chief oddziału, wskazując na mapie obóz.

– Nie. Najdalej zabrnęliśmy tutaj. – Kapitan zaznaczył punkt, który nie znajdował się nawet w połowie drogi do celu. – Trwało to z sześć godzin. Weszliśmy w kontakt z wrogiem i wdaliśmy się w długą wymianę ognia. Musieliśmy wycofać się z doliny.

Spędziliśmy jeszcze kilka minut na analizowaniu planu.

W końcu chief spojrzał na mnie, na Steve’a i pozostałych dowódców zespołów.

– Co o tym myślicie, chłopaki?

Nie chcieliśmy odpuścić tak dobrego celu. Nawet bez trzech operatorów i psa bojowego mieliśmy wystarczająco liczny oddział, by wyczyścić obóz. Drony nie wykryły żadnych większych ruchów, więc element zaskoczenia wciąż był po naszej stronie. W końcu postanowiliśmy zrezygnować z koziego szlaku. Ustaliliśmy, że wszyscy, jako pojedynczy patrol, wkroczymy w dolinę główną drogą, a następnie rozdzielimy się, obejdziemy obóz, by dostać się wyżej, i uderzymy na cel z góry.

– Zróbmy to – rzuciłem, gdy chief spojrzał na mnie pytająco. Steve przytaknął.

– Czyli jednak idziecie? – zapytał kapitan.

– Tak – rzucił w końcu chief.

– Dzisiejszy atak na bazę może stanowić niezłą przykrywkę dla waszej akcji – zauważył kapitan. – Może wyślemy patrol, który się pod was podłączy?

Chciał zebrać około dwudziestu żołnierzy i wysłać ich do pobliskiej wioski, leżącej na południu doliny. Mieliśmy podążać za patrolem, by w pewnym momencie odłączyć się i zakraść do celu. Liczyliśmy, że ewentualni zwiadowcy – a nie wykluczaliśmy, że ktoś będzie nas obserwować – połkną haczyk i ruszą za trzonem patrolu.

– Nie będziecie mieć nic przeciwko, jeśli pożyczymy trochę amunicji? – zapytał chief oddziału.

– Jasne, zaraz to załatwię.

Kapitan zaczął organizować pieszy patrol, podczas gdy my udaliśmy się na siłownię. Na jej wyposażenie składało się kilka hantli, dwie ławy treningowe i niski stojak wciśnięty w kąt pomieszczenia nie większego od domowego biura. Podobnie jak w centrum operacyjnym worki z piaskiem chroniły żołnierzy przed moździerzami.

Uzupełniwszy naboje, które wystrzeliłem podczas zasadzki, sprawdziłem, czy mój zespół jest gotowy. Walt i Charlie ładowali broń. Walt szedł w zespole Steve'a – odkąd pojawił się w Green Teamie, bliżej zaprzyjaźnił się ze mną i ze Steve'em.

Pierwszy raz usłyszałem o nim, kiedy był jeszcze w Green Teamie. Wydawało się, że znają go wszyscy SEALsi ze Wschodniego Wybrzeża i bardzo uważnie śledzą jego postępy w jednostce, kiedy próbował dostać się na drugi pokład.

Walt sięgał mi do pachy, miał zmierzwioną czuprynę i gęstą, brązową brodę. To mało istotne, że był niskim facetem, braki we wzroście nadrabiał zadziornym charakterem. Cierpiał na dość łagodny przypadek syndromu kurdupla i ciężki nadmiaru owłosienia. Wydawało się, że potrafi wyhodować brodę w ciągu kilku dni.

Chciał dostać się do Green Teamu rok wcześniej, ale wpadł w jakieś tarapaty i musiał odłożyć swoje plany na następny rok.

Niemal od razu zaczęliśmy się świetnie dogadywać. Lubił strzelać i kochał broń miłością równie żarliwą co ja. Któregoś razu, ćwicząc na strzelnicy, zaprosiłem go na targi SHOT Show[22] w Las Vegas. Jeśli tylko pozwalał nam harmonogram, jeździliśmy tam co roku, żeby spotykać się z wystawcami i oglądać najnowszy sprzęt dostępny na rynku.

Pierwszego dnia wyjazdu przedstawiłem go wszystkim; drugiego to oni pytali mnie, gdzie jest Walt. Wieczorem trzeciego, już po zakończeniu targów, znalazłem go w barze – brylował w towarzystwie dyrektorów

z National Rifle Association. Z cygarem w gębie, poklepywał się z nimi po plecach i ściskał dłonie, jakby prowadził jakieś biuro. Wszyscy się w nim zakochali.

Walt był małym gościem z wielką osobowością.

Zorganizowaliśmy krótką naradę, na której wyjaśniłem chłopakom, że musimy porzucić plan z kozim szlakiem. Szliśmy wszyscy razem jako jeden oddział.

– Idziemy główną drogą, a w pobliżu celu przegrupowujemy się zgodnie z wymaganiami sytuacji. Jakieś pytania?

Chłopaki pokręcili głowami.

– Nie – powiedział Charlie. – Wszystko jasne.

Przypominało to trochę grę w podwórkowego kosza. Wiedzieliśmy, co robić, i wystarczył nam ogólny schemat działania. Jeśli człowiek potrafił „strzelać, poruszać się i komunikować”, to zwykle cała reszta wyjaśniała się sama. Zbyt skomplikowane pomysły spowalniały operację, a każdy z gości, którzy byli ze mną w siłowni, miał lata doświadczenia. Zresztą prędzej czy później zawsze pojawiała się konieczność zmiany planu, więc najlepsze rezultaty przynosiła prostota. Przeprowadzaliśmy wiele takich akcji i ufaliśmy zespołowi.

Patrol wyszedł za bramę i ruszył w kierunku wioski całkiem niezłą brukowaną drogą – prawdopodobnie wybudowaną za pieniądze amerykańskich podatników. Niecały kilometr od bazy zwolniliśmy, pozwalając trzonowi patrolu odłączyć się, po czym skręciliśmy w prawo, w głąb doliny na zachodzie.

Kontynuowaliśmy marsz przez około dwie godziny. Droga wiła się to w jedną, to w drugą stronę, a każda serpentyna była coraz bardziej stroma. Wkrótce dotarliśmy do skupiska samochodów. Widziałem toyotę hilux

zaparkowaną na poboczu i dwa kombiaki z relingami na dachach. Przechodząc obok, zaglądałem za szyby. Pusto.

Dalej nie mogły pojechać, bo droga w pewnym momencie po prostu się urwała. Szlak był coraz węższy i ciągnął się coraz bardziej pod górę. Zaczynałem czuć wpływ wysokości i sprzętu na moje ciało. Męczyłem się, a byliśmy dopiero w połowie drogi. Miałem nadzieję, że akcja wynagrodzi nam te wysiłki.

Po kolejnej godzinie dostrzegliśmy obóz, który stanowił nasz cel, a także dwa światła palące się obok jednego z budynków. Większą część widoku zasłaniały mi jednak gęste skupiska drzew. Budynki były zrobione z kamienia i błota i zdawały się wyrastać ze ścian doliny.

Kontynuowanie podejścia głównym szlakiem z pewnością przysporzyłoby nam mniej problemów, ale wiedzieliśmy, że drogę obserwują wartownicy. Nie mogliśmy ryzykować, że zostaniemy wykryci. Drony wciąż widziały w okolicy patrole, które krążyły między drzewami wokół głównego szlaku i obozu.

Zaskoczenie jak zwykle stanowiło klucz do sukcesu. W wielu przypadkach najkrótszą drogę między dwoma dowolnymi punktami w regionie Kunaru wyznaczały kozie szlaki. Słyszałem podobne hasło, gdy dorastałem na Alasce. Nie mieliśmy wyboru – musieliśmy znaleźć inną drogę, a żaden z nas nie chciał po wschodzie słońca wciąż być w dolinie.

– Wejdziemy bezpośrednio na szczyt i przespacerujemy się dookoła – powiedział dowódca zwiadowców przez radio.

Niemal słyszałem, jak moje nogi błagają o litość, ale wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że to właściwa decyzja. Chłopcy z RECCE byli pewni, że jeśli wejdziemy wyżej, trafimy na kozi szlak, którym chcieliśmy podejść do obozu.

Wspinaliśmy się z drogi na górską grań. Kilka razy musiałem skrócić pas nośny karabinu, żeby złapać się kamienia. Kiedy się nie podciągałem, szukałem krętych ścieżek prowadzących na szczyt. Nikt nic nie mówił, ale moi koledzy z zespołu stękali z wysiłku.

Wszyscy uważaliśmy, że mamy szansę ustrzelić wartościowy cel. Byliśmy gotowi na poświęcenie, byle tylko dostać tę jedną jedyną szansę. Mimo to przy każdym kroku w mojej głowie odzywała się w kółko ta sama myśl: Oby było warto.

Po paru godzinach wspinaczki trafiliśmy na kozi szlak. Prawie nie czułem nóg i z trudem łapałem oddech, ale widok ścieżki tchnął w nas nowe życie. Chłopcy z rozpoznania byli najlepsi w branży i gdyby nie ich skrupulatne planowanie, nie przeprowadzilibyśmy tej misji.

Kozia ścieżka miała szerokość około pół metra i ciągnęła się wzdłuż zbocza. Z jednej strony górowała nad nami skalna ściana, z drugiej w dolinę opadała niemal pionowa przepaść. Nie mieliśmy czasu myśleć, co będzie, jeśli któryś z nas się potknie. Zbyt długo szukaliśmy szlaku i zbliżał się świt, więc pośpiech był nieodzowny.

Nie mieliśmy czasu do stracenia – nawet tyle, by złapać drugi oddech.

Zaczerpnęliśmy tchu dopiero w chwili, gdy ścieżka wyprowadziła nas na idealną pozycję nieco nad obozem. Składał się on z trzech centralnych budynków z podwórzem pośrodku i kilku mniejszych, rozrzuconych dookoła.

U stóp ścieżki dostrzegliśmy serię pól, które wcinały się w skałę niczym schody. O tej porze roku ziemia była sucha, ale czasem deszcz zamieniał ją w grząskie błoto.

Mój zespół zasadził się na polu, które znajdowało się na równi z główną częścią obozu.

– Alpha gotów – zakomunikowałem przez radio.

Zespół Steve’a wspiął się poziom wyżej i przesunął na naszą prawą flankę.

– Charlie gotów.

Zespół Bravo zszedł niżej, żeby skupić się na południowej części obozu, leżącej nieco dalej w dół zbocza.

– Bravo gotów.

Dzięki zastrzykowi adrenaliny nie czułem się zmęczony ani obolały. Każdy mój zmysł pracował na podwyższonych obrotach, wszyscy byliśmy maksymalnie skupieni. Powtarzaliśmy sobie, że jeśli plan wypali, zaskoczymy nieprzyjaciela. Gdyby jednak sytuacja wymknęła się spod kontroli, czekała nas strzelanina na krótkim dystansie.

– Wchodzimy – usłyszałem w radiu chiefa oddziału. – Grzecznie i powoli.

Zaczęliśmy przesuwać się naprzód. Nikt się nie odzywał, każdy krok był wymierzony. Nic tak nie podnosiło nam ciśnienia jak podkradanie się do obozu wroga, czasem nawet do pomieszczeń, w których spali rebelianci. Nie działaliśmy tak jak inne jednostki, które musiały reagować na przydrożną bombę czy zasadzkę. Każdy nasz ruch był zaplanowany i skalkulowany. To jednak nie taktyka nas wyróżniała, a poziom doświadczenia i świadomość, kiedy przeprowadzić zdecydowaną, brutalną akcję, a kiedy postawić na cierpliwość i ciszę.

Czułem, jak serce wali mi w piersi, a każdy dźwięk wydawał się huczeć w uszach. Cztery, pięć kroków, przerwa. Z karabinem przyciśniętym do ramienia skupiałem się na plamce lasera, która przeczesywała okna, drzwi i przejście między budynkami. Moi koledzy z zespołu robili dokładnie to samo.

Powoli, napominałem siebie. Powoli znaczy cicho.

Dotarłszy do pierwszego budynku, nacisnąłem zardzewiałą klamkę cienkich drzwi.

Zamknięte.

Charlie sprawdził drzwi budynku po mojej prawej. Też zamknięte.

Nikt nic nie gadał. Nie stosowaliśmy żadnych wymyślnych gestów – wystarczyło, że kiwnąłem do Charliego głową i już okrążaliśmy budynki, by sprawdzić wejścia od podwórza.

Na podwórze prowadziła mała furtka. Walt przeciął sznurek, na którym wisiało prześcieradło blokujące drogę.

Steve, Walt i pozostali goście z zespołów ustawili się przy poszczególnych drzwiach. Zobaczyłem na dachu snajpera z RECCE – wyposażony w karabin z celownikiem termowizyjnym, szukał wartowników w wyschniętym korycie rzeki, które biegło z północy na południe wzdłuż granicy obozu.

Zwiadowca mojego zespołu przeprowadził nas przez tę samą furtkę. Podeszliśmy do drzwi budynku, który mieliśmy zabezpieczyć.

Walt nacisnął klamkę swoich drzwi. Tym razem otwarte. Pchnął je lekko i zobaczył faceta gmerającego przy latarce. Kiedy wchodził do pomieszczenia, żeby go zneutralizować, inny mężczyzna podniósł się spod koców. Miał na sobie kamizelkę, a obok AK. Walt i inny SEALs, który wszedł razem z nim do środka, natychmiast strzelili, zabijając obu mężczyzn. Po drugiej stronie pokoju Steve otworzył drzwi do kolejnego pomieszczenia, znalazł tam jednak wyłącznie kobiety i dzieci. Zostawiwszy na straży jednego członka zespołu, poprowadził resztę chłopaków do drzwi nieco dalej na tej samej ścianie.

Tymczasem snajper z RECCE, który zaczaił się na dachu tylnej strony domu czyszczonego przez Steve’a, szukał patrolujących wartowników. Gdy przyglądał się drodze przecinającej dolinę, dostrzegł w oknie budynku pół tuzina talibańskich bojowników chwytających za broń. Natychmiast zaczął strzelać – w tej samej chwili, w której Steve dotarł do drzwi.

Uchyliwszy je, Steve zobaczył rebeliantów szukających schronienia.

– Granat! – krzyknąłem.

Jeden z gości z zespołu otworzył drzwi szerzej, by rzucić granat między oszołomionych bojowników. W chwili gdy usłyszałem eksplozję, zabił ich deszcz odłamków.

Gdy dotarliśmy do drzwi naszego budynku, doleciał do mnie cichy dźwięk wytłumionego karabinu snajpera. Na kamieniu nad główną drogą siedział wartownik z kałasznikowem przewieszonym przez ramię i granatnikiem przeciwpancernym spoczywającym obok.

Mój zwiadowca pchnął drzwi i wszedł do pomieszczenia. Zamiast podłogi w budynku było zwykłe klepisko, na którym leżały worki z prowiantem, ubrania i puszki oleju. Kątem oka zobaczyłem, jak zwiadowca pociąga za spust. Uzbrojony bojownik próbował uciec przez okno. Kule podziurawiły mu plecy i tyłek, gdy wypadał na zewnątrz.

Usłyszeliśmy, jak gdzieś za domem rozgrzewał się do czerwoności karabin maszynowy któregoś gościa z zespołu Bravo.

Tratatata!

Huk niósł się echem przez dolinę. Zaskoczył mnie, bo większość z nas zakładała tłumiki.

– Ruchome cele zbliżają się od północy – usłyszałem przez sieć dowodzenia w radiu. Zaczynaliśmy dostawać raporty, że bojownicy zmierzają na naszą pozycję z głębiej położonej części doliny. Operacja

szybko przemieniła się w trzy osobne strzelaniny, a teraz na dodatek groziło nam niebezpieczeństwo ze strony kolejnych rebeliantów.

Strzelec rkm i ludzie z zespołu Bravo manewrowali niżej na wzgórzu. Zdjęli jednego po drugim co najmniej pięciu bojowników, którzy próbowali przebić się na pozycję z karabinami i granatnikami. Karabin maszynowy wypluł kolejną serię, zasypując pociskami ostatniego wartownika skrytego między głazami w wyschniętym korycie.

Po kilku minutach w powietrzu rozbrzmiał warkot AC-130. Przez radio dowódca oddziału przekazywał, że samolot grzeje w grupę rebeliantów na północy.

– Dokończ tu – rzuciłem do kolegi z zespołu.

Zostawiłem go razem z innym SEALsem w pokoju, po czym ruszyłem na zewnątrz z Charliem, żeby wyczyścić alejkę biegnącą między dwoma budynkami. Oba znajdowały się na tej samej wysokości co pole, z którego tu przyszliśmy.

Alejka była wąska, a z powodu stert śmieci nie widzieliśmy jej drugiego końca. Jakby tego było mało, co rusz zaplątywałem się w sznury na pranie.

W tak ciasnym przejściu musieliśmy się poruszać po przeciwnych stronach – ja kryłem ścianę Charliego, a jednocześnie widziałem, jak laser jego karabinu przecina alejkę i zatrzymuje się na ścianie przede mną. Cały numer polegał na odpowiednim ustawieniu kątów.

Przesuwaliśmy się powolutku naprzód, najciszej jak potrafiliśmy. Najważniejsza była kontrola tempa. Jeżeli wymagała tego sytuacja, przyśpieszaliśmy, by zaraz potem znów skradać się ostrożnie i dyskretnie. Mniej więcej w połowie alejki Charlie otworzył ogień.

Pach, pach, pach.

Zamarłem, bo nic przed sobą nie widziałem. Wystrzeliwszy krótką serię, Charlie zrobił kolejny krok. Wyjrzałem naprzód i w ostatniej chwili zobaczyłem bojownika, który osunął się po ścianie trzy kroki przede mną. Upadając, upuścił na ziemię śrutówkę.

Zazwyczaj nosiliśmy na sobie prawie trzydzieści kilogramów sprzętu, wliczając w to płyty balistyczne chroniące przed postrzałem. Charlie dziś ich nie założył. Ja też nie.

Kiedy dotarliśmy do końca alejki, zatrzymaliśmy się, by ustalić swoje położenie.

– Jeśli mnie zastrzelą, nie mówcie mojej matce, że nie założyłem płyt – szepnąłem do Charliego.

– Umowa stoi – odparł Charlie – ale mojej też ani mru mru.

Niedługo później usłyszeliśmy w radiu sygnał „wszędzie czysto”. Cel został zabezpieczony, ale wciąż musieliśmy przeprowadzić działania SSE[23]. Chodziło o to, by zrobić zdjęcia martwym rebeliantom i ściągnąć im odciski palców, a także zebrać broń, ładunki wybuchowe, komputery oraz wszelkie dokumenty.

Przez lata procedury SSE bardzo się rozwinęły. Między innymi pozwalały nam odpierać fałszywe zarzuty, że zamiast rebeliantów zabijamy Bogu ducha winnych farmerów. Wiedzieliśmy, że parę dni po ataku do najbliższej placówki NATO zgłoszą się starsi z miejscowej wioski, żeby oskarżyć nas o strzelanie do cywilów. Ci niewinni cywile, o których im chodziło, nosili przy sobie karabinki AK i granatniki przeciwpancerne. Im więcej danych z SSE udało się nam dostarczyć, tym łatwiej było nam udowodnić, że nie zabiliśmy żadnej niewinnej osoby.

– Chłopaki, mamy mało czasu, więc lepiej się pośpieszcie – poinformował nas chief. – Na północ stąd wciąż jest ruch.

Zagłuszył go grzmot studwudziestomilimetrowego moździerza. Kilkaset metrów dalej AC-130 znów otworzył ogień. Spojrzałem na zegarek – grubo po czwartej nad ranem. Wkrótce miało świtać, a od chwili, kiedy padły pierwsze strzały, nieustannie dostawaliśmy raporty z dronów, że w naszą stronę zmierzają kolejni rebelianci.

Po zrobieniu zdjęć zebraliśmy broń i amunicję w stertę na środku podwórza, po czym założyliśmy ładunek wybuchowy z pięciominutowym opóźnieniem.

Pozwalając, by prowadzili nas goście z RECCE, szybko i bezszelestnie wycofaliśmy się z obozu tą samą drogą, którą przyszliśmy. Gdy uciekaliśmy, usłyszałem eksplozję i zobaczyłem niewielką kulę ognia nad podwórzem, gdzie zgromadziliśmy broń.

Marsz powrotny był dużo łatwiejszy od podejścia. Podekscytowani naszym wyczynem, wciąż jechaliśmy na zapasach adrenaliny. Kilka razy musieliśmy jednak przystawać i kierować dodatkowe wsparcie lotnicze w stronę licznych grup bojowników, którzy nas szukali. Nie chcieliśmy zostawać w dolinie dłużej niż to konieczne, a z pewnością nie do świtu.

Trzy godziny po wyczyszczeniu obozu dotarliśmy do bazy. Chłopaki z oddziału osuwali się ze zmęczenia po ścianach. Piliśmy zachłannie wodę i napoje energetyczne – wszystko, co wpadło nam w ręce.

W centrum operacyjnym przekazaliśmy kapitanowi dowody z SSE, żeby mógł pokazać je starszym z pobliskiej wioski, jeśli przyjdą się skarżyć.

– Siedemnastu zabitych – rzucił chief do kapitana. – Podejrzewamy, że kolejnych siedmiu lub ośmiu zginęło od ostrzału z AC-130.

Kapitan wyglądał na zdumionego, kiedy wpatrywał się w zdjęcia na ekranie komputera. On i jego ludzie rzadko dostawali szansę, by zaangażować się w działania zaczepne; mieli związane ręce, skupieni

głównie na ochronie wiosek i dróg prowadzących w dolinę. Czuliśmy się dumni, że wyeliminowaliśmy część talibańskich sił nękających posterunek.

Dopiero w śmigłowcu do Dżalalabadu wreszcie miałem chwilę, żeby przeanalizować naszą akcję. Siedząc w ciemnościach blisko rampy, nie mogłem wprost uwierzyć, że zdołaliśmy przeprowadzić tak dynamiczną operację, nie ponosząc poważnych strat.

Od momentu gdy wyruszyliśmy z bazy w góry, aż do zakończenia szturmu cała akcja przebiegała podręcznikowo. Wykorzystaliśmy doświadczenie z wszystkich poprzednich misji.

Zamiast podlatywać śmigłowcem i zjeżdżać na linie, zakradliśmy się niepostrzeżenie.

Zamiast wysadzać zamki w drzwiach, zaskoczyliśmy zdezorientowanych rebeliantów.

Zamiast krzyczeć i rozbijać się po budynku, użyliśmy tłumików.

Podróżowaliśmy z małym obciążeniem szlakiem wroga, pokonując go w jego własnej grze. Koniec końców bez strat własnych wyczyściliśmy bazę i wyeliminowaliśmy ponad tuzin dobrze uzbrojonych bojowników. Nasz szturm stanowił dowód, że solidne planowanie i odpowiednie wykorzystanie zaskoczenia stanowią zabójczą kombinację.

ROZDZIAŁ 9

Zamieszanie w stolicy

Stałem w ogródku, gmerając palcami w trawie i wpatrując się w błękitne niebo.

Był początek wiosny 2011 roku. Jeszcze trzy tygodnie temu potykałem się na grubym żwirze wysuniętej bazy operacyjnej sił amerykańskich w Afganistanie, rozgrzewając zziębnięte ciało. Przez parę miesięcy mroźnej zimy byliśmy skazani na lód, śnieg i błoto. Od września 2001 roku zmiana po zmianie błąkałem się po którymś z pustynnych krajów, dzięki czemu nauczyłem się doceniać takie rzeczy jak ładny zielony trawnik.

Dobrze było czasem wrócić do domu.

Poprzednia zmiana upływała mi głównie pod znakiem nudy. Służba w zimie często tak wyglądała, bo większość rebeliantów wycofywała się do Pakistanu, żeby czekać na lepszą pogodę. Właśnie kończyła się moja trzytygodniowa przepustka, po której wyruszaliśmy z chłopakami do Missisipi na kolejne szkolenie. Nie mogłem się doczekać, kiedy znów chwycę w ręce broń. To był jeden z tych wyjazdów, na których mogliśmy się odprężyć.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie jechałem jednak ze Steve’em. Jego czas w roli dowódcy zespołu dobiegł końca. Po zakończeniu poprzedniej zmiany przeszedł do Green Teamu jako instruktor. Nie zafundował nam żadnej pożegnalnej gadki. Wróciliśmy, rozpakowaliśmy sprzęt, a gdy Steve’owi skończyła się przepustka, zaczął szkolić nowych gości.

Tamtego dnia przyszedłem do pracy z samego rana, żeby poćwiczyć i przed wyjazdem zorganizować sprzęt, kiedy wpadłem właśnie na Steve’a.

– Potrzebuję przerwy – oznajmił niespodziewanie. – Mieliśmy całkiem niezłą passę od Green Teamu, ale przez te nowe zasady nasza robota straciła cały urok.

– Nic mi nie mów – odparłem. – Pojadę na jeszcze jedną zmianę, a później zobaczymy.

Wszyscy operatorzy z naszego zespołu byli weteranami bojowymi – przeciętny gość miał na koncie dwanaście zmian. Nawet tempo kolejnych operacji i rozdzielenie z rodziną nie zniechęcały nas do wyjazdów.

– Coś czuję, że to będzie krótka przerwa – powiedziałem Steve’owi. – Zakład, że za chwilę wrócisz do nas jako chief oddziału?

– Ta, żebyśmy mogli wspólnie szkolić się w PowerPoincie.

Prowadzenie działań w Afganistanie stawało się coraz trudniejsze. Mieliśmy wrażenie, że z każdą kolejną zmianą dowództwo dowala nam nowe wymagania i restrykcje. Trzeba było przygotowywać dziesiątki stron prezentacji w PowerPoincie, żeby misja w ogóle spotkała się z przychylnym przyjęciem. Prawnicy i oficerowie sztabowi zapełniali je informacjami, licząc, że afgański rząd zaakceptuje plan.

Zauważyliśmy też, że w operacjach brało udział coraz mniej operatorów, a coraz więcej gości „na doczepkę”, którzy pełnili ograniczone funkcje.

Zabieraliśmy na misje żołnierzy z armii, żeby pełnili rolę obserwatorów i zbijali pojawiające się fałszywe oskarżenia.

Politycy wymagali, żebyśmy zapomnieli o wszystkich bolesnych lekcjach, szczególnie tych, podczas których przelewaliśmy krew, i bezkrytycznie akceptowali ich rozwiązania.

Przez lata zakradaliśmy się do obozów i atakowaliśmy z zaskoczenia. Do czasu.

Na poprzedniej zmianie upokorzono nas nowym wymaganiem, by przed oddaniem strzału wywoływać wroga. Po otoczeniu budynku tłumacz chwytał za megafon i prosił rebeliantów, by wyszli z uniesionymi rękami. Działaliśmy na podobnych zasadach co policja w Stanach. Następnie czyściliśmy budynek i jeśli udało nam się znaleźć broń, skuwaliśmy podejrzanych, choć tylko po to, by kilka tygodni później znów zobaczyć ich na ulicach. Często zdarzało się, że podczas jednej zmiany zatrzymywaliśmy tego samego człowieka kilka razy.

Mieliśmy wrażenie, że prowadzimy wojnę jedną ręką, podczas gdy drugą wypełniamy stosy dokumentów. Przyprowadzając do aresztu więźniów, spędzaliśmy dwie, trzy godziny na gryzmoleniu po papierze. Pierwsze pytanie, jakie zadawano podejrzanemu w bazie, brzmiało: „Czy byłeś źle traktowany?”. Odpowiedź twierdząca oznaczała dochodzenie i więcej papierków.

Wróg natychmiast poznał się na naszych regułach, a jego taktyka ewoluowała równie szybko co nasza. Podczas wcześniejszych zmian rebelianci stawiali opór; teraz woleli ukrywać broń, bo mieli świadomość, że nie wolno nam strzelać do nieuzbrojonych ludzi. Wykorzystywali system, by za kilka dni trafić z powrotem do wioski.

Czuliśmy się sfrustrowani. Dotychczas godziliśmy się na wiele wyrzeczeń, byle tylko móc działać na własnych zasadach. Sęk w tym, że

z każdym nowym paragrafem coraz trudniej było nam usprawiedliwić ryzyko. Nagle nasza praca miała więcej wspólnego ze strategią wyjścia niż z podejmowaniem taktycznie uzasadnionych decyzji.

– Powodzenia – powiedział Steve. – Kto wie, co nas czeka w przyszłym roku?

Zaśmiałem się.

– Wiatrówki zamiast karabinów. Paralizatory i gumowe kule.

Nasza jednostka była na tyle mała, że wciąż mogliśmy widywać się regularnie, nawet jeśli miało go zabraknąć na kolejnej zmianie w Afganistanie.

Szybko dokończyłem pakowanie sprzętu i wróciłem do domu. W Virginia Beach robiło się coraz cieplej; może nie tak ciepło, żeby pływać w oceanie, ale w sam raz na krótki rękaw. Śpieszyłem się, bo przed wyjazdem chciałem załatwić parę spraw w domu.

Pierwszą była nowa ściółka do ogrodu.

Gdy dotarłem do domu, na podjeździe stał poobijany ford F-150, a na ziemi, na płachcie brezentu, leżał kopiec ściółki. Ogrodnik ładował ją widłami na taczkę, rozsypywał na jednym z klombów i wracał po kolejną porcję. Właściwie była to operacja jednoosobowa.

Podszedłem do faceta, żeby zagadać. Widziałem go pierwszy raz w życiu, ale jeden z kumpli z oddziału polecił mi jego usługi. Równie dobrze mógłbym rozsypać tę ściółkę sam – niestety przy tak niewielkiej ilości wolnego czasu łatwiej było po prostu zapłacić.

– Jesteś z teamu, co nie? – rzucił do mnie między zamachami.

– Tak – odparłem.

Z wyglądu sam mógłby być SEALsem, nie pasowały tylko długie włosy surfera. Wysoki i żylasty, na obu rękach miał tatuaże. Był ubrany w wytarty

T-shirt i spodnie z Carhartta.

– Tak mi się wydawało, pasujesz do tych gości – stwierdził i na chwilę odstawił taczkę. – Właśnie wracam od Jaya, kojarzysz go?

– Jay to mój szef. Tak się składa, że w przyszłym tygodniu jedziemy trochę postrzelać.

Jay był obecnym dowódcą zespołu. Nie znałem go zbyt dobrze. Przejął DEVGRU tuż przed poprzednią zmianą i nie jeździł z nami na misje, więc tak naprawdę nigdy razem nie pracowaliśmy. Ze względu na swoje stanowisko skupiał się raczej na kierowaniu działaniami JOC-u[24], pomagając nam pokonywać przeszkody podczas starań o zaakceptowanie misji.

Czasami nazywaliśmy swoich oficerów „tymczasowymi", bo pojawiali się w jednostce tylko na parę lat, po czym przeskakiwali na kolejny szczebel kariery. Tułając się od stanowiska do stanowiska, nigdzie nie zapuszczali korzeni w taki sam sposób co my, podoficerowie. My mieliśmy tendencję do służenia w jednym zespole nieco dłużej. Dość powiedzieć, że Jay był czwartym dowódcą DEVGRU za mojej kadencji.

– Domyślam się, że Jay musi być ostatnio cholernie zajęty – ciągnął facet od ściółki.

Zaskoczył mnie tym stwierdzeniem, bo od trzech tygodni mieliśmy wolne. Po zakończeniu zmiany większość chłopaków chciała się po prostu gdzieś zaszyć. Oczywiście, biorąc pod uwagę stanowisko Jaya, wydawało się normalne, że wciąż musiał wykonywać pracę związaną z koordynacją działań i planowaniem, ale zdziwiło mnie, że ma aż tyle roboty.

– O czym ty gadasz? – zapytałem zdezorientowany.

– Ostatnio pracowałem nad jego ogrodem. Siedzi w Waszyngtonie, bo ponoć kroi się jakaś grubsza sprawa.

– Co? Przecież za dwa dni mamy jechać do Missisipi.

W tamtym okresie arabska wiosna ludów zbierała swoje żniwo. Przez Bliski Wschód przetaczała się fala protestów. Egipt miał już nowy rząd, Libię opanowała wojna domowa, a rebelianci zwrócili się nawet o pomoc do NATO. Punkty zapalne pojawiały się w Syrii, nie mówiąc o Półwyspie Somalijskim, więc trudno było przewidzieć, o co może chodzić.

Każdego tygodnia wprowadzano nas w zagadnienia trwających i przewidywanych zagrożeń na całym świecie. Nasz dział wywiadu omawiał po kolei każdy region świata, kładąc szczególny nacisk na sytuacje wyjątkowe, takie jak walki w Libii. Odprawa zwykle kończyła się najświeższymi informacjami i sprawozdaniem z misji w Afganistanie i Iraku. Im więcej wiedzieliśmy, tym lepiej potrafiliśmy się przygotować.

Bywało, że nakręcaliśmy się na jakąś misję i przeprowadzaliśmy próby tylko po to, by w nieskończoność czekać na werdykt decydentów w Waszyngtonie. Czasami, jak w przypadku misji oswobodzenia kapitana Phillipsa, lecieliśmy, ale bywało, że akcję odwoływano. Przez lata nauczyliśmy się, by nie wychylać głów i skupiać się na bieżącym zadaniu, zostawiając spekulacje innym. Przynajmniej nie trwoniliśmy bezsensownie energii.

Zlekceważyłem gadaninę faceta od ściółki, ciesząc się, że jestem zwykłym dowódcą zespołu, a nie oficerem. Oficerowie przez takie zamieszanie tracili dużo więcej czasu. W każdym razie byłem gotowy, by pojechać do Missisipi i miło spędzić szkolenie.

Tym razem mój wyjazd do Missisipi miał niewiele wspólnego z czasem, który spędziłem tam w Green Teamie. Nie musiałem się martwić o typowanie piątki najgorszych ani o przedwczesny powrót do domu z powodu błędów na ćwiczeniach CQB. Pół dnia spędzaliśmy na strzelnicy,

a przez drugie pół biegaliśmy po killing housie, doskonaląc umiejętności i zgranie. Mieliśmy w oddziale kilku nowych i chcieliśmy się upewnić, że za nami nadążają.

Nikt nawet nie zauważył, że nie ma z nami Jaya ani Mike'a, master chiefa zespołu bojowego, ale słowa ogrodnika utkwiły mi w głowie. Nie dawało mi spokoju pytanie, cóż takiego wyjątkowego dzieje się teraz w Waszyngtonie.

W czwartek rozjeżdżaliśmy się do domów. W drodze na lotnisko dostałem wiadomość:

„Spotkanie o 8".

Mike, tak jak Charlie, był potężnym gościem – miał dobrze zbudowane ramiona i szeroką klatkę piersiową. Służył w DEVGRU tyle co ja w marynarce i podobnie jak Jay rzadko brał udział w działaniach bojowych.

W drodze powrotnej dowiedziałem się, że wielu chłopaków z zespołu dostało podobne SMS-y. Charlie zadzwonił wieczorem, gdy byłem już w domu.

– Dostałeś wiadomość? – zapytał.

– Tak – odparłem. – Masz jakiś cynk?

– Nic, ale ponoć Walta też ściągają. Zdaje się, że mają dłuższą listę. – Charlie wymienił kilka nazwisk – nie był to cały zespół, ale sami weterani.

– Ciekawe, o co chodzi – mruknąłem. – Brzmi podejrzanie.

Dotarłem do jednostki z samego rana. Przebrawszy się szybko w mundur „roboczy" – Crye Precision z jasnobrązowym wzorem pustynnym i półbuty Salomon do biegania – wrzuciłem komórkę do swojej klatki, po czym ruszyłem na spotkanie.

Zorganizowano je w bezpiecznej sali konferencyjnej, co oznaczało, że nie wolno nam wnosić telefonów. Sala znajdowała się na piętrze

zaprojektowanym w całości jako tak zwany skiff[25] – obszar do przetwarzania poufnych i ściśle tajnych informacji. Dostaliśmy specjalne odznaki, które pozwalały nam przejść przez zabezpieczone drzwi, a ściany wyłożone ołowiem chroniły przed podsłuchem urządzeniami elektronicznymi.

W środku wisiały cztery telewizory, wszystkie były jednak wyłączone. Nie widzieliśmy też żadnych map ani zdjęć i nikt nie miał bladego pojęcia, czego się spodziewać. Zająłem miejsce na krześle przy okrągłym stole pośrodku sali. Dostrzegłem Walta, Charliego i Toma, instruktora z Green Teamu. Kiwnął głową na mój widok.

Tom był dawnym szefem Steve'a, którego tego dnia zabrakło. Nawet jeśli chodziło o jakąś głupią pogoń za cieniami, czułem się nieswojo ze świadomością, że będziemy rozpoczynać operację bez udziału Steve'a. Naszło mnie dziwne przeczucie, że jeśli ta cała afera okaże się zwykłą stratą czasu, to właśnie on będzie śmiać się jako ostatni.

W sali czekało prawie trzydziestu chłopa: SEALsi, specjalista z EOD i dwóch gości z zaopatrzenia. Gdy wszyscy stłoczyliśmy się w środku, Mike usiadł przy stole, by rozpocząć odprawę. Jay, dowódca zespołu, jeszcze się nie pojawił i Mike był trochę spięty. Nie zdradził nam zbyt wielu szczegółów.

– Przeprowadzimy połączone ćwiczenia gotowości, a następnie wyruszymy do Karoliny Północnej na szkolenie – wytłumaczył, podając nam listę sprzętu do spakowania. – W tej chwili nie mam dla was zbyt wielu informacji. Po prostu zabierzcie standardowe wyposażenie szturmowe, a więcej dowiecie się w poniedziałek.

Przejrzałem listę. Broń, narzędzia, ładunki wybuchowe... Nic wyjątkowego ani szczególnego, co mogłoby zdradzić cel szkolenia.

– Jak długo nas nie będzie? – zapytał kumpel z zespołu.

– Nie wiadomo – odparł Mike. – Wyjeżdżamy w poniedziałek.

– Dostaniemy wyrka czy mamy brać namioty?

– Bez obaw, zapewnimy wam michę i dach nad głową.

Paru gości rzucało podobnymi pytaniami, ale Mike wszystkich ich zbywał. Zacząłem unosić rękę, bo mnie też dręczyły wątpliwości.

Byłem ciekaw, jak to wszystko zorganizujemy. Ktoś zgromadził w sali konferencyjnej sporo doświadczonych ludzi. Powybierali nas z różnych zespołów – w większości z nich zwykle to nowi taszczą drabinkę i młot do wyważania, a tymczasem wokół mnie siedzieli sami wyżsi rangą goście, jakby ktoś próbował stworzyć prawdziwy *dream team.*

Zanim jednak zdążyłem podnieść rękę, Tom rzucił mi pojedyncze spojrzenie i pokręcił głową. Odpuściłem. Tom należał do gości, którzy nigdy się nie nakręcali, a ja zwykle mówiłem, co leży mi na wątrobie. Głowa pękała mi od pytań, które domagały się odpowiedzi. Niepewność działała mi na nerwy – przede wszystkim z powodu przeczucia, że tracimy czas.

– Teraz martwcie się o sprzęt – powiedział Tom, gdy wychodziliśmy – a w poniedziałek dostaniecie dokładniejsze informacje.

Każdy z nas wiedział, co robić i jakie wyposażenie spakować. W klatkach wpadłem na jednego z moich kolegów.

– Cześć, brachu – przywitałem się. – Pożyczysz mi swój młotek?

Rzadko się zdarzało, by operatorzy wyżsi rangą zabierali takie rzeczy jak młot, co tylko wzbudziło kolejne podejrzenia wśród kumpli z zespołu.

– Jasne – odparł. – Na co ci on?

Nie miałem dla niego żadnej sensownej odpowiedzi.

– Jedziemy na jakieś ćwiczenia. Zwołali paru chłopaków na odprawę i powiedzieli, że wybieramy się do Karoliny Północnej. Nazywają to

połączonymi ćwiczeniami gotowości.

W moich ustach nie brzmiało to bardziej przekonująco niż w ustach Mike’a i kumpel z zespołu spojrzał na mnie z wyrazem twarzy pod tytułem: „co ty pierdolisz?”

Wróciliśmy do pomieszczeń magazynowych, żeby załadować sprzęt do dwóch pojemników ISU – niewielkich kontenerów przystosowanych do transportu lądowego i lotniczego. Trwało to prawie cały dzień, a gdy kończyliśmy, pękały w szwach od narzędzi, broni i ładunków wybuchowych.

Podczas pakowania kumple nie mogli się powstrzymać od spekulacji. Niektórzy doszli do wniosku, że za parę tygodni wyślą nas do Libii, inni stawiali na Syrię lub nawet Iran. Charlie, który wciąż rozmyślał nad wszystkimi pytaniami i osobliwym milczeniem dowództwa, w końcu wyszedł z najbardziej śmiałą sugestią:

– Jedziemy dopaść UBL-a.

Ponieważ nie istnieje żaden uniwersalny sposób tłumaczenia języka arabskiego na angielski, używaliśmy pisowni FBI i CIA: Usama bin Laden, w skrócie UBL.

– Skąd ten pomysł? – zapytałem.

– Gdy zapytaliśmy o szczegóły planu, powiedzieli nam, że lecimy do miejsca z rozbudowaną infrastrukturą – zaczął tłumaczyć Charlie. – Skoro nie potrzebujemy żadnych dodatkowych rzeczy, wracamy do Iraku albo Afganistanu. Gdzieś, gdzie mamy amerykańską bazę. Stawiam, że będziemy działać na terenie Pakistanu, bazując w Afganistanie.

– W życiu – parsknął Walt. – Ale jeśli masz rację... Byłem w Islamabadzie – to zabita dechami dziura.

Mówił to, bo my dwaj już kiedyś uganialiśmy się za długą białą szatą bin Ladena.

Działo się to w 2007 roku, podczas mojej szóstej zmiany. Tym razem pracowałem z CIA w wysuniętej bazie operacyjnej Chapman w prowincji Chost.

To właśnie w prowincji Chost – między innymi – szkolili się terroryści, którzy porwali samoloty i skierowali je na wieże WTC i Pentagon. Roiło się w niej od talibów i bojowników Al-Kaidy, z łatwością prześlizgujących się przez granicę sąsiedniego Pakistanu.

Mniej więcej w połowie zmiany cały zespół został zwołany do Dżalalabadu z baz rozrzuconych po kraju. Jedno z głównych źródeł informacji na temat Osamy bin Ladena utrzymywało, że przywódca Al-Kaidy pojawił się w pobliżu Tora Bora – tego samego miejsca, w którym kilka lat wcześniej, w 2001 roku, siły amerykańskie niemal go dopadły.

Bitwa o Tora Bora wybuchła 12 grudnia 2001 roku i trwała pięć dni. Wierzono, że bin Laden ukrywa się w kompleksie jaskiń w górach Safed Koh nieopodal Przełęczy Chajber. Ów kompleks stanowił historyczny azyl afgańskich bojowników, a CIA w latach osiemdziesiątych osobiście opłaciła wiele ulepszeń, by pomóc mudżahedinom bronić się przed radziecką inwazją na Afganistan.

Podczas bitwy amerykańskie i afgańskie siły najechały na pozycje talibów i bojowników Al-Kaidy, nie zdołały jednak pojmać ani zabić bin Ladena. Teraz CIA ponownie donosiła, że bin Laden pojawił się w Tora Bora.

– Zauważyli wysokiego mężczyznę w powłóczystych szatach – wytłumaczył nam dowódca. – Bin Laden wrócił i prawdopodobnie chce się przygotować do ostatecznej akcji.

Był rok 2007, sześć lat po atakach z 11 września. Aż do tej chwili nie dysponowaliśmy żadnymi wiarygodnymi informacjami na temat miejsca pobytu przywódcy Al-Kaidy. Wszyscy chcieliśmy wierzyć w doniesienia wywiadu, ale szczegóły jakoś się nie zgadzały.

Lecieliśmy do Tora Bora na granicy afgańsko-pakistańskiej pomiędzy Chostem i Dżalalabadem, by przeprowadzić szturm na podejrzaną lokację. W teorii wszystko brzmiało cudownie, ale cała misja opierała się na doniesieniach pojedynczego człowieka. Informacje jednoosobowego źródła rzadko trzymają się kupy. Nikt nie mógł potwierdzić raportu, mimo że nad Tora Bora w dzień i w nocy przelatywały dziesiątki dronów. Choć mieliśmy rozpocząć działania kilka dni po wylądowaniu, ostateczna data ciągle była przesuwana.

Każdego dnia ktoś wynajdywał nową wymówkę.

– Czekamy na bombowce B-1.

– Rangersi jeszcze nie dotarli.

– Zielone Berety zmierzają na miejsce z zaprzyjaźnionymi jednostkami sił afgańskich.

Mieliśmy wrażenie, że każdy generał przebywający na terenie Afganistanu koniecznie chciał odegrać swoją rolę w tej operacji. Zaangażowane były jednostki wszystkich służb. W nocy przed rozpoczęciem działań zawołali mnie i Walta do centrum operacyjnego.

– Wynikła pewna sytuacja i musicie współpracować z pakistańskim wojskiem – poinformował nas dowódca. – Jeśli rebelianci zaczną uciekać w kierunku granicy, razem z Pakistańczykami zorganizujecie pozycje blokujące.

– Zabieramy sprzęt? – zapytałem.

– Tak, spakujcie całe wyposażenie operacyjne.

Na miejscu dostałem cynk, że Walt został w Islamabadzie, bo Pakistańczycy pozwolili wyjechać tylko jednemu z nas, a ponieważ byłem starszy rangą, zadanie spadło na moje barki. Dołączyli do mnie oficer wywiadu i technik komunikacji.

Większą część tygodnia spędziłem w ciasnym betonowym centrum dowodzenia o kształcie litery U. Obserwowałem przekazy z dronów krążących nad Tora Bora i nasłuchiwałem radia.

Tej nocy, kiedy dotarłem do Pakistanu, siły powietrzne właśnie rozpoczynały bombardowanie, które poprzedzało szturm powietrzny zespołu. Moi koledzy wylądowali wysoko nad Tora Bora, by szukać bin Ladena i jego bojowników.

Często wołałem Pakistańczyków do centrum dowodzenia, by przyjrzeli się przekazom z bezzałogowców. Któregoś razu dostrzegłem obóz niedaleko granicy – na obrazie dało się zauważyć namioty i kilku uzbrojonych mężczyzn, patrolujących okolicę. Na moje oko nie mieli na sobie mundurów, ale pakistańscy oficerowie zapewnili mnie, że to tylko posterunek graniczny.

Powstała niezręczna sytuacja, bo nie wiedziałem, czy mogę im ufać. Każdy miał swoją wersję wydarzeń, a ja utknąłem pośrodku, starając się poskładać z tego sensowną całość. Oficer wywiadu nie rwał się do pomocy, a ja byłem jak polityk, który chce zadowolić zarówno swoich gospodarzy, jak i szefów po drugiej stronie granicy.

Po kilku dniach takiego balansowania poinformowano mnie, że Pakistańczycy odwołują moją część akcji, bo misja okazała się fiaskiem. Nie było żadnych uciekinierów i następnego dnia wyruszyliśmy z powrotem do bazy. W Islamabadzie spotkałem się z Waltem, który tylko czekał, aż wrócimy do Afganistanu.

Poświęciliśmy mnóstwo czasu i wysiłku, by zbombardować puste góry, a przy okazji moi kumple z zespołu polecieli na tygodniowe wywczasy pod gołym niebem. Nikt nie widział żadnego mężczyzny w długich białych szatach. Kiedy tydzień później wróciliśmy do Afganistanu, „długa biała szata” stała się dowcipnym określeniem na misję-niewypał.

Szkolenie w Karolinie Północnej zapowiadało się na kolejne fiasko.

Czy rzeczywiście nim będzie, miało się okazać w poniedziałek. Niestety musiałem zostać jeszcze dzień w Virginia Beach, co oznaczało, że zespół poleciał beze mnie. Liczyłem, że opóźnienie nie będzie mnie kosztować miejsca w zespole, jeśli mimo wszystko chodziło o coś poważnego. Jasno dałem Mike’owi do zrozumienia, że mogę odwołać plany.

– Nie ma pośpiechu – odparł Mike. – Po prostu przyjedź we wtorek rano.

W poniedziałek po południu zacząłem wysyłać wiadomości do Walta i Charliego, żeby wyciągnąć od nich jakieś szczegóły, ale obaj odpisali w podobnym tonie: „Po prostu przywieź tu swój tyłek”.

Zdradziliby, gdyby chodziło o pierdoły. Milczenie oznaczało, że sprawa jest poważna. W nocy z poniedziałku na wtorek nie mogłem zasnąć.

Wstałem z łóżka jeszcze przed świtem. Pędząc samochodem w deszczu, musiałem się pilnować, żeby nie wciskać za mocno gazu na wiejskich drogach. Wiedziałem już, że szykuje się coś większego, ale wolałem nie wjechać z tej okazji w drzewo.

Dwie godziny przejażdżki wydawały się trwać bez końca.

Gdy wreszcie dotarłem do bazy, powitał mnie strażnik. Z zewnątrz wszystko wyglądało niewinnie, jeśli nie liczyć osłon na ogrodzeniu, które miały zniechęcić gapiów.

Podałem nazwisko. Było na liście, więc strażnik wręczył mi zalaminowaną przepustkę i skierował do budynku, gdzie mieszkał nasz zespół. Po rozmowie nie zamykałem okna. Baza znajdowała się w lesie i po deszczu w powietrzu unosił się przyjemny zapach sosen.

Przyjechałem o trzy godziny za wcześnie, ale miałem to gdzieś – czekało mnie nadrabianie zaległości z pierwszego dnia. Fakt, że nie jestem z chłopakami, denerwował mnie bardziej niż niewiedza. Ani myślałem czekać do przedpołudnia, by w końcu zabrać się do roboty.

Do bramy prowadziła jednopasmowa cementowa droga, ogrodzona wysokimi na trzy metry drewnianymi ekranami, więc nie widziałem, co dzieje się po drugiej stronie. Za bramą skręciłem na parking przed dwoma betonowymi budynkami z lat siedemdziesiątych.

Parkując, zauważyłem dwóch kumpli z zespołu, którzy zmierzali do środka. Zatrąbiłem i zatrzymałem się na wolnym miejscu, a oni przystanęli, by na mnie zaczekać. Padał lekki deszcz, kiedy dreptałem pośpiesznie w ich kierunku.

– Wcześnie jesteś. Wracamy ze śniadania. O której wyjechałeś?

– Wcześnie – odparłem krótko i od razu przeszedłem do sedna: – To o co chodzi?

Miałem nadzieję, że od razu poznam odpowiedź.

– Gotowy? – zapytał jeden z kumpli z przebiegłym uśmiechem. – UBL.

– Pierdolisz.

Nie mogłem w to uwierzyć, ale Charlie od początku miał rację. W jednej chwili gadanina faceta od ściółki nabrała sensu – Jay pomagał w stolicy przygotować plan misji.

– Aha, UBL – ciągnął kumpel. – Znaleźli go.

– Gdzie?

– W Pakistanie.

ROZDZIAŁ 10

Spacerowicz

Zaprowadzili mnie do sali konferencyjnej, która służyła nam jako centrum operacyjne.

Na rozkładanych stolikach stały laptopy i drukarki, a na ścianach wisiały mapy Pakistanu – między innymi mapa miasta Abbottabad. Meble były obite sztuczną skórą, miały sflaczałe poduszki i metalowe oparcia. Chłopaki poprzesuwali fotele i kanapy na jedną stronę pomieszczenia, by zrobić miejsce dla sprzętu.

W środku prawie nikogo nie było – tylko kilku cywili z CIA, którzy pracowali w ciszy. Próbowałem zrozumieć coś z porozwieszanych map i fotografii, ale czułem się przytłoczony. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że wreszcie znaleźliśmy Osamę bin Ladena.

Nigdy wcześniej nie wpadliśmy na żaden dobry trop. Bin Laden był jak duch, który unosił się nad wojną. Marzyliśmy, że któregoś dnia przeprowadzimy misję ujęcia go lub zabicia, ale nikt nie brał tych mrzonek poważnie. Zbyt wiele zależało od szczęścia. Zdawaliśmy sobie sprawę, że tak naprawdę chodzi o to, by być we właściwym miejscu o właściwym

czasie, a gdy wchodziłem do centrum operacyjnego, miałem wrażenie, że wszyscy trafiliśmy do najwłaściwszego miejsca pod słońcem. Ktoś po prostu wyselekcjonował najbardziej doświadczonych gości z zespołu bojowego, zamiast angażować do działania istniejący pluton.

Do sali wszedł Mike i zauważył nas przed tablicą ze schematem organizacyjnym. Na liście znalazło się dwadzieścia osiem nazwisk, między innymi specjalista z EOD. Zamykał ją tłumacz i pies bojowy, który wabił się Cairo.

– Ali jest tłumaczem z agencji – wyjaśnił Mike. – Oprócz tego mamy czterech facetów w rezerwie, na wypadek gdyby komuś stała się krzywda podczas szkolenia. Podzieliliśmy was na cztery zespoły. Zostałeś wybrany na dowódcę jednego z nich.

Zauważyłem, że Tom także dostał funkcję dowódcy zespołu.

– Polecisz w Chalk One – ciągnął Mike – a twój zespół będzie odpowiedzialny za zabezpieczenie C1, wolnostojącego domku dla gości na południu.

C1 stał przy głównym budynku, w którym najprawdopodobniej mieszkał bin Laden, a Chalk One i Chalk Two stanowiły nazwy kodowe śmigłowców, które zabierały nas na misję.

Zauważyłem, że Charlie i Walt lecą ze mną w Chalk One, ale w innym zespole. Misja została zaplanowana w taki sposób, by oba śmigłowce miały identyczne możliwości. Oznaczało to, że Chalk Two był właściwie kopią Chalk One. W moim zespole znajdował się oficer, który mógłby przejąć dowodzenie, gdyby maszyna Jaya spadła. Mike, master chief oddziału, też leciał, ale na ziemi jego rola polegała na dyrygowaniu ruchem i pilnowaniu czasu.

Rozkład celu wciąż był dla mnie nowy. Na jednej ze ścian wisiał schemat przedstawiający rezydencję i mury układające się w kształt grota. Wiedziałem, że domek dla gości to drugorzędny przydział. Nie będę kłamał, przez chwilę żałowałem, że nie przydzielili mnie do zespołu, który dostał zadanie wejścia na dach budynku o oznaczeniu A1. Przy założeniu, że wszystko pójdzie zgodnie z planem, to oni mieli jako pierwsi znaleźć się na drugim piętrze, gdzie ponoć mieszkał bin Laden. Szybko jednak odepchnąłem od siebie żal i skupiłem się na zadaniu. Wiedziałem, że nikomu nie braknie roboty i cieszyłem się, że wezmę udział w akcji.

– Przyjąłem – powiedziałem, przyglądając się schematowi. – Will wraca na tę misję?

Will zamykał mój zespół. Przydzielono go do siostrzanego zespołu, który obecnie znajdował się w Dżalalabadzie. Jako tłumacz-samouk mógł na miejscu porozumieć się z rodziną bin Ladena.

– Spotkacie się w Dżalalabadzie – odparł Mike. – Teraz mam spotkanie, ale obejrzyj sobie model. Wydali na niego kupę forsy. Chłopaki powinni za parę minut wrócić ze śniadania.

Wyszedłem z centrum operacyjnego i włóczyłem się po budynku, sącząc kawę. Nasze wyposażenie zagracało pomieszczenie tuż za głównym holem. W kącie leżały pootwierane walizki Pelican pełne broni, a wzdłuż ściany naprzeciw wejścia ciągnęły się radia podłączone do ładowarek i worki ze sprzętem. Ktoś wcisnął w kąt drukarkę do diagramów. W innym kącie piętrzyły się białe tablice i stojaki z podkładkami do robienia notatek.

Piankowy model rezydencji bin Ladena znalazłem przed drzwiami do pokoju odpraw. Spoczywał na podeście ze sklejki o wymiarach półtora na półtora metra, a z boku leżała drewniana skrzynia zabezpieczona kłódkami. Przykrywano nią model, gdy nie był potrzebny.

Siedziba bin Ladena została odtworzona z niesamowitą drobiazgowością. Na podwórku stały nawet miniaturowe drzewa, a na podjeździe i na drodze biegnącej wzdłuż północnego muru samochody. Nie zabrakło też bram, drzwi, zbiornika na wodę na dachu, a nawet koncertiny rozciągniętej na szczycie murów. Na głównym podwórzu rosła trawa. Nawet domy i pola sąsiadów doczekały się niemal równie idealnych kopii.

Popijając kawę małymi łykami, przyglądałem się dwupiętrowemu budynkowi.

Ta czterdziestoarowa rezydencja stała w dzielnicy mieszkaniowej Abbottabadu, miasta nazwanego na cześć brytyjskiego majora, które leży na północ od stolicy Pakistanu, Islamabadu. To w nim znajduje się pakistańska akademia wojskowa.

Kumple z zespołu jeszcze nie wrócili ze śniadania, więc miałem model tylko dla siebie. Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie zaczniemy działać, choć wciąż próbowałem ogarnąć wszystko, czego się dowiedziałem. Wreszcie nadarzyła się okazja, by dopaść bin Ladena.

Osama bin Laden urodził się 10 marca 1957 roku w Rijadzie jako siódme z pięćdziesięciorga dzieci. Ojciec Osamy, Mohammed Awad bin Laden, zbił fortunę jako budowniczy, a matka, Alia Ghanem z Syrii, była jego dziesiątą żoną. Bin Laden prawie nie znał swojego ojca; jego rodzice rozwiedli się, gdy miał dziesięć lat. Matka ponownie wyszła za mąż, a on dorastał z czwórką rodzeństwa.

W szkole średniej w Dżudda w Arabii Saudyjskiej bin Laden dołączył do islamistycznej grupy studentów, którzy uczyli się Koranu na pamięć. Wystawiony na wpływy fundamentalistycznego islamu, zapuścił długą brodę jak Mahomet.

W wieku osiemnastu lat bin Laden ożenił się z kuzynką, która urodziła mu syna w roku 1976. W tym samym roku zdał egzaminy końcowe szkoły średniej i dostał się na Uniwersytet Króla Abdulaziza w Dżuddzie, gdzie zdobył stopień naukowy z administracji publicznej.

Gdy w 1979 roku Związek Radziecki przeprowadził inwazję na Afganistan, bin Laden przeniósł się do Peszawaru w Pakistanie, a później do Afganistanu. Jak sam stwierdził, będąc muzułmaninem, miał obowiązek walczyć z Sowietami. Budował obozy i szkolił mudżahedinów, czasem korzystając z pomocy Stanów Zjednoczonych. Gdy w 1989 roku wojna się skończyła, powrócił do Arabii Saudyjskiej, ale był rozczarowany działaniami rządu królewskiego, który uznał za skorumpowany. Ponieważ wypowiadał się przeciwko władzy otwarcie, w 1992 roku został wygnany do Sudanu.

Rok później utworzył Al-Kaidę, co w języku arabskim oznacza „podstawę", „fundament" lub „bazę". Za cel postawił sobie wypowiedzenie wojny Stanom Zjednoczonym; chciał zrzeszyć muzułmanów i stworzyć jedno państwo arabskie na Bliskim Wschodzie.

Jego wojna przeciwko USA rozpoczęła się w 1996 roku. Al-Kaida wysadziła ciężarówkę w Arabii Saudyjskiej, zabijając stacjonujących tam żołnierzy amerykańskich. Pod naciskiem opinii międzynarodowej sudański rząd wygnał bin Ladena, a ten uciekł do Afganistanu, gdzie mógł liczyć na pomoc talibów.

W 1998 roku nazwa „Al-Kaida" stała się powszechnie znana. W atakach bombowych na ambasady Stanów Zjednoczonych w Kenii i Tanzanii zginęło niemal trzysta osób. Następnym krokiem bin Ladena był atak bombowy na USS „Cole", kiedy amerykański okręt stał w porcie w jemeńskim mieście Aden. Najbardziej zdecydowany cios zadał jednak podczas ataków z 11 września 2001 roku. Jego zwolennicy zabili niemal

trzy tysiące cywili w Nowym Jorku, Waszyngtonie i Pensylwanii. Po tym jak siły koalicyjne obaliły talibów, bin Laden ukrył się i o mało nie został schwytany w Tora Bora w Afganistanie.

Przez następne dziesięć lat siły koalicji, którą utworzyły Stany Zjednoczone, tropiły Osamę bin Ladena wzdłuż granicy afgańsko-pakistańskiej. Nie licząc fiaska z 2007 roku, wszystkie informacje wywiadu wskazywały, że ukrywa się w Pakistanie.

Kumple wracali ze śniadania. Wciąż gapiłem się na model rezydencji, kiedy wpadł na mnie Tom. Tom był jednym z dowódców, którzy mieli lecieć w Chalk One, a jego zespół był odpowiedzialny za wyczyszczenie parteru głównego budynku, oznaczonego jako A1.

– Przezywają go Spacerowiczem, bo potrafi łazić godzinami. Zwykle widzą go tutaj – wskazał podwórze we wschodniej części rezydencji. – Zgodnie z tym, co mówi wywiad, czasem wychodzi do ogrodu, żeby poćwiczyć. Uważają, że Spacerowicz to UBL.

Za Tomem przyszli Walt i Charlie. Obaj szczerzyli się do mnie szeroko.

– Wywołałeś wilka z lasu – rzuciłem do Charliego. – Jak go znaleźli?

– Przez jednego z kurierów. Pracują dla niego dwaj kolesie.

Dzień wcześniej CIA zorganizowała chłopakom spotkanie pod nazwą „Droga do Abbottabadu”, na którym wyjaśniono, w jaki sposób wywiad trafił na trop bin Ladena. W centrum operacyjnym leżało parę broszurek z informacjami na temat obszaru działań i naszego celu. Czekając na kolegów, zacząłem czytać. Chciałem nadrobić zaległości, zanim przystąpimy do poważnego planowania.

Jakiś czas później publiczne źródła potwierdziły, że warta niemal milion dolarów rezydencja, w której mieszkał nasz cel, została zbudowana w 2005

roku w niewielkiej odległości od pakistańskiej akademii wojskowej. Dużo większa od sąsiednich domów, nie posiadała telefonu ani łącza internetowego. Mury z południowej strony, zasłaniające widok pierwszego i drugiego piętra, były wyższe, by nikt nie zaglądał na podwórze. Ponadto okna pierwszego i drugiego piętra wyposażono w przyciemnione szyby.

Nie istniały żadne dowody, by Spacerowicz miał jakiekolwiek kontakty poza rezydencją. Jej mieszkańcy palili śmieci i praktycznie nie widywali się z sąsiadami.

Jednym z tych mieszkańców był Ahmed al-Kuwaiti.

CIA dowiedziała się o al-Kuwaitim podczas przesłuchania człowieka o nazwisku Mohammed al-Katani, saudyjskiego obywatela i rzekomego dwudziestego porywacza z zamachów 11 września. Urzędnicy nie wpuścili go na teren Stanów Zjednoczonych, bo uznali, że próbuje nielegalnie imigrować do kraju. Śledczy dowiedzieli się później, że jeden z przywódców ataku, Mohammad Atta, czekał na al-Kataniego na lotnisku w Orlando.

Al-Katani został odesłany do Dubaju, ale wpadł ponownie podczas bitwy o Tora Bora w 2001 roku i trafił do więzienia Guantanamo Bay na Kubie. Gdy odciski palców wykazały, że to on próbował dostać się na lotnisko, śledczy na kilka miesięcy 2002 i 2003 roku wzięli się ostro do pracy.

Al-Katani w końcu przyznał się, że do Stanów wysłał go Chaled Szejk Mohammed, człowiek, który zaplanował ataki z 11 września. Powiedział także, że miał okazję spotkać się z bin Ladenem i że odbył szkolenie terrorystyczne, po czym zdemaskował niejakiego Ahmeda al-Kuwaitiego jako prawą rękę i kuriera przywódcy Al-Kaidy. Chaled Szejk Mohammed, który również przebywał w amerykańskim więzieniu, potwierdził, że zna człowieka o nazwisku al-Kuwaiti, ale wyraźnie zaznaczył, że kurier nie należy do Al-Kaidy.

W 2004 roku Amerykanie ujęli Hassana Gula, kuriera i agenta Al-Kaidy. Gul zeznał funkcjonariuszom wywiadu, że al-Kuwaiti był bliskim współpracownikiem bin Ladena. Kiedy śledczy zapytali o to ponownie Chaleda Szejka Mohammeda, ten próbował zbagatelizować rolę al-Kuwaitiego. Następca Mohammeda, Abu Faraj al-Libi, pojmany przez Pakistańczyków w 2005 roku, twierdził, że od dłuższego czasu nie miał styczności z al-Kuwaitim. Na podstawie przekonania, że zarówno Mohammed, jak i al-Libi starają się zbyć śledczych, analitycy wywiadu doszli do wniosku, że al-Kuwaiti rzeczywiście może być współpracownikiem bin Ladena.

CIA wiedziała, że al-Kuwaiti i jego brat, trzydziestotrzyletni Abrar Ahmed al-Kuwaiti, w przeszłości pracowali dla bin Ladena. Agenci zaczęli tropić Ahmeda w Pakistanie – liczyli, że doprowadzi ich do brata, a ten prosto do bin Ladena.

Podczas rozmowy przechwyconej w 2010 roku jeden z członków rodziny zapytał go, z czego się utrzymuje. Al-Kuwaiti był sprytnym człowiekiem i nie wydał swojego pracodawcy. Kiedy więc usłyszał pytanie, czym się zajmuje, rzucił tylko, że „tym, co zwykle”.

Ta dyskretna odpowiedź pozwoliła agentom skojarzyć fakty i stanowiła punkt wyjścia dla operacji. CIA dysponowała jedynie poszlakami, ale niczego więcej nie potrzebowała.

Agenci zaczęli przyglądać się Ahmedowi al-Kuwaitiemu, zwracając szczególną uwagę na schemat jego działań. Zauważyli, że jeździł białą półciężarówką z wizerunkiem nosorożca na osłonie zapasowego koła. W końcu udało im się wyśledzić samochód jadący do rezydencji w Abbottabadzie, która teraz znajdowała się przede mną w postaci piankowego modelu.

CIA zakładała, że bin Laden mieszka na drugim piętrze głównego budynku. Pierwsze zajmował jego syn, Chaled. Spodziewaliśmy się przynajmniej jednej albo dwóch żon i dziesięciorga dzieci. Byliśmy przyzwyczajeni do takich sytuacji – trafialiśmy na dzieci podczas niemal każdej akcji.

Jay i Mike pomagali w Waszyngtonie nakreślić zarys operacji, ale to do nas należało zagłębienie się w szczegóły i porządne przetestowanie planu. Znaliśmy swoje możliwości lepiej niż ktokolwiek inny, a ponieważ to nam dowództwo powierzyło operację, odegraliśmy także kluczową rolę w planowaniu.

Zebraliśmy się wokół modelu, a Jay i Mike zaczęli tłumaczyć, na jakim etapie są plany. Ponieważ nasi ludzie mieli dwadzieścia cztery godziny, by zapoznać się ze szczegółami, powoli klarował się ogólny zarys działania.

– Lecimy do punktu X – zaczął Jay. – Chłopaki z Chalk One zjadą po linach na podwórze. – Przesunąwszy się na południową stronę rezydencji, wskazał na C1. – Mark, twój zespół będzie odpowiedzialny za C1. Wchodzicie bezpośrednio do domku dla gości. Snajper sprawdzi wiatę na samochody, po czym zajmie pozycję na dachu. W tym czasie wy wyczyścicie i zabezpieczycie C1. W budynku mieszka Ahmed al-Kuwaiti z żoną i dziećmi. Kiedy skończycie, przesuniecie się do A1, żeby wesprzeć zespół Toma.

Drugi zespół z Chalk One, dowodzony przez Toma, miał się dostać do A1.

– Charlie i Walt podejdą do północnych drzwi A1 i będą czekać – ciągnął Jay. – Wywiad sądzi, że Spacerowicz korzysta najczęściej właśnie z tych drzwi. Zgodnie z oceną CIA do jego mieszkania na drugim piętrze prowadzą spiralne schody.

Tom i jego chłopaki mieli wejść południowymi drzwiami, by wyczyścić parter. Prawdopodobnie mieszkał tam z rodziną brat kuriera, Abrar al-Kuwaiti. Opierając się na tym, co Tom zobaczy w środku, musieli przebić się do północnej części lub wpuścić Charliego i Walta do środka. Gdyby okazało się, że są zablokowani, plan nakazywał im obejść dom.

– Nie mamy pojęcia, jak wygląda rozkład pomieszczeń, ale podejrzewamy, że budynek dzieli się na dwie części mieszkalne – wytłumaczył Jay. – Właśnie dlatego Charlie i Walt będą czekać na pozycji, aż dostaną od Toma sygnał, że mogą wchodzić.

Tymczasem drugi śmigłowiec miał przetransportować pięcioosobowy zespół na północ od rezydencji, żeby zabezpieczyć cel od zewnątrz. Do patrolu wyznaczono dwóch członków zespołu szturmowego i psa bojowego, który mógł się przydać podczas tropienia uciekinierów. Pozostali dwaj operatorzy i tłumacz otrzymali zadanie zajęcia pozycji od strony północnowschodniej, by uporać się z potencjalnymi gapiami lub miejscową policją.

Zabezpieczanie akcji od zewnątrz było w rzeczywistości jednym z najważniejszych i najniebezpieczniejszych elementów szturmu. Gdyby akcja się przeciągała, istniało prawdopodobieństwo, że chłopaki przed rezydencją będą musieli poradzić sobie z reakcją władz w postaci policji, choć nie wykluczaliśmy też interwencji wojskowej. To na pewno nie była łatwa misja, miała jednak ogromne znaczenie i mogło się okazać, że przybierze bardzo dynamiczny obrót.

– Po dostarczeniu na miejsce zabezpieczenia Chalk Two zawiśnie nad A1, a pozostali operatorzy zjadą po linach na dach, po czym wejdą na balkon i wyczyszczą drugie piętro.

Przy założeniu, że informacje wywiadu są prawdziwe i że wszystko pójdzie zgodnie z planem, to właśnie ten zespół miał jako pierwszy

nawiązać kontakt z bin Ladenem.

Pozostałą część spotkania Jay i Mike poświęcili na omówienie planu załadunku, a na koniec podali nam kilka kryptonimów, którymi mieliśmy się posługiwać podczas misji. Były to jednowyrazowe sygnały pozwalające przekazywać informacje w efektywny sposób. Dzięki temu ciszy w radiu nie zakłócało zbyt wiele meldunków. W przypadku tej operacji zdecydowaliśmy się na motyw indiański.

– UBL to Geronimo – powiedział Jay.

Spotkanie informacyjne trwało około godziny.

– Dobra, chłopaki, a teraz szukajcie dziury w całym – zwrócił się do nas Mike. – My z Jayem ślęczymy nad tym od tygodni, wy znacie szczegóły od wczoraj. Poświęćcie trochę czasu na wgryzienie się w sprawę.

Robiliśmy wszystko, by nie zakochiwać się w planie, bo samozadowolenie rodzi błędy.

W pierwszej kolejności próbowaliśmy wymyślić alternatywny sposób podejścia do celu. Nikt nie chciał latać do punktu X, zrezygnowaliśmy z tej metody dawno temu. Woleliśmy lądować w bezpiecznej odległości i podchodzić pieszo. Z biegiem lat taktyka naszej jednostki ewoluowała w kierunku dyskretnych działań, co pozwalało nam zachować element zaskoczenia do ostatniej chwili.

Rozpoznanie i snajperzy analizowali zdjęcia satelitarne, szukając stref lądowania w odległości czterech do sześciu kilometrów, ale żadna z opcji nie była satysfakcjonująca. Rezydencja bin Ladena stała w dzielnicy mieszkaniowej, a wszystkie potencjalne lądowiska znajdowały się zbyt blisko zurbanizowanych obszarów, co oznaczało, że musielibyśmy iść do celu ulicami miasta. Ryzyko, że zostaniemy zdemaskowani, było zbyt

wielkie. Koniec końców uznaliśmy, że lot do punktu X – głośny, ale szybki – stanowi mniejsze zło.

Poszczególne zespoły pochowały się w kątach sali, żeby obgadać swoje części planu. Musieliśmy rozdysponować sprzęt: drabinkę, młot i ładunki wybuchowe.

– Będę potrzebować drabinki, żeby wspiąć się na dach wiaty – stwierdził nasz snajper. Składana drabinka była ciężka i nieporęczna. – Mike powiedział, że przeniesie ją dla mnie na plecach, żeby łatwiej mi było was osłaniać.

Rozstawiliśmy dwóch snajperów przy drzwiach Chalk One – stamtąd mogli zabezpieczać nasz zjazd po linach na teren rezydencji. Nie chcieliśmy, by jakiś koleś z kałasznikowem wyskoczył z domu i zaczął do nas strzelać, kiedy będziemy bezbronni.

– Młot bierze Will. Nie ma go dzisiaj, więc nie będzie protestować – rzuciłem z chytrym uśmieszkiem. – Ja wezmę dwa ładunki tnące i szczypce do prętów.

Ładunek do wejść siłowych miał postać grubego na pięć centymetrów i długiego na trzydzieści pasa materiałów wybuchowych z klejem po jednej stronie, żeby łatwo dało się go przyczepiać. Zainicjowany, odpalał po trzech sekundach i torował nam drogę, niszcząc zamki i zawiasy.

Naszym celem była samowystarczalność. Najgorsze co mogło nas spotkać to potrzeba kontaktowania się z innym zespołem z powodu niedoborów sprzętu.

Mapami i zdjęciami satelitarnymi zajmowała się dla nas kobieta z Narodowej Agencji Wywiadu Satelitarnego. Jeśli wypływała taka konieczność, zgłaszaliśmy się do niej po informacje – zarówno te drobne, jak i bardzo istotne.

Przyklęknąłem obok modelu rezydencji i spojrzałem na drzwi domku dla gości.

– Hej – rzuciłem do niej – drzwi w C1 otwierają się do wewnątrz czy na zewnątrz?

Po kilku minutach wróciła z odpowiedzią.

– Podwójne metalowe drzwi. Otwierają się na zewnątrz.

Cały tydzień tak właśnie wyglądał – kiedy mieliśmy pytania, wywiad dostarczał odpowiedzi. Gdzie chodził Spacerowicz, kto mieszkał w rezydencji, które bramy były zamykane, a które nie, gdzie domownicy najczęściej parkowali... Nasi agenci dysponowali mnóstwem zdjęć z dronów i satelitów i praktycznie nie było takiej rzeczy, której nie wiedzieliby o otoczeniu rezydencji.

Tymczasem w Waszyngtonie prezydent Obama omawiał z doradcami inne opcje. Pod zgodą na przeprowadzenie szturmu wciąż nie było jego podpisu. Dostaliśmy pozwolenie na planowanie i ćwiczenia, ale nic ponad to. Biały Dom brał pod uwagę możliwość użycia sił powietrznych, by zrównać rezydencję bin Ladena z ziemią za pomocą bombowców B-2 Spirit.

Sekretarz obrony Robert Gates popierał plan bombardowania, ponieważ nie wymagał on wysyłania sił lądowych na terytorium Pakistanu i nie budził aż tak wielkich podejrzeń o zamach na suwerenność państwa.

Stany Zjednoczone nie miały zbyt dobrej historii, jeśli chodzi o podobne akcje szturmowe jak ta, którą chcieliśmy przeprowadzić. Od czasu operacji „Orli szpon” narażanie żołnierzy na niebezpieczeństwo na terenie obcego kraju było ryzykowne.

W czasie operacji „Orli szpon” jeden z sześciu śmigłowców zmierzających przed szturmem do pustynnej bazy obsługowej wleciał podczas burzy w chmurę piasku i zderzył się z samolotem MC-130E, który przewoził paliwo. Ogień zniszczył obie maszyny i zabił ośmiu żołnierzy, a misja – jedna z pierwszych przeprowadzanych przez Delta Force – została natychmiast odwołana. „Orli szpon” okazał się katastrofą i w dużym stopniu przyczynił się do porażki Cartera w kampanii reelekcyjnej.

Nalot powietrzny na rezydencję bin Ladena wymagał użycia trzydziestu dwóch inteligentnych bomb o wadze niemal tony każda. Po dziewięćdziesięciu sekundach bombardowania powstałby krater o głębokości dziewięciu metrów, bo nie mieliśmy pojęcia, czy pod rezydencją nie znajduje się bunkier. Ryzyko zniszczeń ubocznych było duże, szansa odnalezienia identyfikowalnych szczątków po tak niszczycielskim ataku – minimalna.

Wiedzieliśmy, że jeśli dowództwo zgodzi się na tę misję – wszystko jedno, czy w postaci bombardowania, czy szturmu – to będzie chciało dowodów, że dopadliśmy bin Ladena. Szturm był ryzykowny, ale nalot bombowy rodził dodatkowe komplikacje.

Kilka dni po dotarciu do Karoliny Północnej pierwszy raz zobaczyliśmy Spacerowicza.

Staliśmy przed ekranem komputera, przyglądając się rezydencji przez przekazy z dronów. Obraz był czarno-biały i niewyraźny, ale dało się rozpoznać główny budynek i podwórze, które zajmowało północno-wschodnią część rezydencji.

Po paru sekundach w kadr weszła postać. Na przekazie wideo przypominała mrówkę – nie mieliśmy nawet co marzyć, że zobaczymy wyraźnie jej twarz czy choćby sylwetkę. Widzieliśmy jednak, jak wychodzi

przez północne drzwi i zaczyna przechadzać się po podwórzu owalną ścieżką, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Ktoś rozciągnął nad ogrodem markizę, by go zasłonić, ale nie była ona wystarczająco długa.

– Potrafi tak łazić godzinami – stwierdził jeden z analityków agencji. – Zdarza się, że w ogrodzie pracują jacyś ludzie, ale on nigdy nie pomaga. Tylko tak spaceruje.

Czasem wychodził na zewnątrz z kobietą albo dzieckiem. Żadne z nich nie zatrzymywało się, by pomóc w pracach. Gdy przyjechał weterynarz, który zajmował się krowami żyjącymi na terenie rezydencji, zwierzęta przepędzono na inne podwórze.

– Sądzimy, że krowy zostały przeniesione, bo mieszkańcy rezydencji nie chcą, by ktokolwiek widział tę jej stronę – ciągnął analityk. – To wszystko tylko poszlaki, ale wydaje się, że kogoś ukrywają. Spójrzcie na to – rzucił i przełączył na nagranie z innego dnia.

Nad rezydencją nagle przeleciał śmigłowiec.

– A ten skąd się wziął? – zapytałem.

– To Huey pakistańskiej armii – wyjaśnił analityk. – Nie wiemy, co tutaj robił, ale wyleciał z akademii wojskowej.

Wpatrywaliśmy się z napięciem w ekran, ciekawi, czy mieszkańcy domu zareagują na śmigłowiec, ale Spacerowicz nie pobiegł do samochodu, by uciec z rezydencji. Wszyscy pomyśleliśmy o tym samym: nasz cel był przyzwyczajony do odgłosu śmigłowców.

– Może zdążymy wylądować, zanim zorientują się, o co chodzi – gdybał Charlie.

Gdy plan misji był gotowy, rozpoczęliśmy ćwiczenia.

Black Hawk przeleciał nad północnokarolińskim lasem i zawisł nad celem. Z mojego punktu obserwacyjnego, z nogami wywieszonymi na zewnątrz tuż przy lewych drzwiach, widziałem makietę rezydencji bin Ladena. W ustronnej części bazy krył się model rzeczywistych rozmiarów, wykonany ze sklejki, siatki drucianej i kontenerów.

Zjechałem po linie na podwórze i pognałem do podwójnych drzwi C1. Wszędzie wokół moi koledzy z zespołu śpieszyli na wyznaczone pozycje. Ryk silników utrudniał nam komunikację, ale po trzech dniach ćwiczeń nie musieliśmy rozmawiać – przebieg misji mieliśmy zakodowany w pamięci mięśniowej. Pomijając sporadyczne komunikaty, które informowały o upływie czasu, radio milczało. Każdy znał swoją rolę. Mieliśmy w grupie lata doświadczenia, więc symulacje przebiegały gładko. Ten cel nie był ani trochę bardziej skomplikowany od wielu innych, które szturmowaliśmy w przeszłości.

Tak naprawdę chodziło nie tyle o nasze szkolenie, co o przekonanie Białego Domu, że jesteśmy w stanie przeprowadzić tę akcję.

Poziom odwzorowania prawdziwej siedziby bin Ladena robił wrażenie. Ekipy budowlane zasadziły drzewa, wykopały rów, a nawet nawiozły ziemię, która symulowała ziemniaczane pole otaczające rzeczywisty cel w Pakistanie.

Po paru próbach zapytaliśmy, czy dałoby się zbudować balkon na drugim piętrze i postawić część bram, żeby jeszcze dokładniej oddać rozkład rezydencji.

Gdy przyjechaliśmy na kolejną symulację, wszystkie zmiany były już wprowadzone.

Budowlańcy nie zadawali pytań i nie odmawiali – po prostu robili to, o co prosiliśmy. Nigdy wcześniej nie byliśmy tak traktowani. Nagle znikła cała biurokracja. Jeśli czegoś potrzebowaliśmy, dostawaliśmy to bez

zbędnych komentarzy. Kolosalna różnica w porównaniu z tym, przez co musieliśmy przechodzić w Afganistanie.

Jedyną niewiadomą było wnętrze domu. Nie wiedzieliśmy, jak wygląda rozkład pomieszczeń. Tak naprawdę jednak nie martwiliśmy się tym zbytnio. Lata doświadczenia bojowego pomagały nam rozwiązywać takie problemy „na żywo". Byliśmy przekonani, że damy sobie radę – musieliśmy tylko dostać się na miejsce.

Rozejrzałem się przed drzwiami kontenera, który symulował C1, zanim wszedłem do środka. Mogłem tylko zgadywać, czy w czasie prawdziwej misji Ahmed al-Kuwaiti będzie uzbrojony albo założy kamizelkę z materiałami wybuchowymi. Spodziewaliśmy się, że wszyscy mężczyźni na terenie rezydencji – bin Laden, Chaled i bracia Kuwaiti – będą stawiać opór.

Po przećwiczeniu najbardziej optymistycznego wariantu zajęliśmy się planami awaryjnymi. Zamiast zjeżdżać po linie na podwórze, lądowaliśmy za murem i szturmowaliśmy rezydencję z zewnątrz. Ćwiczyliśmy też tropienie zbiegów, na wypadek gdyby ktoś próbował uciec z rezydencji przed szturmem.

Każdy manewr powtarzaliśmy do upadłego. Nigdy wcześniej nie ćwiczyliśmy tak dużo, ale tym razem było to ważne. Choć misja wydawała się prosta, dodatkowe przygotowania pomagały nam się zgrać, bo zostaliśmy wybrani z różnych zespołów.

Po ostatniej próbie zgromadziliśmy się w centrum operacyjnym. Jay miał nowe informacje.

– Teraz wracamy do domu, a w najbliższy poniedziałek jedziemy na zachód na kolejny tydzień ćwiczeń i pełny plan operacji – powiedział.

Podniosłem rękę.

– A co z oficjalnym pozwoleniem na przeprowadzenie akcji?

– Nadal nic. Czekamy na Waszyngton.

Spojrzałem na Walta, który przewrócił oczami. Kolejny raz stolica uskuteczniała taktykę, którą można streścić słowami: „śpiesz się powoli”. Mieliśmy z nią wcześniej do czynienia przed misją oswobodzenia kapitana Phillipsa.

– Stawiam, że nie pojedziemy – rzucił Walt, kiedy wychodziliśmy.

W poniedziałek wczesnym rankiem polecieliśmy na teren szkolenia; w czwartek, niemal dwa tygodnie po wstępnym rozdzieleniu zadań, wzięliśmy udział w finalnej próbie.

Cały zespół i ludzie odpowiedzialni za planowanie zebrali się w ogromnym hangarze. Na podłodze leżała mapa wschodniego Afganistanu, a na trybunie siedziała z admirałem Billem McRavenem grupa VIP-ów, wśród których znalazły się takie osobistości, jak admirał Mike Mullen, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, czy admirał Eric Olson z Dowództwa Operacji Specjalnych w Tampa i były dowódca DEVGRU.

McRaven miał swój udział w dowodzeniu na każdym szczeblu operacji specjalnych, łącznie z DEVGRU. Zrobił na mnie świetne wrażenie. Ten trzygwiazdkowy admirał, który stał na szczycie JSOC, był mężczyzną wysokim, szczupłym i zadbanym. Większość admirałów z wiekiem wypada z formy, ale McRaven wyglądał, jakby wciąż nieźle sobie radził. Potrafił wykorzystać swoją pozycję i dogadywał się z politykami w Waszyngtonie.

Mieliśmy przeprowadzić prezentację misji „Włócznia Neptuna” (ang. „Neptune Spear”), więc na podłodze hangaru znalazło się dosłownie wszystko, od tras przelotu śmigłowców aż po model rezydencji bin Ladena. Narrator odczytujący scenariusz rozpoczął półtoragodzinne spotkanie.

Jako pierwsi przemówili nasi piloci. Opowiedzieli o locie z Dżalalabadu do rezydencji w Abbottabadzie, o komunikatach radiowych i różnych okolicznościach, które mogły wyniknąć w trakcie lotu.

Następnie wstawali dowódcy poszczególnych zespołów i tłumaczyli, jaką pełnią rolę.

– Mój zespół zjedzie po linach z Chalk One na podwórze. Po wyczyszczeniu i zabezpieczeniu C1 dołączymy do pozostałych zespołów w A1 – powiedziałem.

Większość pytań VIP-ów dotyczyła zadań zespołu odpowiedzialnego za zabezpieczanie akcji od zewnątrz. Pojawiło się wiele wątpliwości, jak nasi chłopcy poradzą sobie z ewentualnymi obserwatorami zdarzenia.

– Co zrobicie w przypadku interwencji policji lub wojska? – zapytali dowódcę zespołu.

– Sir, będziemy robić wszystko co w naszej mocy, żeby załagodzić sytuację – odparł nasz facet. – Najpierw skorzystamy z pomocy tłumacza, następnie rozważymy użycie psa i widzialnych laserów. W ostateczności uciekniemy się do rozwiązań siłowych.

Pod koniec prezentacji pojawiło się też pytanie, czy nasza misja ma na celu zabicie bin Ladena. Prawnik z Departamentu Obrony albo Białego Domu podkreślił, że operacja „Włócznia Neptuna” nie jest zabójstwem.

– Jeśli będzie nagi i nieuzbrojony, jeśli uniesie ręce, nie strzelamy – powiedział nam. – Nie będę wam tłumaczyć, jak macie wykonywać swoją pracę. Chcę tylko zaznaczyć, że jeśli nie będzie stanowić zagrożenia, spróbujecie go ująć.

Po prezentacji wsiedliśmy do śmigłowców i polecieliśmy na finalną próbę. Mieliśmy przeprowadzić szturm na makietę rezydencji, by VIP-y mogły zobaczyć nas w akcji. To była ostatnia przeszkoda; musieliśmy ją

pokonać, ale dziwnie się czułem ze świadomością, że jesteśmy obserwowani – jak rybki w akwarium. Wszyscy zgodziliśmy się jednak, że warto się trochę nagimnastykować, jeśli dzięki temu dostaniemy zgodę.

Minutę przed celem szef załogi otworzył drzwi, a ja wywiesiłem nogi na zewnątrz.

Łapiąc za linę, widziałem część VIP-ów gapiących się na nas przez gogle noktowizyjne. Kiedy śmigłowiec zawisnął nad punktem zrzutu, wirniki wzbiły w powietrze chmurę pyłu i kamyków, która omiotła obserwatorów i zmusiła ich do odbiegnięcia w drugą stronę. Zaśmiałem się cicho na widok kilku kobiet chwiejących się na szpilkach.

Próba przebiegła bez żadnych wpadek z naszej strony.

– Jak myślicie, dostaniemy zielone światło? – zapytał Charlie po ćwiczeniach.

– Człowieku, nie mam bladego pojęcia – odparłem. – Ale ja bym się nie napalał.

Powrót następnego dnia odbył się bez fajerwerków. Byliśmy gotowi do działania – teraz pozostawało nam czekać na decyzję.

ROZDZIAŁ 11

Zabijanie czasu

Słońce już zachodziło, gdy zamachałem identyfikatorem do wartownika przed bazą w Virginia Beach. Dostrzegł nalepki na moim aucie i skinął ręką, że mam jechać. Minąłem długi rząd samochodów.

Przyjechałem na lot o kilka godzin za wcześnie, ale byłem zmęczony czekaniem. Cały tydzień cholernie mi się dłużył. Gdy zbyt długo siedzimy bezczynnie w domach, zaczynamy się robić niecierpliwi. Była Wielkanoc, więc zadzwoniłem do rodziców. Nadrobiliśmy część zaległości, ale nie mogłem im powiedzieć, nad czym teraz pracuję. Podczas gdy reszta Ameryki malowała pisanki, my musieliśmy ukrywać największą tajemnicę naszego życia.

Po prezentacji na zachodzie piłeczka była po stronie polityków z Waszyngtonu. Jeszcze raz wybraliśmy się do Karoliny Północnej, żeby przeprowadzić ostatnią próbę na makiecie, po czym wróciliśmy do jednostki. Na miejscu dowiedzieliśmy się, że wreszcie jest rozkaz – wyruszamy do Dżalalabadu.

Mimo to wciąż patrzyliśmy na całą sprawę sceptycznym okiem. Nikt nie skakał z radości; wszyscy trawili nowiny po swojemu i zajmowali się osobistymi sprawami. Przynajmniej byliśmy o krok bliżej od zjazdu po linach na teren rezydencji.

Zaparkowałem samochód i chwyciłem plecak. Kilku moich kolegów z zespołu szło w stronę punktu dowodzenia. Jestem pewien, że mieliśmy wtedy bardzo podobne myśli.

– Ja pierdolę, naprawdę zatwierdzili tę operację.

Chyba w pewnym momencie większość z nas uwierzyła, że misja nie dojdzie do skutku. To swoisty mechanizm obronny – dzięki temu nie bylibyśmy zbyt rozczarowani, gdyby w ostatniej chwili odwołano akcję.

– Uwierzę, jak będziemy w powietrzu – powiedział Walt, wchodząc ze mną do lobby.

– Szanse są chyba całkiem spore, skoro wysyłają nas do Afganistanu.

Podejmując taką decyzję, dowództwo narażało się na przecieki. Cała reszta naszej jednostki z pewnością wiedziała, że coś jest na rzeczy. Nawet przemieszczenie oddziału o stosunkowo niewielkiej liczebności powodowało wzrost zainteresowania, gdy grupa operatorów podróżowała przez Bagram poza ustaloną rotacją.

W pomieszczeniu zespołu kumple jedli ostatnie posiłki przed długim lotem. Inni stali w kątach i gadali. Wszyscy byliśmy ubrani w dżinsy i koszule z kołnierzykami, standardowy strój podróżny. Wyglądaliśmy jak zgraja kolesi na wakacjach. Gdybyśmy nosili kije golfowe zamiast karabinów i noktowizorów, można by nas pomylić z profesjonalną drużyną sportową.

Pomijając sprzęt przygotowany na sam szturm, nie brałem zbyt wielu bagaży. Miałem tylko trochę ciuchów na przebranie, kosmetyki pod

prysznic i klapki. Nie lecieliśmy do Afganistanu na długo; zgodnie z planem mieliśmy spędzić dwa dni na aklimatyzacji, by nocą trzeciej doby przeprowadzić akcję.

Wkrótce autobusy zabrały nas na lotnisko. Na płycie czekał potężny szary C-17 Globemaster. Silniki pracowały na biegu jałowym, kiedy załoga przeprowadzała ostatnią kontrolę. Na pokładzie byli już mechanicy śmigłowców. Obok, nieco odizolowani, siedzieli analitycy z NSA i CIA.

Gdy zajmowaliśmy miejsca, czuliśmy się jak w domu. W taki sam sposób lataliśmy na każdą zmianę. Nasz sprzęt i narzędzia załóg lotniczych były przymocowane do pokładu w podbrzuszu samolotu, a wzdłuż ścian ciągnęły się siedzenia. Zrzuciwszy z ramienia plecak, wyciągnąłem nylonowy hamak. Rozglądając się po przestrzeni magazynowej za miejscem, gdzie mógłbym go rozwiesić, zobaczyłem kumpli, którzy krzątali się po samolocie jak mrówki i szukali wygodnych kątów. Byliśmy ekspertami w dziedzinie uprzyjemniania sobie lotu.

Zaczepiłem hamak między dwoma kontenerami ze sprzętem. Inni goście wspinali się na same kontenery albo organizowali sobie miejsca w wolnej przestrzeni między siedzeniami a ładunkiem. Niektórzy nadmuchiwali materace, ja jednak należałem do tej nielicznej grupy, która lubiła korzystać z hamaków. Dostawaliśmy je na misje prowadzone w dżungli.

Czekała nas dziewięciogodzinna podróż do Niemiec, a po krótkim postoju osiem godzin lotu do Bagram. Z tego powodu odpoczynek był dla nas priorytetem.

Załoga Air Force zagoniła nas na siedzenia, żebyśmy zapięli się przed startem. Jedyne wolne miejsce znajdowało się obok Jen, analityczki z CIA. Gdy wcisnąłem sprzączkę pasa w zatrzask, samolot ruszył w stronę końca rozbiegu, a po chwili poderwał się i szybko wzbił w powietrze. Gdy tylko

maszyna wyrównała lot, część moich kolegów połknęła Ambien[26] i usadowiła się wygodnie na długą podróż.

Nie byłem zmęczony, więc zacząłem rozmawiać z Jen. Widziałem ją już wcześniej na szkoleniu w Karolinie Północnej, ale ani razu nie mieliśmy okazji dłużej pogadać. Byłem ciekaw jej spojrzenia na pewne sprawy, ponieważ to właśnie ona kierowała grupą analityków, która wytropiła Osamę bin Ladena.

– Tak z ręką na sercu – zagaiłem – jakie są szanse, że to naprawdę jest on?

– Sto procent – odparła niemal buńczucznie.

Zwerbowana przez agencję jeszcze w college'u, przez pięć lat pracowała w grupie zadaniowej zajmującej się bin Ladenem. Inni analitycy pojawiali się i znikali, a ona trwała na posterunku. Po przechwyceniu rozmowy al-Kuwaitiego składała w całość elementy układanki. Ominęło mnie spotkanie zorganizowane w pierwszy dzień, na którym Jen opowiadała, w jaki sposób znaleźli bin Ladena w Abbottabadzie. Od tamtej chwili mogliśmy na niej polegać, gdy mieliśmy jakiekolwiek pytania na temat naszego celu.

Słyszeliśmy już w przeszłości przechwałki o „stu procentach". Za każdym razem skręcało mnie od nich w żołądku.

– Na twoim miejscu byłbym ostrożny – rzuciłem. – Kiedy nasz wywiad mówi sto procent, zwykle chodzi o dziesięć. W ich przypadku dziesięć brzmi bardziej prawdopodobnie.

Jen uśmiechnęła się niezrażona.

– Nie, nie. Tym razem to naprawdę sto procent.

– Tak jak w 2007 roku?

Podobnie jak ja Jen dobrze pamiętała rok 2007, gdy uganialiśmy się za mężczyzną w długich białych szatach. Przewróciła oczami i zmarszczyła

brwi.

– Wtedy nie mieliśmy zbyt dobrego tropu – przyznała, mimo że informacje pochodziły ze źródła CIA. – Cała impreza szybko wymknęła się spod kontroli.

Miło było słyszeć, że CIA bierze na siebie część winy, choć w 2007 wystarczyło zamknąć oczy i rzucić kamieniem, żeby trafić kogoś, kto w jakimś stopniu ponosił odpowiedzialność za fiasko. Tamta operacja była obarczona typowymi problemami, kiedy każdy dowódca chce się zaangażować w działania. Różnice między 2007 rokiem a teraźniejszością były wyraźne, co w moich oczach uwiarygodniało tę operację.

Jen nie bała się dzielić swoim spostrzeżeniami nawet z samą górą, wliczając w to admirała McRavena. Od samego początku dawała mu do zrozumienia, że nie jest zwolenniczką szturmu lądowego.

– Czasami ci z JSOC-u zachowują się, jakby wszystko im było wolno – stwierdziła. – Ja wolałabym po prostu nacisnąć guzik i zrzucić bombę.

Taki schemat myślenia był typowy poza kręgiem JSOC-u. Nie przepadali za nami nie tylko w armii, ale także w agencji. Nie wszyscy nam ufali, bo nie wszyscy nas znali.

– Jasne, wyżyj się – rzuciłem. – Ale bez względu na to, czy nas kochasz, czy nienawidzisz, jesteś teraz w kręgu zaufania. Siedzimy w tym razem.

– Chodzi ci o wasz męski klub – odparła Jen. – Wy pojawiacie się tylko na wielki finał.

Miała rację, ta operacja była jej dzieckiem. Spędziła z zespołem pięć lat na tropieniu bin Ladena, żebyśmy mogli przeprowadzić tę misję. My musieliśmy tylko dokończyć sprawę.

– Odwaliliście za nas całą brudną robotę – powiedziałem – a my cieszymy się, że możemy mieć swoje trzydzieści minut i wrócić do domu.

– Szczerze mówiąc, nie tak was sobie wyobrażałam – przyznała.

– Widzisz? Już jesteś w kręgu.

Było ciemno, kiedy wylądowaliśmy w Bagramie. Samolot podjechał do punktu oddalonego od głównych terminali, po czym otworzył rampę. Zobaczyliśmy C-130, także z opuszczoną rampą i obracającymi się śmigłami. Bagram to główna baza NATO w północnej części Afganistanu. Znajduje się na północ od Kabulu i ma rozmiary sporego miasteczka. Tysiące żołnierzy i cywilnych dostawców nazywa ją swoim domem. W Bagramie rzadko dochodzi do walk – baza stała się tak bezpieczna, że największym zagrożeniem jest mandat za przekroczenie prędkości lub brak pasa odblaskowego w nocy. Gdybyśmy spędzili na miejscu choć pięć minut, z pewnością wszyscy by się o tym dowiedzieli.

Na szczęście od razu lecieliśmy do Dżalalabadu. Pas startowy był tam jednak za krótki dla C-17 i właśnie dlatego JSOC zorganizował nam przesiadkę do C-130. Nie chcieliśmy ryzykować pobytu w głównym terminalu lub w stołówce. Cały oddział przylatujący poza oficjalną zmianą natychmiast wzbudziłby zainteresowanie.

Otrząsnąwszy się z senności po Ambienie, zebraliśmy bagaże i przeszliśmy do C-130.

Podczas gdy my zajmowaliśmy miejsca na odchylanych siedzeniach z pomarańczowego nylonu, załogi Air Force przypinały trzy kontenery ze sprzętem w tylnej części samolotu. Rampa zamknęła się i ruszyliśmy w godzinny lot do Dżalalabadu.

Siedzenia w C-130 były niewygodne. Pechowiec, który utknął w środkowym rzędzie, musiał liczyć na pasażera z tyłu, jeśli chciał się oprzeć – w innym wypadku osuwał się i obijał sobie plecy. Jeśli zrobić porównanie, hamak w C-17 stanowił pierwszą klasę lotów wojskowych; środkowe siedzenie w C-130 – klasę ekonomiczną.

Podczas lądowania, nawet na utwardzonym pasie startowym, cała maszyna wpada w wibracje. Koła znajdują się tuż przy kadłubie, więc człowiek ma wrażenie, że ląduje na wrotkach. Na dodatek towarzyszy temu taki hałas, jakby samolot szorował brzuchem po betonie. Trzymałem się drążka, gdy zawracaliśmy i stawaliśmy przed głównym terminalem. Szef załogi opuścił rampę – na zewnątrz czekały autobusy, które miały nas zabrać do obozu JSOC-u.

Dżalalabadzkie lotnisko leży blisko granicy z Pakistanem. Jako siedziba wielu amerykańskich jednostek, między innymi sił JSOC-u, jest ona głównym punktem obsługi dla śmigłowców prowadzących działania w północno-wschodnim Afganistanie.

Większy od innych placówek rozsianych po dolinach, które ciągną się wzdłuż granicy, Dżalalabad stanowi część Regionalnego Dowództwa Wschód i to właśnie stamtąd jednostki działające na granicy pobierają zaopatrzenie i pocztę. W Dżalalabadzie stacjonuje około tysiąca pięciuset żołnierzy, a także spora liczba dostawców.

Bazę pomagają chronić afgańskie siły bezpieczeństwa. Pas startowy dzieli ją na dwie części, a żołnierze mieszkają po południowej stronie płyty lotniska. Obszar dla sił JSOC-u ma własną stołówkę, salę gimnastyczną, centrum operacyjne i kilka domków ze sklejki. Zajmują je Rangersi, DEVGRU i personel pomocniczy.

Prawie każdy z nas miał na koncie dwucyfrową liczbę zmian w Dżalalabadzie. Gdy przechodziliśmy przez bramkę, czuliśmy się jak u siebie.

– Co nowego, brachu? – zapytał Will, kiedy dotarliśmy na miejsce. Wiedział już, że weźmie udział w szturmie i nie mógł się doczekać, kiedy wtajemniczę go w plan.

Po zaniesieniu sprzętu na miejsce spotkaliśmy się przy ognisku. Goście z poprzednich rotacji zbudowali z cegieł palenisko, które pełniło funkcję miejsca spotkań. Za każdym razem, gdy przylatywaliśmy na zmianę, dodawaliśmy coś od siebie, aż stworzyliśmy coś w rodzaju patia w domu bractwa studenckiego. Na gównianych kanapach kupionych w mieście non stop siedzieli ludzie pijący kawę, palący cygara albo po prostu robiący sobie jaja. Kanapy zmieniały się równie często jak żołnierze. Wyprodukowane w Pakistanie poduszki nie wytrzymywały zbyt długo obciążenia chłopaków ważących po dziewięćdziesiąt kilogramów.

SEALsi, którzy znajdowali się na zmianie w Afganistanie, zostali wprowadzeni w szczegóły planu podczas naszego przelotu. Słyszeli już plotki, że kroi się jakaś akcja, ale aż do dnia odprawy nikt nie znał szczegółów.

Ponieważ Will posługiwał się biegle arabskim, z całego zespołu tylko on dołączył do grupy szturmowej. Jego koledzy mieli stworzyć siły szybkiego reagowania i czekać w śmigłowcach CH-47 na wezwanie, gdyby zespół w rezydencji natrafił na nieprzewidziane problemy. Powierzono im też zadanie utworzenia wysuniętego punktu tankowania na północ od celu. Dostali ogromne CH-47 – nazywane przez nas latającymi autobusami – żeby przetransportować elastyczne zbiorniki paliwowe i umożliwić Black Hawkom z zespołami szturmowymi niezbędne tankowanie w drodze powrotnej do Dżalalabadu.

– Widziałeś makietę rezydencji? – zapytałem Willa.

Weszliśmy do sali odpraw obok centrum operacyjnego, a ja otworzyłem kłódki. Will pomógł mi unieść drewnianą pokrywę.

– O kurna, niezłe. – Nachylił się nad makietą, by przyjrzeć się jej z bliska.

Will wyglądał jak typowy SEALs. Miał sto siedemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu i szczupłą sylwetkę. Różnił się od swoich kumpli tym, że postanowił nauczyć się – samodzielnie – języka arabskiego. Był cholernie mądrym, małomównym facetem i stuprocentowym profesjonalistą.

Zespoły Navy SEAL tworzą bardzo zgraną społeczność. Dziwnie było przylatywać na misję z przeświadczeniem, że zespół bojowy przebywający na obecnej zmianie poradziłby sobie z nią równie dobrze jak my. Ale to my zostaliśmy wybrani, bo mogliśmy przeprowadzić niezbędne ćwiczenia, żeby sprzedać plan szturmu decydentom z Białego Domu. Każdy zespół bojowy w jednostce z łatwością mógł zastąpić inny – wszystko sprowadzało się do tego, kto znalazł się we właściwym miejscu o właściwym czasie.

– Dobra, to opowiadaj – rzucił Will.

– Lecisz z nami w Chalk One – zacząłem tłumaczyć. – Nasza maszyna jako pierwsza zbliży się do rezydencji od południowego wschodu i zajmie pozycję tu. – Wskazałem na podwórze. – Zjedziemy po linach i wyczyścimy mniejszy budynek, który nazywamy C1.

Nie mówiłem nic odkrywczego i Will nie potrzebował wiele czasu, żeby zorientować się w szczegółach. Przez kilka następnych godzin omawialiśmy plan i ewentualne sytuacje kryzysowe. Opowiedziałem mu też o próbach, które przeprowadziliśmy w trakcie przygotowań. Dla Willa to był zaledwie przedsmak szczegółowego planowania, z którym my mieliśmy do czynienia od wielu dni. Nigdy wcześniej nie spędziliśmy trzech tygodni na ćwiczeniach z powodu pojedynczej misji. W Afganistanie czy Iraku dostawaliśmy zadanie, układaliśmy plan, a po kilku godzinach przeprowadzaliśmy operację.

Nasze szychy, czyli sztab w jednostce dowodzenia, wciąż pracowały nad całościowym obrazem planu i koordynacją. Sprzęt był gotowy, pozostało tylko czekać.

Z zasady większość z nas cierpiała na zespół zaburzeń uwagi, a przynajmniej tak sobie żartowaliśmy. Potrafiliśmy się skupić, ale nie na długo, a czekanie było najgorsze. Walt nie dawał mi chwili wytchnienia. Nie udało mi się wytrwać do końca filmu.

Każdy z chłopaków miał własny sposób na to szaleństwo, gdy przychodził czas przygotowywania sprzętu. Sprawdzaliśmy wszystko do upadłego. Ja wymieniłem wszystkie baterie w noktowizorach i celownikach laserowych na nowe. Radio się ładowało. Wszystko było schludnie ułożone: buty i skarpety obok mundurów, kamizelka z dwiema płytami balistycznymi i kieszeniami na wyposażenie obok HK416 na końcu łóżka.

Nie śpieszyłem się, ale o północy – dla nas w porze lunchu – nie miałem już co robić, a wciąż musieliśmy czekać. Podczas takich przerw chodziliśmy na siłownię. Niektórzy goście przyrządzali kawę, nigdy jednak rozpuszczalną, zawsze z francuskiej prasy. Jeden z chłopaków kupił walizkę Pelicana z prasą, młynkiem i takim wyborem kaw, że Starbucks mógł się schować. Przyrządzenie jednego kubka trwało godzinę. Trzeba było zmielić ziarna i sprasować kawę. Z ogromną pieczołowitością gotowali wodę, by później siedzieć przy ogniu i sączyć aromatyczny napój. Wszystko to stanowiło część rytuału; czas spędzony na obsesyjnym parzeniu kawy oznaczał kilka minut mniej nerwowego wyczekiwania. Każdy rozwinął jakąś metodę zabijania czasu. Zostały dwa dni do rozpoczęcia misji – jeśli dostaniemy zgodę.

Następnego dnia poszedłem z Willem i dwoma innymi kumplami do hangaru, by spotkać się z zespołem pilotów. Współpracowaliśmy już z tymi

załogami 160. Pułku Lotniczego Operacji Specjalnych podczas prób przeprowadzonych na makiecie rezydencji.

Teddy, niski pięćdziesięciojednolatek z krótko przyciętymi włosami, który leciał za sterami Chalk One, stał przed wejściem do hangaru. Przeszliśmy się wokół Black Hawka i pokazaliśmy Willowi plan załadunku, po czym omówiliśmy kwestię sytuacji kryzysowych.

– Jak coś się pochrzani i będziemy lądować awaryjnie, zrobię wszystko, co się da, żeby posadzić maszynę na podwórzu po zachodniej stronie – powiedział Teddy.

Nazywaliśmy to miejsce podwórzem Echo – był to największy otwarty fragment terenu w granicach rezydencji. Jako doświadczony pilot, Teddy wiedział, że jeśli maszyna oberwie ogniem nieprzyjaciela lub dozna awarii, dziedziniec Echo zapewni mu największą szansę na bezpieczne lądowanie.

– Bez obaw – rzuciłem. – Nasz zespół zaliczył wystarczająco dużo kraks. Jeśli ktoś się tym razem rozbije, to na pewno Chalk Two.

Choć ja sam nigdy nie brałem udziału w wypadku, siedmiu z dwunastu SEALsów w moim transporcie już się kiedyś rozbiło. Tylko dwaj goście z Chalk Two mogli powiedzieć to samo. Żartowaliśmy, że w powietrzu utrzymają nas zasady prawdopodobieństwa.

Okienko czasowe na przeprowadzenie operacji było krótkie. Od przyszłego tygodnia natężenie światła w nocy miało wzrastać, co oznaczało, że optymalne warunki będziemy mieć ponownie dopiero za miesiąc. Ponadto na tak zaawansowanym etapie przygotowań z każdym dniem wzrastało zagrożenie przecieku. Przez ostatnie trzy tygodnie poświęcone głównie na planowanie liczba osób, które wiedziały o zbliżającej się akcji, drastycznie wzrosła.

JSOC zwiększał aktywność. McRaven znajdował się w Afganistanie, co samo w sobie nie było zaskakujące, ale wieści, że zmierza do Dżalalabadu, natychmiast wywołały poruszenie. Pułkownik Rangersów kierujący działaniami swoich sił z naszego centrum dowodzenia w Bagramie też został wtajemniczony. Każdego dnia coraz więcej ludzi wiedziało, co się święci.

W Waszyngtonie głównym zmartwieniem wydawała się wiara w doniesienia wywiadu. W przeciwieństwie do Jen tamtejsi analitycy dawali tylko sześćdziesiąt procent szans, że bin Laden znajduje się na terenie rezydencji.

Oczywiście operatorzy w Afganistanie nie byli świadomi zgryzot decydentów w stolicy. Codziennie mieliśmy spotkania informacyjne, a drony obserwowały cel. Musieliśmy za to walczyć z „pomysłową wróżką", która w mniejszym czy większym stopniu dawała nam się we znaki przed każdą misją. Zazwyczaj pojawiała się wtedy, gdy góra miała za dużo czasu do dyspozycji. Oficerowie i osoby odpowiedzialne za planowanie zaczynały wówczas wymyślać absolutnie nierealne scenariusze.

– Teraz każą nam zabrać megafon, żebyśmy w razie czego mogli zapanować nad tłumem – poinformował nas dowódca zespołu, który odpowiadał za zabezpieczenie rezydencji z zewnątrz. – Genialne. Mniej więcej na tym poziomie co koguty policyjne.

Wcześniej dowództwo wpadło na pomysł, by wziąć jeden z samochodów bin Ladena i zamontować na dachu kogut policyjny, tworząc pozory operacji policyjnej.

– Więc zapytałem: „Sir, ale jak to zrobimy? Popchamy to auto? Bo raczej nie będziemy mieć kluczyków" – opowiadał dowódca zespołu. – „A jak kierownica się zablokuje? No i który zespół miałby pchać samochód aż na

róg ulicy? Nie mówiąc o tym, że migające światło koguta skutecznie oznaczy naszą pozycję”.

– Jaki kolor mają policyjne koguty w Pakistanie? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia. Też próbowałem się tego dowiedzieć.

Następnie wdaliśmy się w półgodzinną dyskusję na temat ubioru Alego. Ali był tłumaczem przydzielonym przez CIA do zespołu zabezpieczającego. Mówił językiem pasztuńskim, rozpowszechnionym na tym terenie.

– Pomysłowa wróżka chce, żeby poleciał na akcję w cywilu. Ma zająć pozycję między mną a strzelcem z karabinem maszynowym. Co za różnica, jak się ubierze, skoro my będziemy w mundurach?

Na szczęście logika zwyciężyła w obu przypadkach – nie musieliśmy brać kogutów, a Ali ubrał się w mundur.

Tego typu sytuacje zdarzały się za każdym razem, gdy planiści wgryzali się w szczegóły. CIA kazała nam zabrać ważącą prawie trzydzieści kilogramów skrzynkę, która blokowała sygnały telefonów komórkowych. Już mieliśmy problemy z obciążeniem, więc pomysł szybko umarł. Gdyby ktoś zwrócił nam cały ten czas, który poświęciliśmy na zwalczanie pomysłowej wróżki, prawdopodobnie odzyskalibyśmy kilka lat życia.

Drugiej nocy siedziałem przy palenisku, popijając świeżą kawę z Charliem i Waltem. Temat dnia: w którą część ciała lepiej nie postrzelić bin Ladena.

– Postarajcie się i nie walcie temu skurwielowi w twarz – powiedział Walt. – Wszyscy będą chcieli zobaczyć jego fotki.

– Jeśli w ciemności wychyli łeb, nie będę czekać, aż odpali bombę – stwierdził Charlie.

– To będą jedne z najczęściej oglądanych zdjęć w historii – poparłem Walta. – Po prostu chodzi o to, że lepiej strzelać w pierś.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– Akurat w twoim przypadku to proste – mierz wysoko, skoro ledwo sięgasz mu do klejnotów – rzuciłem w odpowiedzi.

Ustaliliśmy już, że w ekranizacji misji Elijah Wood dostanie rolę Walta, bo nasz kumpel na pewno nie był wyższy od hobbita.

Dowcipy o kręceniu filmu bez przerwy krążyły między chłopakami. Kto zagra kogo w holywoodzkiej wersji „Włóczni Neptuna”? Nikt nawet nie liczył na Brada Pitta czy George’a Clooneya. Za to rudowłosemu gościowi z naszego zespołu trafił się komik o ksywce Carrot Top. Przynajmniej Walt dostał Frodo, a nie jakiegoś podrzędnego aktorzynę.

– Wiecie, że jeśli to wypali, zdobędziemy dla Jaya jego gwiazdkę? – rzuciłem.

Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że dla oficerów takich jak Jay ten szturm mógł się okazać odskocznią do błyskotliwej kariery. Sukces prawdopodobnie oznaczałby, że któregoś dnia Jay zostanie admirałem. Dla podoficerów takich jak my nie miał on większego znaczenia – ot, była to po prostu kolejna operacja.

– I jeszcze zapewnimy Obamie reelekcję – dodał Walt. – Już widzę, jak opowiada, że to on załatwił bin Ladena.

Byliśmy świadkami podobnej sytuacji, kiedy Obama przypisał sobie zasługi za oswobodzenie kapitana Phillipsa. Choć w przypadku tamtej akcji przyklasnęliśmy decyzjom góry, nikt nie miał wątpliwości, że Obama zgarnie całą polityczną chwałę.

Wiedzieliśmy jednak, że ta sprawa przerasta zarówno nas, jak i politykę. I mimo że to nie my, a oficerowie i politycy mieli na niej skorzystać, nie

czuliśmy zniechęcenia. Taka była kolej rzeczy. Jedyną nagrodę stanowił dla nas sukces misji i nikt nie mógł tego zmienić.

Przed świtem ogień w palenisku przygasł, więc poszliśmy się kilka godzin przespać. Ponieważ przeprowadzaliśmy operacje w nocy, za dnia większość ludzi w bazie JSOC-u spała.

Łyknąłem dwa Ambieny. Nikt nie potrafił zasnąć bez tabletek. Chociaż bardzo się staraliśmy, żeby traktować tę misję tak jak każdą inną, podświadomość mówiła nam co innego. Minęły dopiero dwa dni, a ja miałem wrażenie, że czekamy na decyzję od miesięcy.

Trzeci dzień miał być „godziną zero”, ale zachmurzenie opóźniło wylot. Nic wielkiego, zawsze zdarzały się małe poślizgi, więc nie zaskoczyła nas ta sytuacja. Opóźnienie było lepsze od zaniechania misji. McRaven chciał mieć pewność, że drony będą obserwować rezydencję bin Ladena w czasie naszego przelotu, a chmury to uniemożliwiały.

Codzienne odprawy odbywały się w długiej, wąskiej sali. Przez środek jak w kościele biegły drewniane, ręcznie ociosane ławki, a z przodu stały płaskie telewizory do wyświetlania prezentacji z PowerPointa, przekazów z dronów i zdjęć satelitarnych.

Na dzisiejszej odprawie nie było gdzie szpilki włożyć. Siedziałem niedaleko Charliego na ławce w tylnej części sali. Widziałem kilku SEALsów z innego zespołu, którzy stłoczyli się przy modelu rezydencji. Z jakichś powodów nawet po tak długim czasie model wciąż domagał się naszej uwagi. Oglądaliśmy go wnikliwie przed odprawą. Niesamowite, jak potrafił człowieka oczarować i na długo przykuć uwagę.

Część odprawy dotyczyła hipotetycznej sytuacji kryzysowej, w której Pakistańczycy zdołali ująć naszych chłopaków.

Prezydent dał nam zielone światło w kwestii samoobrony, nawet jeśli będzie to oznaczało konieczność związania walką pakistańskiej armii. Wlatywaliśmy głęboko na teren Pakistanu i potrzebowaliśmy dobrej wymówki, na wypadek gdyby nas zatrzymano.

– Dobra, chłopaki – odezwał się oficer. – Słuchajcie, co wymyślili. Tak naprawdę dostaliśmy zadanie odnalezienia strąconej platformy ISR.

Platformą ISR nazywaliśmy w języku wojskowym drona. Mieliśmy wmówić pakistańskim śledczym, że Stany Zjednoczone straciły drona.

Cała sala parsknęła śmiechem.

– Naprawdę nie wymyślili nic lepszego? – zapytał ktoś z tyłu. – Może na wszelki wypadek niech nam dadzą megafon i syrenę policyjną.

Ta historyjka brzmiała niedorzecznie. Na papierze Pakistan był sojusznikiem Stanów Zjednoczonych; gdybyśmy stracili jeden z dronów, Departament Stanu zwróciłby się bezpośrednio do pakistańskiego rządu, żeby odzyskać maszynę. Nasza wersja wydarzeń nie miała sensu i bardzo trudno byłoby przy niej wytrwać podczas wielogodzinnego przesłuchania.

Przynajmniej mogliśmy się pośmiać. Może góra pomyślała, że odrobina humoru pomoże nam przetrwać ciężkie chwile? Gdyby naprawdę ktoś wpadł, żadna historyjka raczej nie ukryłaby faktu, że dwudziestu dwóch SEALsów – każdy obładowany prawie trzydziestoma kilogramami najnowocześniejszego sprzętu – specjalista EOD, tłumacz i pies przeprowadzają szturm na podmiejską dzielnicę kilka kilometrów od pakistańskiej akademii wojskowej.

Pod koniec odprawy do sali wszedł dowódca DEVGRU, kapitan z siwym wąsem, który stracił nogę w wypadku spadochronowym. Kiedy zmierzał na koniec sali, prawie nie zwracałem uwagi na delikatne kuśtykanie spowodowane protezą.

Oficer prowadzący odprawę stopił się z tłem, gdy dowódca stanął na przedzie. Śmiechy i narzekania na niedorzeczną „przykrywkę” zamarły i na sali zapadła cisza.

– Dobra, chłopaki. Przed chwilą gadałem przez telefon z McRavenem. Omówili sprawę z prezydentem. Jest zgoda. Wylatujemy jutro wieczorem.

Nie odpowiedziały mu wiwaty, nikt nie przybijał piątek. Zerknąłem na gości siedzących wokół mnie na ławkach. Na chłopaków, z którymi pracowałem ramię w ramię od lat.

O cholera, pomyślałem. Nie sądziłem, że naprawdę to zrobimy.

Koniec z odprawami.

Koniec z pomysłową wróżką.

Przede wszystkim jednak – koniec wyczekiwania.

ROZDZIAŁ 12

Godzina zero

Nie mogłem zasnąć.

Przez kilka ostatnich godzin próbowałem wygodnie się ułożyć, ale nie potrafiłem odnaleźć spokoju – ani na twardym materacu, ani we własnej głowie. Nadszedł dzień ataku i nie dało się dłużej udawać, że to tylko kolejna misja.

Odsunąwszy poncho, które blokowało dostęp światła, zwiesiłem nogi z łóżka i przetarłem oczy. Po trzech dniach usilnych starań, by odepchnąć od siebie myśli o akcji, nie mogłem dłużej powstrzymywać ich natłoku. Cały czas miałem świadomość, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za niespełna dwanaście godzin zjedziemy po linach na teren rezydencji bin Ladena w Pakistanie.

Nie czułem się zmęczony, ale jedyny dowód, że spałem, stanowiło opakowanie po tabletkach Ambienu i plastikowe butelki z moczem. Ponieważ mieszkaliśmy w tymczasowych domkach, oddalonych od toalet chyba o dwieście metrów, zostawialiśmy sobie puste butelki po wodzie i napojach Gatorade, żeby się do nich odcedzać. Standardowa procedura.

Włączaliśmy w nocy lampki i sikaliśmy, nawet się całkowicie nie wybudzając.

Fizycznie czułem się wypoczęty, ale mój umysł pracował na podwyższonych obrotach. Byłem spięty. Taktyka „śpiesz się powoli” zaczynała działać mi na nerwy. Wszyscy cieszyliśmy się, że czekanie wreszcie dobiegło końca.

Starając się nie pobudzić kumpli, którzy wciąż spali głębokim snem, ześliznąłem się z łóżka i ubrałem. Z innych pokojów dolatywało niewyraźne chrapanie. Chwyciwszy okulary przeciwsłoneczne, wyszedłem z domku prosto w afgańskie słońce. Oberwałem nim jak młotem – jakbym wyszedł z kasyna w Vegas po całonocnym graniu.

Potrzebowałem chwili, żeby przyzwyczaić się do światła, ale już wkrótce późnopopołudniowe słońce przyjemnie ogrzewało mi twarz i ramiona. Ruszając w stronę stołówki, spojrzałem na zegarek. Dla tych z nas, którzy pracowali na nocnej zmianie, był poranek; dla całej reszty bazy – środek dnia pracy.

Zamiast muzyki w tle nieustannie odzywał się ryk przelatujących śmigłowców. Minęła mnie szambiarka, która właśnie opróżniła całą baterię toi toiów, a w powietrzu rozszedł się ostry, chemiczny zapach środka dezynfekującego.

Z pochyloną głową zmierzałem po żwirze chroniącym przed pyłem do bramy. Każda jednostka po przylocie zmieniała kod elektronicznego zamka. Wyszperałem z kieszeni świstek z kodem i, wciąż lekko otumaniony po Ambienie, wstukałem kombinację.

Nic z tego.

Potrzebowałem aż trzech prób, żeby się wydostać.

Byle do śniadania, pomyślałem.

Jakbym znowu trafił do Green Teamu. Wiedziałem, że gdy człowiek za bardzo skupia się na zadaniu, zaczyna pękać. Jedyny sposób przetrwania polegał na myśleniu o najbliższym posiłku, więc kilka godzin przed najważniejszą misją w karierze obchodziło mnie tylko śniadanie.

Sukces osiąga się małymi krokami.

W stołówce umyłem ręce pod strumieniem zimnej wody. Zapach tłustego, smażonego jedzenia był tak intensywny, że wsiąkał w ubranie, a na betonowych ścianach wciąż widniały świąteczne dekoracje. Większość miejsca na tablicy obok menu zajmował wyblakły plakat z lat siedemdziesiątych, przedstawiający cztery grupy pokarmowe.

Rozejrzałem się po długich bufetach ze stali nierdzewnej. Nad każdym z nich stał cywilny pracownik w fartuchu i czapce kucharskiej, który tylko czekał, by wrzucić mi na talerz łyżkę mamałygi lub stos plastrów bekonu.

Nic nie wyglądało smacznie. Bekon był rozmiękły i tłustszy od mięsa, ale potrzebowałem energii. Ruszyłem do grilla, gdzie ustawiła się krótka kolejka. Za blatem stał kucharz przygotowujący szybkie dania. Patrzyłem, jak nakłada gościowi przede mną maślany omlet złożony w tłuste paskudztwo.

– Jajecznica z czterech jajek – rzuciłem, gdy na mnie spojrzał. – Z serem i szynką.

Podczas gdy kucharz przygotowywał mój posiłek, wziąłem dwa tosty i owoce. Wybór był dokładnie taki sam na każdej zmianie: wielkie tace z niedojrzałymi ciemnopomarańczowymi melonami i zielonymi o niemal chemicznej barwie. Na poprzedniej rotacji widziałem w stołówce pudło z napisem: „TYLKO DLA WOJSKA I WIĘZIENNICTWA”.

To by się akurat zgadzało. Nikt nie idzie do wojska z powodu dobrej wyżerki.

Opiekłem dwie kromki w tosterze i nałożyłem na talerz parę plastrów ananasa – ananas zawsze jest bezpiecznym wyborem. Z powrotem przy grillu odebrałem swoją jajecznicę, a następnie nalałem sobie owsianki i dosypałem rodzynek do miski.

Spojrzałem w stronę stolików ustawionych w długie rzędy. Pomruk rozmów zmieszany z wiadomościami płynącymi z dużego telewizora wciśniętego w kąt tworzył jednostajny gwar. Zauważyłem kilku kolegów przy stoliku oddalonym od telewizora. Po drodze odłożyłem tacę, żeby nalać sobie kawy.

Ta stołówka była przeznaczona dla personelu JSOC-u, ale nie wszyscy słyszeli o misji.

Przyprawiając jajecznicę, wymamrotałem „cześć” do kolegów, wśród których siedzieli Charlie i Tom. Odpowiedzieli na powitanie, ale – podobnie jak ja – nie mieli ochoty na rozmowę. Lepiej czuliśmy się sami ze swoimi myślami.

– Jak spaliście? – zapytałem po chwili.

– Chujowo – odparł Charlie.

– Łyknąłeś przed snem Ambien?

– Nawet dwa.

– Spróbuj spojrzeć na dobre strony tej sytuacji – przynajmniej możemy się delektować cudownym śniadaniem, jakby obsługiwali nas co najmniej w Del Coronado.

Hotel Del Coronado był jednym z najstarszych ośrodków wypoczynkowych Zachodniego Wybrzeża, całkiem niedaleko od miejsca, gdzie przechodziliśmy kurs BUD/S.

– Ta – mruknął Charlie. – Mógłbyś się bardziej postarać.

Chciałem ich tylko rozbawić, ale najwyraźniej pora nie sprzyjała żartom. Charlie zawsze wyszydzał moje dowcipy. Wiem, że były denne, ale w tym tkwił cały ich urok.

Nie rozmawialiśmy o domu ani o misji. Wszyscy wszystko wiedzieli, o czym tu gadać? Jedzenie nam nie smakowało, choć raczej nie świadczyły o tym puste talerze po posiłku.

Wątpię, czy ktokolwiek z nas zwracał uwagę na smak. Traktowaliśmy żarcie jako paliwo na później. Po jajecznicy i owocach wmusiłem w siebie miskę owsianki z rodzynkami i szklankę soku pomarańczowego. Gdy wracałem do domku, byłem pełny. Nie miałem pojęcia, kiedy zjem następny posiłek.

W pokoju wciąż panowała cisza. Niektórzy z moich kolegów starali się spać do ostatniej chwili, ale ja byłem zbyt pobudzony. Chwyciłem szczoteczkę do zębów i butelkę z wodą – uważając, żeby przez przypadek nie wziąć tej z moczem – i wyszedłem na gruby żwir za domkiem. Wyszorowałem zęby, spluwając na ziemię.

Śniadanie – odhaczone.

Mycie zębów – odhaczone.

Wróciłem do pokoju i wcisnąłem szczoteczkę do plecaka.

Rozłożyłem swój mundur, Crye Precision Desert Digital. Zaprojektowany jako koszula z długimi rękawami i bojówki, był wyposażony w dziesięć kieszeni o różnym przeznaczeniu. Koszulę nosiło się pod kamizelką kuloodporną. Rękawy i ramiona zostały uszyte z materiału z pustynnym wzorem kamuflażowym, a korpus z jasnobrązowego lekkiego materiału, który absorbował pot. Ja odciąłem rękawy, bo było mi w nich za gorąco.

Usiadłem na łóżku i zacząłem się przebierać. Nic, co robiłem od momentu, gdy zacząłem wkładać spodnie, nie było przypadkowe.

Każdy krok wynikał z drobiazgowego planu.

Każdy pozwalał mi się skupić i upewnić, że niczego nie zapomniałem.

Powtarzałem je w tej samej kolejności przed wszystkimi misjami.

Zanim wciągnąłem na siebie spodnie, sprawdziłem zawartość kieszeni.

W jednej nosiłem rękawiczki bojowe i dodatkową, skórzaną parę, której używałem do zjazdów po linie; w drugiej zapasowe baterie, żel energetyczny i dwa batoniki. W kieszonce przy prawej kostce znajdowała się opaska zaciskowa, a przy lewej lateksowe rękawiczki i zestaw SSE do zabezpieczania danych znalezionych przy zatrzymanych.

W kieszeni na lewym ramieniu miałem gotówkę – dwieście dolarów na wypadek, gdybym został zdemaskowany i musiał kogoś przekupić lub zapłacić za transport. Ucieczka wymaga nakładów finansowych, a mało która waluta działa tak skutecznie jak amerykańskie dolary. Do kieszeni na prawym ramieniu chowałem idiot-kamerę Olympus, a na tyle paska od spodni przypinałem nóż o stałej klindze firmy Daniel Winkler.

Wepchnąłem bluzę do spodni i podniosłem kamizelkę, żeby jeszcze raz się jej przyjrzeć. Ceramiczne płyty balistyczne chroniły najważniejsze organy zarówno od strony piersi, jak i pleców. Po obu stronach przedniej płyty zamontowałem radiostacje, między którymi nosiłem magazynki do karabinu HK416 i granat odłamkowy wielkości piłki do baseballa. Miałem też kilka świateł chemicznych, łącznie z wersją podczerwoną, którą widać tylko w noktowizorze. Wystarczyło przełamać tubkę i rzucić ją w odpowiednie miejsce. Światło nie było widoczne gołym okiem, ale koledzy z zespołu wiedzieli, że pomieszczenie czy obszar są zabezpieczone.

Szczypce do prętów nosiłem w torbie na plecach – oba uchwyty wystawały nieco nad moje ramiona. Przez taśmy na plecach kamizelki poprowadziłem dwie anteny od radiostacji.

Przeciągając rękami po kamizelce, dla pewności szarpnąłem za ładunek do wejść siłowych, który przymocowałem do jej tylnej części gumkami. Następnie skupiłem się na hełmie. Nawet z noktowizorem ważył niecałe pięć kilogramów. Oficjalnie potrafił zatrzymać dziewięciomilimetrową kulę, choć zdarzało się, że ratował chłopaków przed strzałami z kałasznikowa. Włączyłem latarkę zainstalowaną na prawej szynie montażowej – najnowszy model z Princeton Tec. Używałem go na poprzedniej zmianie.

Założyłem hełm i naciągnąłem na oczy gogle noktowizyjne, w skrócie NVG. W przeciwieństwie do wielu innych jednostek korzystaliśmy z panoramicznych gogli wyposażonych w cztery przetworniki zamiast standardowych dwóch; cztery zapewniały pole widzenia aż stu dwudziestu stopni, a nie tylko czterdziestu. W standardowych goglach człowiek miał wrażenie, że patrzy przez rolkę po papierze toaletowym. Nasze pozwalały łatwiej czyścić kąty i zapewniały większą świadomość sytuacyjną. Gdy włączyłem tę zabawkę za sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów, pomieszczenie skąpał zielonkawy blask. Po kilku korektach widziałem meble wyraźnie jak w świetle dnia.

W końcu podniosłem karabin. Przycisnąwszy kolbę do ramienia, włączyłem celownik EOTech. Za nim znajdował się dodatkowy powiększalnik o trzykrotnym powiększeniu, który pozwalał mi celniej strzelać za dnia. Zwróciłem karabin w stronę ściany przy łóżku, by przetestować czerwony laser, który był widoczny gołym okiem, a następnie włączyłem noktowizor i sprawdziłem wskaźnik z laserem podczerwonym.

Odciągnąłem rączkę zamkową, by załadować nabój do komory i trzymając ją otwartą, zajrzałem do środka, by sprawdzić, czy trafił na swoje miejsce. Następnie upewniłem się, że broń jest zabezpieczona i dopiero wtedy oparłem ją o ścianę.

Mój sprzęt był gotowy, więc wyjąłem z kieszonki na piersi niewielką zalaminowaną książeczkę – ściągawkę z planu misji – by jeszcze raz ją przejrzeć.

Na pierwszej stronie znajdowała się mapka ze współrzędnymi w postaci widoku z lotu ptaka na rezydencję. Najważniejsze obszary były opisane, a budynki ponumerowane. Wszyscy pracowali na tych samych współrzędnych – od pilotów śmigłowców poprzez siły szybkiego reagowania aż po ludzi w centrum operacyjnym.

Na następnej stronie widniała lista częstotliwości radiowych, a w ostatniej sekcji – nazwiska i zdjęcia osób, których spodziewaliśmy się w rezydencji. Przyjrzałem się uważnie fotografiom braci al-Kuwaiti, więcej czasu poświęcając Ahmedowi, bo to on mieszkał w C1. Każda strona zawierała nie tylko zdjęcia, ale także kluczowe informacje takie jak wzrost, waga czy znane pseudonimy. Z ostatniej strony patrzyło na mnie zdjęcie bin Ladena razem z kilkoma symulacjami jego obecnego wyglądu, a także jego syna.

Ubrany w mundur i z przygotowanym wyposażeniem, naciągnąłem na stopy lekkie buty trekkingowe Salomon Quest. Były nieco masywniejsze od terenowych butów do biegania przed kostkę, które nosili moi kumple z zespołu, ale upierałem się przy nich, bo chroniły moje dziecięce kostki. Skręcałem je z niepokojącą regularnością. Wspinałem się w tych butach po górach w prowincji Kunar i patrolowałem irackie pustynie. Każdy element mojego sprzętu został sprawdzony na wielu misjach – wiedziałem, że nic mnie nie zawiedzie.

Gdy sznurowałem buty, nagle uderzyła mnie pewna myśl: a jeśli robię to po raz ostatni? Zamierzaliśmy dokonać czegoś ważnego i bardzo się staraliśmy, żeby wypchnąć historię z głów. W założeniu czekała nas po prostu kolejna akcja – szturm na dom i pojmanie lub zabicie celu. Nie miało dla mnie znaczenia, o kogo chodzi, kiedy jednak wiązałem buty, pomyślałem, że może to nieprawda – może jednak miało? Nie dało się uciec przed takimi myślami, a ja tylko chciałem, żeby podczas misji nie rozwiązały mi się sznurówki.

Przez ostatnią godzinę zajmowałem się drobiazgami. Wszystko musiało być w idealnym porządku. Zawiązałem sznurówki na podwójną pętlę i wepchnąłem je w buty. Pośrodku pokoju uniosłem prawie trzydziestokilogramową kamizelkę i nałożyłem przez głowę na ramiona. Zaciągnąłem paski, praktycznie zamykając swoje ciało między płytami balistycznymi. Sprawdziłem szybko, czy sięgam do każdej kieszeni – podnosząc ręce nad głowę, mogłem złapać za uchwyty szczypców – i dotknąłem ładunku nad lewym ramieniem.

Podłączyłem anteny do radia i założyłem radiotelefon kostny, przylegający do kości policzkowych. Dzięki technologii przewodzenia kostnego pozwalał mi on słyszeć wszelką aktywność radiową. Na wszelki wypadek miałem też słuchawkę douszną eliminującą odgłosy otoczenia, która emitowała dźwięk prosto do kanału usznego.

W prawym uchu odbierałem łączność na poziomie taktycznym – służyła ona do komunikacji między członkami zespołu; w lewym sieć operacyjną, dzięki której mogłem się porozumiewać z innymi dowódcami zespołów i centrum dowodzenia.

Jako dowódca zespołu potrzebowałem obu sieci, ale w rzeczywistości nie spodziewaliśmy się dużego ruchu na kanale operacyjnym. Tylko oficerowie

rozmawiali przez radio satelitarne – komunikacja miała się odbywać w większości poprzez sieć oddziału.

Odhaczyłem wszystkie punkty przygotowania i jeszcze raz rozejrzałem się po pokoju, czy niczego nie zapomniałem, po czym wyszedłem przed domek.

* * *

Słońce chyliło się ku zachodowi. Zewsząd dolatywały hałasy przygotowań. Mało kto rozmawiał, ale chłopaki krzątali się po domku, sprawdzając sprzęt i pakując torby. Raz po raz drzwi uderzały o framugę, gdy jeden z nich wychodził na zewnątrz.

Mieliśmy wyznaczoną zbiórkę przy palenisku za kilka minut. Kiedy szedłem w tamtą stronę, usłyszałem jakąś metalową kapelę drącą się z głośników. Dołączyłem do zespołu, by zaczekać na pojawienie się McRavena, który poprosił nas o chwilę uwagi przed misją.

– Gotowy? – zapytałem Willa.

Kiwnął głową.

Rozglądając się, dostrzegłem Walta, Charliego i kilku innych chłopaków czekających w swoich zespołach. Zaledwie kilka godzin temu cieszyliśmy się swoim towarzystwem i żartowaliśmy, kto zagra kogo w ekranizacji misji. Teraz wszyscy byli poważni.

McRaven pojawił się bez fanfar. Zebraliśmy się wokół niego.

Jego przemowa dotyczyła poziomu strategicznego misji, bo na ten temat rozmawiało mu się swobodniej. Nie powiedział jednak nic, co szczególnie zapadłoby mi w pamięć – byłem zbyt skupiony na nadchodzących wydarzeniach. Gdy tylko odszedł, dostaliśmy sygnał, że możemy wyruszać.

– Wszyscy, którzy lecą w Black Hawkach, jadą autobusami jeden i dwa – poinformował nas facet z logistyki. – Autobusy trzy i cztery są przeznaczone dla pasażerów czterdziestek siódemek.

Autobusy czekały z zapalonymi silnikami. Wszedłem do środka i znalazłem wolne miejsce gdzieś pośrodku. Will wcisnął się obok mnie. Maszyna była stara i brudna, a winylowe siedzenia powycierane przez lata przewożenia żołnierzy w pełnym rynsztunku.

Nie tyle jechaliśmy, co toczyliśmy się na lotnisko. Amortyzatory były zużyte od dodatkowego obciążenia, więc czuliśmy w nogach i plecach każdy wybój. Dotarliśmy na miejsce w kilka minut, choć wydawało się, że jazda trwała znacznie dłużej.

Zobaczyłem ogromne reflektory skierowane na zewnątrz od strony hangaru, w którym czekały Black Hawki. Wyglądało to trochę jak po wybuchu gwiazdy – tak jasnym, że nic nie widziałem wewnątrz oślepiającej kuli światła. Gdy wyszliśmy z autobusu za ogrodzenie otaczające hangar, w tle szumiał generator.

Załogi śmigłowców przeprowadzały ostatnie kontrole. Hałas wirników uniemożliwiał rozmowę. Przemknąłem do ogrodzenia, żeby przed lotem ostatni raz się odlać. Gdy śmigłowce były gotowe, gość z obsługi otworzył bramę, a maszyny wytoczyły się na zewnątrz.

Skinąłem głową do chłopaków z Chalk Two i przesłałem im szeroki uśmiech razem z pozdrowieniem środkowego palca. Rozeszliśmy się w ciszy – słowa i tak zginęłyby w hałasie wirników, a gesty przekazywały dokładnie to samo:

Do zobaczenia na ziemi.

Co innego moglibyśmy powiedzieć?

Ustawiliśmy się po obu stronach śmigłowców. Rzuciłem okiem na zegarek: jeszcze dziesięć minut. Położyłem się przy pasie startowym, oparłem głowę o hełm i spojrzałem w gwiazdy, żeby się zrelaksować. W końcu szef załogi dał sygnał, że możemy wsiadać.

Byłem jednym z ostatnich, którzy wchodzili na pokład, bo jako pierwszy miałem zjechać po linie. Gdy wszyscy zajęli miejsca, dla mnie został tylko skrawek przestrzeni tuż przy drzwiach, obok Walta i snajpera, który miał nas osłaniać podczas zjazdu. Ledwie zmieściłem w środku swój tyłek. Sprawdziłem dla pewności, czy mój karabin jest zabezpieczony – ostania rzecz, jakiej człowiek mógłby sobie życzyć w napakowanym po brzegi śmigłowcu, to przypadkowe odbezpieczenie broni.

Położyłem sobie hełm na kolanach, żeby nie uszkodzić w czasie lotu gogli noktowizyjnych. Uniesione, wyglądały na hełmie niczym poroże.

Drzwi się zamknęły, a śmigłowiec uniósł z płyty lotniska i zawisł w powietrzu, ale tylko na moment, po czym znów opadł. Dopiero po chwili, dokładnie o wyznaczonym czasie, wyrwał naprzód. Czułem, jak dziób Black Hawka pochyla się, gdy nabieraliśmy prędkości. Za lotniskiem skręcił na prawo, w stronę granicy.

W kabinie było ciemno i tłoczno. Za każdym razem, gdy Walt zmieniał pozycję, jego kolana wbijały mi się w plecy. Radio milczało. Widziałem lekki blask bijący od kontrolek na kokpicie, ale za oknem panowały grobowe ciemności.

Mniej więcej kwadrans po wylocie w sieci oddziału zatrzeszczał pierwszy komunikat:

– Przekraczamy granicę.

Zdaje się, że naprawdę to zrobimy, pomyślałem.

* * *

Głowa zaczęła mi się chwiać od senności. W miarę jak zbliżaliśmy się do Abbottabadu, coraz częściej słyszałem w radiu kryptonimy poszczególnych punktów kontrolnych, ale za każdym razem zapadałem w lekką drzemkę.

– Dziesięć minut.

Dopiero te słowa pozwoliły mi się otrząsnąć. Przetarłem oczy i poruszałem palcami stóp, żeby przywrócić w nich krążenie. Musiałem spać dłużej, niż mi się wydawało, tak szybko zleciał mi czas. Myślę, że większość chłopaków lecących w śmigłowcu zdrzemnęła się przed akcją. Sen był dla nas bardzo ważny.

– Sześć minut.

Całe pobudzenie znikło; teraz była to tylko kolejna misja niczym nie różniąca się od poprzednich. Założyłem i zapiąłem hełm pod brodą. Naciągając gogle na oczy, upewniłem się, że widzę wszystko wyraźnie, po czym skróciłem pas nośny karabinu, żeby nie zwisał luźno, gdy będę zjeżdżać na podwórze. Ostatni raz sprawdziłem położenie bezpiecznika. W kabinie było ciemno, ale wiedziałem, że moi kumple wykonują te same czynności.

– Minuta.

Szef załogi otworzył drzwi, a ja przesunąłem na miejsce drążek systemu FRIES[27], który obciążał linę, pozwalając jej opaść bez przeszkód na ziemię. Jako mocowanie służył kołek u podstawy. Przeciągnąłem po nim ręką, by się upewnić, że jest na swoim miejscu. Szef załogi zrobił to samo. Szarpnąłem za linę porządnie – była sprawna i bezpieczna – po czym zwiesiłem nogi ze śmigłowca.

Złapałem za linę i wychyliłem się najmocniej, jak mogłem, żeby zobaczyć teren przed nami. Domy, nad którymi przelatywaliśmy, miały

oświetlone baseny i zadbane ogrody otoczone wysokimi kamiennymi murami. Na poprzednich zmianach przyzwyczaiłem się do widoku gór albo wiosek złożonych w całości z lepianek; Abbottabad z powietrza przypominał bardziej przedmieścia gdzieś w Stanach Zjednoczonych.

Wreszcie udało mi się dostrzec rezydencję bin Ladena. Lot z Dżalalabadu trwał około dziewięćdziesięciu minut, co oznaczało, że na miejscu znajdziemy się grubo po północy. Było ciemno, a w okolicznych domach nie paliły się żadne światła, jakby w całym kwartale zabrakło prądu – co zresztą w tym obszarze zdarzało się stosunkowo często.

Dźwięk silników zmieniał się, kiedy śmigłowiec przechodził z lotu do zawisu. Gdy tylko zatrzymaliśmy się nad wyznaczonym punktem lądowania, mogłem zrzucić linę, ale maszyna była niespokojna, jakby piloci mieli trudności z utrzymaniem pozycji. Siłowali się z śmigłowcem, próbując zmusić go do współpracy. Przeniosłem wzrok z ziemi na szefa załogi i czekałem, aż znów znajdziemy się na pozycji, żeby w końcu rzucić linę.

Dalej, dalej, dalej, powtarzałem w głowie.

Podczas ćwiczeń piloci ani razu nie mieli problemów z utrzymaniem zawisu. Coś było nie w porządku, a tymczasem my desperacko chcieliśmy dostać się na ziemię.

– Zawracamy – usłyszałem w sieci łączności zespołu.

Cholera, nawet nie postawiliśmy stóp na ziemi, a już musimy przechodzić do planu B.

Nagle śmigłowiec skręcił gwałtownie w prawo, a ja poczułem ucisk w żołądku, jakbym jechał w wagoniku kolejki górskiej. Wirniki darły się przeraźliwie, kiedy Black Hawk próbował wdrapać się z powrotem

w powietrze. Z każdą sekundą śmigłowiec zbliżał się jednak do ziemi, a ja ze swojej strony widziałem, jak rezydencja mknie ku otwartym drzwiom.

Nie mogłem znaleźć żadnego uchwytu, by podciągnąć się z powrotem do kabiny. Za mną tłoczyli się kumple z zespołu, gotowi do zjazdu na linie. Wtedy poczułem, jak Walt łapie mnie za kamizelkę i wciąga do środka. Drugą ręką trzymał się snajpera obok mnie. Odchyliłem się z całych sił, kopiąc nogami powietrze. Zdawałem sobie sprawę, że przy upadku kadłub śmigłowca może mi je zaklinować, a nawet odciąć.

Im bliżej byliśmy ziemi, tym większy ogarniał mnie gniew. Każdy z chłopaków lecących w Chalk One poświęcił tak wiele podczas swojej kariery, żeby dotrzeć do tego punktu. Wszyscy uważaliśmy się za cholernych szczęściarzy, że to właśnie my zostaliśmy wybrani, a teraz mieliśmy zginąć jeszcze przed odegraniem swojej roli.

Kurwa, kurwa, kurwa, myślałem. To będzie bolało.

ROZDZIAŁ 13

Podejście

Całe moje ciało było spięte, a mięśnie brzucha krzyczały z bólu, kiedy przyciągnąłem kolana do piersi.

Jedyne co widziałem to ziemię zbliżającą się do mnie przez otwarte drzwi. Śmigłowce to nie samoloty i nie szybują przed kraksą – kiedy taka maszyna przestaje działać, spada jak kamień, a gdy uderza o podłoże, łopaty wirnika pękają, posyłając na wszystkie strony odłamki i gruz. Siedząc w wielkich, otwartych drzwiach, obawiałem się, że podczas koziołkowania kadłub po prostu mnie zgniecie.

Czułem, jak Walt szarpie za moją kamizelkę, by wciągnąć mnie głębiej do kabiny, ale bez względu na to, jak bardzo podkurczałem nogi, one ciągle wystawały na zewnątrz. Snajper siedzący obok mnie utknął z jedną nogą na zewnątrz, a drugą w środku.

Trudno opisać, co się dzieje w głowie człowieka, który spada w śmigłowcu. Chyba do końca nie rozumiałem sytuacji. Nagle naszła mnie taka dziwaczna myśl, że wystarczy zostać w drzwiach, jak postać z kreskówki – dom wali się wokół niej, ale ona przeżywa, bo w ostatniej

chwili otworzyła drzwi. Przez ułamek sekundy myślałem, że gdy maszyna uderzy w ziemię i zacznie się toczyć, wyląduję szczęśliwie w drzwiach bez jednego zadrapania.

Przemknął obok nas mur otaczający rezydencję bin Ladena.

Gdy śmigłowiec obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, wirnik ogonowy niemal dotknął ściany. Poczułem, jak strach ściska mnie w piersi; nad niczym nie panowałem i chyba to przerażało mnie najbardziej. Zawsze zakładałem, że zginę w strzelaninie, a nie w katastrofie lotniczej. Wszyscy byliśmy przyzwyczajeni, że przed akcją staramy się przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Znaliśmy zagrożenia tej pracy; dokonywaliśmy na chłodno kalkulacji i ufaliśmy swojemu wyszkoleniu, a teraz, uchwyceni czego popadnie, nie mogliśmy zrobić nic.

Na parę sekund przed uderzeniem poczułem, że dziób nurkuje. Wstrzymałem oddech. Black Hawk zadrżał, a dziób wbił się w ziemię miękko jak rzutka do tarczy. W jednej chwili świat pędził w moją stronę, a w następnej po prostu się zatrzymał – tak szybko, że nawet nie poczułem wstrząsu.

Łopaty wirnika nie popękały; młóciły błotniste podwórze, wzbijając w powietrze rozszalałą chmurę pyłu i kamieni.

Wypuściłem powietrze z płuc i zamrugałem gwałtownie, by pozbyć się z oczu kurzu. Mrużąc powieki przed nawałnicą kamyków, zdałem sobie sprawę, że zawisnęliśmy prawie dwa metry nad ziemią pod dość stromym kątem.

– Wypierdalaj! – wrzasnął Walt, wypychając mnie na zewnątrz.

Wyskoczyłem z kabiny i wylądowałem w półprzysiadzie na podwórzu. Mimo że miałem na sobie trzydzieści kilogramów sprzętu, nie poczułem obciążenia ani wstrząsu. Nie patrząc za siebie, odbiegłem od śmigłowca

niczym olimpijski sprinter. Dopiero w odległości jakichś trzydziestu metrów odwróciłem się i po raz pierwszy zobaczyłem wrak.

Spadając, maszyna zahaczyła o wysoki na trzy i pół metra mur i wsparła się o niego ogonem, co uchroniło wirniki przed połamaniem. Gdyby to inny element Black Hawka uderzył w ścianę albo gdybyśmy się przechylili i łopaty wirnika jako pierwsze dotknęły ziemi, żaden z nas prawdopodobnie nie wyszedłby z kraksy bez szwanku. Teddy i drugi pilot w jakiś sposób dokonali niemożliwego.

Patrzyłem, jak moi koledzy z zespołu wyskakują z Black Hawka i przebiegają pod pochyloną maszyną.

Podobnie jak oni z czasem nabrałem wprawy w dystansowaniu się wobec stresujących sytuacji, a teraz musiałem szybko zapomnieć o kraksie. Dwie minuty temu byłem wściekły, że wylądujemy poza murami rezydencji, ale teraz cieszyłem się, że żyjemy i mimo wszystko dostaliśmy się na podwórze. Choć ledwo uniknęliśmy katastrofy, nasze zadanie się nie zmieniło.

Moi kumple biegli już w stronę bramy prowadzącej do głównej części rezydencji. Musiałem wziąć się w garść. Gdyby Charlie i Walt zobaczyli, jak stoję bezczynnie, podczas gdy oni przesuwają się na pozycje, nie daliby mi później żyć.

Bazując na zużyciu paliwa przez śmigłowce i przewidywanym czasie reakcji sił pakistańskich, wyznaczyliśmy sobie trzydzieści minut na przeprowadzenie akcji. W zapasie mieliśmy jednak dodatkowe dziesięć minut, tak na wszelki wypadek. Gdy biegłem w stronę wraku, doszedłem do wniosku, że te dziesięć minut bardzo się nam przyda.

Śmigłowiec wsparł się o mur w taki sposób, że nie miałem miejsca, by przejść przed dziobem. Było ciemno i nawet w goglach noktowizyjnych nie

widziałem, jak wysoko kręci się wirnik. Żeby dostać się do rezydencji, musiałem przebiec pod maszyną.

– Wysadzam bramę – usłyszałem w sieci radiowej oddziału. Widziałem, jak Charlie zakłada ładunek na bramę głównej części rezydencji.

Pochyliwszy głowę, pognałem w stronę wraku i przebiegłem pod ogonem blisko ściany. Na moment owiało mnie gorące powietrze z silników, jak z gigantycznej suszarki.

Wokół Charliego stali goście z bronią, którzy zapewniali mu bezpieczeństwo.

Ruszyłem do domku modlitewnego przy bramie, by upewnić się, że jest czysty. Sporą otwartą przestrzeń zajmowały grube dywany i poduszki ułożone wzdłuż ścian. Nasi analitycy wywiadu twierdzili, że pomieszczenie prawdopodobnie służyło do przyjmowania gości, choć zdarzało się to rzadko. Wyjąłem podczerwone światło chemiczne i rzuciłem je pod drzwi, by kumple z zespołu wiedzieli, że pokój został zabezpieczony.

Na zewnątrz Charlie wciąż sprawdzał ładunek. Chciał być pewien, że wybuch nie rani odłamkami jednego z naszych. Zobaczyłem krótki błysk, gdy wcisnął detonator i odtoczył się zręcznie na bok, tak jak robił to tysiące razy.

Pochyliliśmy głowy, by chronić oczy. Nikt nie panikował, nikt nie był zdenerwowany. Znaleźliśmy się na ziemi i teraz tylko od nas zależało, czy misja zakończy się powodzeniem.

Fala uderzeniowa wyrwała w stalowej bramie dziurę. Charlie jako pierwszy przeszedł na drugą stronę. Kopnął i odciągnął uszkodzone skrzydło bramy, żeby wpuścić nas do środka. Kolejni goście przeciskali się do środka i rozbiegali do wyznaczonych celów. Pomimo kilku początkowych przeszkód, powróciliśmy do pierwotnego planu.

Gdy tylko zabezpieczyliśmy bramę, kątem oka zobaczyłem drugiego Black Hawka. Po sposobie, w jaki śmigłowiec zawisł w powietrzu, wiedziałem już, że zespół zabezpieczający teren wylądował. Po niekończących się treningach na makiecie rezydencji byłem przyzwyczajony do strumienia powietrza z wirników wiejącego mi prosto w twarz, gdy śmigłowiec unosił się nad budynkiem, a członkowie zespołu zjeżdżali po linie na dach.

Zamiast jednak zawisnąć nad domem, Chalk Two zniknął za murem. Najwyraźniej piloci widzieli naszą kraksę i zdecydowali się wylądować na zewnątrz.

– Nie martwcie się złą pozycją podczas desantu, po prostu wysadźcie tych chłopaków na ziemię – radził admirał McRaven podczas jednej z ostatnich odpraw. – Nie ma znaczenia, gdzie wylądujecie, najważniejsze, żeby zrobić to bezpiecznie.

Transport z Chalk Two nie chciał ryzykować zjazdu po linie po tym, co stało się z naszą maszyną. Moim zdaniem podjęli dobrą decyzję.

Usłyszałem przez radio pierwsze komunikaty. Plan awaryjny zakładał, że jeśli zespół z Chalk Two nie będzie w stanie zjechać po linie, przeprowadzi szturm od północnej bramy.

Ruszyłem w kierunku C1. Will szedł obok mnie, kiedy zbliżałem się do drzwi domku dla gości. Jedynym dźwiękiem, który mógł nas zdradzić, było szuranie butów o żwir.

Ahmed al-Kuwaiti – jeden z najbardziej zaufanych kurierów bin Ladena – mieszkał w domku ze swoją rodziną. Spodziewaliśmy się w środku przynajmniej jednej żony i kilkorga dzieci. Z uwagi na te ostatnie sądziliśmy, że budynek nie jest zaminowany.

Zgodnie z tym, co przedstawiały zdjęcia i makieta rezydencji, natrafiliśmy na dwie pary podwójnych metalowych drzwi z okienkami. Okno po prawej stronie drzwi było zabezpieczone kratą. Nie widziałem w środku światła. We wszystkich oknach wisiały prześcieradła, więc nie mieliśmy pojęcia, czego oczekiwać.

Will zajął pozycję po lewej. Nacisnąłem klamkę dwa razy, ale drzwi nie ustępowały.

Will odczepił młot od kamizelki i rozłożył teleskopowy uchwyt. Kryłem jego prawą.

Odsunął się i uderzył w zamek z głośnym trzaskiem. Obuch trafił w klamkę, ale tylko ją pokiereszował i zostawił w drzwiach pęknięcie. Dwa kolejne zamachy nic nie dały – drzwi były w całości wykonane z metalu i już wiedzieliśmy, że młotem ich nie sforsujemy.

Odwrócił się do okna, żeby rozbić szybę i zerwać prześcieradło – wówczas moglibyśmy zajrzeć do środka. Przecisnął młot przez kraty, ale za każdym razem, gdy chciał wziąć zamach, obuch klinował się między prętami. Krata była po prostu zbyt ciasna.

– Trzeba wysadzić – wyszeptał i ściągnął z pleców mojej kamizelki ładunek tnący.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że czas odgrywa ważną rolę, a przewagę zaskoczenia straciliśmy w momencie, gdy rozbił się nasz śmigłowiec. Will odstawił młot na bok i wycelował w drzwi z karabinu.

Zza rezydencji doleciał nas huk. Zespół z Chalk Two wysadził północną bramę.

– Wejście nieudane – usłyszałem w radiu. – Przesuwamy się do bramy Delta.

Po wysadzeniu bramy moi koledzy odkryli za nią ceglaną ścianę. Według planu mieli już szturmować drugie piętro, a nawet nie dostali się na teren rezydencji.

– Przyjąłem. Spotkam się z wami i otworzę od środka – zameldował Mike.

Brama Delta zamykała od północy podjazd, który oddzielał miejsce kraksy od reszty rezydencji. Mike znajdował się na południowym końcu, blisko domku dla gości.

Akcja szybko nabierała tempa. Prawdopodobnie minęło jakieś pięć minut, odkąd rozbiliśmy się o ziemię, a teraz dwudziestu czterech facetów szturmowało cel. Odpaliliśmy przynajmniej dwa ładunki, a biorąc pod uwagę hałas Black Hawków, byliśmy pewni, że mieszkańcy domu już nas usłyszeli. Sądziliśmy też, że zdążyli się uzbroić i przygotować do obrony.

Przyklęknąwszy z prawej strony drzwi, zdarłem taśmę zabezpieczającą z klejącej strony ładunku. Zawsze kucałem, gdy zakładałem ładunek, bo w Iraku wielokrotnie strzelano do mnie przez drzwi. Bojownicy lubili celować w środek, sądząc, że właśnie tam stoi człowiek.

Trzeci chłopak z mojego zespołu wbiegł na podwórze. Był jednym z ostatnich, którzy opuścili rozbity śmigłowiec, i właśnie do nas dołączył. Jego zadanie polegało na zabezpieczeniu schodów prowadzących na dach domku dla gości, które znajdowały się naprzeciw drzwi. W chwili gdy zaczął się po nich wspinać, ktoś otworzył ogień z kbk AK, rozbijając okienko. Pociski minęły go o włos.

Odtoczyłem się, gdy kolejne kule zaświszczały centymetry nad moją głową. Pierwsze strzały potrafią człowieka kurewsko przerazić. Czułem, jak szkło posypało mi się na ramiona.

Karabin bez tłumika, pomyślałem.

Zwykle łatwo było się zorientować, kto strzela, bo my używaliśmy tłumików. Strzały z niewyciszonej broni oznaczały ogień nieprzyjaciela. Ktoś w środku miał karabin i celując na wysokości piersi, puścił na oślep serię. Musiał się czuć jak zwierzę w klatce; nie miał dokąd uciec i wiedział, że po niego idziemy.

Will, który krył drzwi z lewej, natychmiast odpowiedział ogniem. Kiedy się odwróciłem, żeby go wspomóc, poczułem palący ból lewego ramienia, zranionego szkłem lub odłamkiem. Nasze kule podziurawiły metalowe drzwi.

Po odtoczeniu się z pola ostrzału wstałem i podszedłem do okna kilka kroków dalej na tej samej ścianie.

– Ahmedzie al-Kuwaiti! – krzyknął Will. – Ahmedzie al-Kuwaiti, wyjdź na zewnątrz!

Roztrzaskałem lufą szybę i strzeliłem w stronę prawdopodobnej pozycji przeciwnika.

Will wywoływał al-Kuwaitiego, ale bez skutku. Ponieważ nie mieliśmy czasu do stracenia, wróciłem do ładunku, który wciąż wisiał na drzwiach. Żeby wejść do środka, musieliśmy go odpalić – nie było innego wyjścia. Uważałem, by się za bardzo nie wychylać.

Planowaliśmy, że po wysadzeniu drzwi wrzucę do środka granat. Ahmed al-Kuwaiti udowodnił już, że nie podda się bez walki, a ja nie miałem zamiaru ryzykować.

Właśnie przyczepiałem detonator do ładunku, gdy ktoś zaczął odsuwać zamek w drzwiach. Will też to usłyszał i obaj natychmiast zaczęliśmy się cofać. Nie mieliśmy pojęcia, kto się czai po drugiej stronie ani co zamierza. Czy napastnik uchyli tylko drzwi, żeby rzucić granat? A może wystawi lufę kałasznikowa i zacznie strzelać na oślep?

Rozejrzałem się szybko – żadnej kryjówki. Podwórze było zagracone śmieciami i narzędziami ogrodniczymi. Musieliśmy dalej się cofać, unikając drzwi i okien.

Drzwi domku dla gości otworzyły się powoli, a ja usłyszałem kobiecy głos. To jeszcze nie oznaczało, że jesteśmy bezpieczni. Jeśli nieznajoma miała na sobie samobójczą kamizelkę z ładunkiem wybuchowym, byliśmy trupami. Szturmowaliśmy rezydencję, w której mieszkali poplecznicy bin Ladena. Pierwsze strzały już padły, co oznaczało, że są gotowi bronić przywódcy.

Przez pot spływający mi po twarzy i podmuch wirnika sypiący w oczy żwirem zobaczyłem postać kobiety w zielonym blasku noktowizora. Kiedy zauważyłem, że trzyma coś w rękach, mój palec automatycznie wywarł nacisk na spust. Na jej głowie tańczyły kropki laserów. Zginęłaby w ułamku sekundy, gdyby się okazało, że trzyma bombę.

Dopiero kiedy szerzej otworzyła drzwi, zorientowałem się, że zawiniątko było tak naprawdę dzieckiem. Żona al-Kuwaitiego, Mariam, wyszła przed domek z niemowlęciem przyciśniętym do piersi. Obok jej nóg przemknęło po chwili troje starszych dzieci.

– Chodź tutaj! – zawołał do niej Will po arabsku.

Nie spuszczałem ich z celownika, kiedy zbliżali się w naszą stronę.

– Nie żyje – wołała Mariam po arabsku. – Zastrzeliliście go, nie żyje. Zabiliście go.

Will przeszukał ją szybko.

– Słuchaj, ona twierdzi, że jej mąż nie żyje – przetłumaczył mi jej słowa.

Kucnąłem po prawej stronie drzwi i pchnąłem je mocno.

W drzwiach sypialni leżały stopy. W żaden sposób nie mogliśmy sprawdzić, czy facet jeszcze oddycha, a ja nie chciałem ryzykować. Will

ścisnął mnie za ramię, by dać mi do zrozumienia, że jest gotów, i razem weszliśmy do korytarza. Przytknąłem kolbę karabinu do ramienia i strzeliłem kilka razy do ciała, na wszelki wypadek.

Dom śmierdział olejem opałowym. Przestępując nad ciałem al-Kuwaitiego, zobaczyłem pistolet i karabinek AK na podłodze tuż przy drzwiach. Odkopnąwszy je na bok, skupiłem się na czyszczeniu pomieszczenia. Pośrodku stało duże łóżko, a mniejsze, pewnie dla dzieci, wzdłuż ścian. Cała rodzina spała w tym samym pokoju.

Na końcu korytarza znajdowała się kuchnia. Nasz ogień zamienił ją w pobojowisko, dziurawiąc naczynia i rozsypując suche produkty. Z blatu ściekała woda, w piecyku widniało kilka dziur, a tanie kafelki były potrzaskane. Wszędzie walały się odłamki.

Podłoga w korytarzu była śliska od wody i krwi al-Kuwaitiego, która pobrudziła nam buty. Pośpiesznie wyczyściliśmy oba pomieszczenia i wyszliśmy na zewnątrz.

– Strzały w C1, budynek zabezpieczony – zakomunikowałem przez sieć oddziału, po czym rzuciłem światło chemiczne przed wejście. Ruszyliśmy w kierunku głównego budynku, by wesprzeć pozostałe zespoły.

ROZDZIAŁ 14

Chaled

Nie minęło nawet dziesięć minut, odkąd rozbił się Chalk One. Popędziliśmy z Willem w stronę otwartej bramy między domkiem dla gości a głównym budynkiem.

Kierowaliśmy się do północnego wejścia.

– Ładunek założony na północne drzwi A1 – zakomunikował Charlie w sieci oddziału.

Wszystko było gotowe i Charlie czekał na rozkaz odpalenia ładunku. Razem z Waltem potrzebowali tylko sygnału od Toma, że mogą wchodzić.

Jen i jej analitycy jak dotąd mieli rację. Podejrzewali także, że dom jest podzielony na dwie części, a rodzina bin Ladena mieszka na pierwszym i drugim piętrze, gdzie prowadziło osobne wejście. Przemawiał za tym fakt, że Spacerowicz zawsze wychodził na podwórze północnymi drzwiami, a bracia al-Kuwaiti południowymi.

Nie mieliśmy pewności, czy północne i południowe wejście łączy korytarz, ale też nie chcieliśmy ryzykować dwóch wybuchów jednocześnie.

Z tego powodu Tom wymyślił, że on i jego zespół najpierw wyczyszczą południową stronę, a Charlie zaczeka na sygnał, zanim odpali swój ładunek.

Trzyosobowy zespół Toma znajdował się właśnie na parterze. W budynku było ciemno, niemal czarno, ale w blasku noktowizorów bez trudu widzieli korytarz i cztery pary drzwi, po dwie z każdej strony. Nie zdążyli zrobić nawet paru kroków, gdy nagle zwiadowca zauważył głowę wystawioną z pokoju po lewej. Chłopcy Toma musieli usłyszeć charakterystyczny dźwięk strzałów z AK, który dolatywał z domku dla gości, i woleli nie ryzykować. Ludzie przebywający w A1 mieli aż za dużo czasu, by przygotować się do walki.

Gość na szpicy pociągnął za spust, a trafiony mężczyzna – później potwierdziliśmy, że był to Abrar al-Kuwaiti – zniknął w pomieszczeniu. Ostrożnie przesunąwszy się dalej, zespół Toma stanął przy drzwiach. Ranny Abrar al-Kuwaiti wił się na podłodze. W momencie gdy nasi chłopcy po raz drugi otwierali ogień, żona Abrara, Bushra, wyskoczyła, żeby osłonić męża własnym ciałem. Druga seria zabiła ich oboje.

Zespół Toma spostrzegł w kącie inną kobietę i kilkoro dzieci. W pokoju leżał kolejny AK. Tom rozładował karabin, a jego partnerzy przeszukali pozostałe pomieszczenia.

Na końcu korytarza, dokładnie na linii północnego wejścia do budynku, znajdowały się zamknięte drzwi. Ponieważ południowa strona A1 była czysta, Tom wyszedł na zewnątrz.

W innej sytuacji zostawilibyśmy kogoś, by przypilnował kobiety i dzieci, ale nie mieliśmy czasu ani wystarczającej liczby operatorów, więc po prostu zostawiliśmy ich w pokoju.

– Charlie, odpalaj – powiedział Tom przez radio.

Kiedy wychodzili przez południowe drzwi, jeden z SEALsów rzucił na podwórze kałasznikowa al-Kuwaitiego. Było ciemno i nie sądziliśmy, by ktokolwiek go tam szukał.

Parę sekund po meldunku Toma usłyszałem eksplozję. Charlie odpalił ładunek na północnych drzwiach. Obiegliśmy z Willem zachodnią ścianę rezydencji i dołączyliśmy do chłopaków ustawionych przed wejściem, teraz już sforsowanym.

SEALsi z Chalk Two w końcu przedostali się do budynku. Po nieudanej próbie wyważenia przemieścili się do głównej bramy, którą otworzył Mike, a teraz stali przed celem.

Charlie znajdował się w środku; reszta z nas w luźnym szeregu czekała na swoją kolej. Widziałem w noktowizorze plamki laserów przeczesujące okna i balkony. Gdy sam uniosłem broń w stronę pierwszego i drugiego piętra, nie zauważyłem żadnego ruchu. Nieprzeźroczyste szyby nie pozwalały spojrzeć do środka ani wyjrzeć na zewnątrz.

Akcja chwilowo zwolniła, ale – pomijając kraksę śmigłowca – przebiegała gładko. Chcieliśmy szturmować dom schodami, Charlie zameldował jednak przez radio, że drogę na piętro blokuje kolejna metalowa furtka i musiał założyć trzeci ładunek tej nocy.

Jedyne co teraz mogliśmy zrobić to czekać i zabezpieczyć kierunki. Zdawałem sobie sprawę, że Charlie i pozostali ludzie działają najszybciej, jak się da. Nagle zrozumiałem, jak bardzo surrealistyczna jest ta sytuacja. Miałem wrażenie, że znów zaczynam szkolenie CQB pierwszego dnia w Green Teamie.

Z zamyślenia wyrwało mnie gdakanie wkurzonych kurczaków. Aby dostać się do północnych drzwi, musieliśmy przejść przez niewielki obszar otoczony kratownicami i klatkami dla drobiu. Nasze kamizelki kuloodporne

i sprzęt bojowy z trudem mieściły się w wąskim przejściu, niszcząc niektóre klatki.

Bezczynne czekanie doprowadzało mnie do szału.

Goście przede mną rozmawiali:

– Cholera, nie wierzę, że naprawdę się rozbiliśmy – rzucił Walt.

– Rozbiliście? Co ty pierdolisz?

– No, nasza maszyna spadła.

Obok stał Jay, dowódca misji, który leciał w Chalk Two. Gdy dosłyszał słowa Walta, natychmiast włączył się do rozmowy:

– Co powiedziałeś?

– Że nasza maszyna się rozbiła – powtórzył Walt i skinął w kierunku wraku. – Zerknij sobie na podwórze.

Zabawnie było patrzeć, jak zmienia się wyraz twarzy Jaya, gdy przetrawiał te rewelacje. Odwrócił się i pognał wzdłuż szeregu operatorów ustawionych pod budynkiem. Wyglądało na to, że transport z Chalk Two nic nie wiedział o kraksie – bo rzeczywiście do tej pory nie wspominaliśmy o tym przez radio. Kiedy piloci Chalk Two zobaczyli Chalk One rozbity na podwórzu, porzucili plan szybkiego zjazdu po linie na dach i wylądowali za murem.

Tymczasem w śmigłowcu Teddy wyłączał silniki i upewniał się z załogą, że wszystkie instrumenty zostaną zniszczone. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie spróbować podnieść maszyny, bo, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nie odniosła ona żadnych większych uszkodzeń, ale koniec końców zwyciężyła przezorność.

Po dobiegnięciu na miejsce kraksy Jay bezzwłocznie wyciągnął radio satelitarne i połączył się z siłami szybkiego reagowania.

Siły szybkiego reagowania, które czekały wraz z drugim CH-47 niedaleko na północ od celu, wystartowały ze swojej pozycji w naszą stronę. Chcąc zaoszczędzić na czasie, wybrali najprostszą drogę, tuż nad pakistańską akademią wojskową. Po paru minutach Jay połączył się z nimi jednak po raz drugi. Mimo że Chalk One spadł, nie mieliśmy zabitych ani nawet rannych, a wszyscy szturmowcy czekali przy A1.

– Zostańcie na pozycji – zdecydował w końcu Jay.

W A1 Charlie przygotowywał się do wysadzenia kolejnego zamka, pamiętając o podmuchu eksplozji, której siła po wybuchu w zamkniętych przestrzeniach jest dużo większa i może wyrzucić na zewnątrz drzwi i okna. Z Charliem znajdowali się w środku dwaj inni SEALsi. Żeby osłonić się przed eksplozją, jeden z gości schował się za drzwiami prowadzącymi do następnego pomieszczenia.

– Na twoim miejscu uważałbym na te drzwi – rzucił do niego Charlie.

Szturmowiec odsunął się od nich w momencie, gdy Charlie odpalił ładunek. Ze swojego miejsca przy klatkach dla drobiu usłyszałem głośny huk. Podmuch eksplozji wyrwał drzwi z zawiasów i posłał je z impetem na przeciwległą ścianę. Chłopak, który chciał się za nimi schować, gapił się na nie w zdumieniu. Zaledwie kilka sekund wcześniej znajdował się na linii ich lotu i pewnie odniósłby poważną kontuzję, gdyby się nie przesunął.

– Dzięki – rzucił do Charliego, kiedy razem otwierali pokiereszowaną furtkę.

Zaczęliśmy czyścić schody. Musiałem chwilę odczekać, zanim przyszła moja kolej, by ruszyć na górę. Gdy mijałem metalową furtkę, większość SEALsów była już przede mną.

Wykafelkowane stopnie skręcające pod kątem dziewięćdziesięciu stopni tworzyły coś w rodzaju spiralnej klatki schodowej poprzedzielanej

półpiętrami. Nie mieliśmy pojęcia, czego się spodziewać. Bin Laden i wszystkie inne osoby, które przebywały w domu, miały mnóstwo czasu, żeby się uzbroić i zorganizować obronę. A ponieważ na górę prowadziły tylko te spiralne schody, istniało ryzyko, że utkniemy w wąskim gardle.

Wokół panowała ciemność, a my staraliśmy się robić jak najmniej hałasu. Każdy krok był świadomy i wymierzony.

Żadnego gadania.

Żadnych okrzyków.

Żadnego biegania.

Gdybyśmy wciąż korzystali z dawnych metod pracy, wzięlibyśmy rezydencję szturmem za pomocą granatów hukowo-błyskowych. Teraz działaliśmy najciszej jak to możliwe. Noktowizory dawały nam przewagę, na której nic byśmy nie zyskali, biegając od pokoju do pokoju. Cała sztuka polegała na kontroli tempa. Po co wybiegać śmierci na spotkanie?

Kiedy dotarłem na podest pierwszego piętra, większość chłopaków już się rozdzieliła. Klatka schodowa otwierała się na korytarz prowadzący do tarasu, który biegł wzdłuż południowej ściany domu. Widziałem cztery pary drzwi: dwie tuż przy klatce schodowej i dwie nieco dalej, koło wyjścia na taras. Moi kumple przesuwali się ostrożnie korytarzem i ustawiali przy każdych drzwiach, by po cichu wyczyścić pomieszczenia.

Dostrzegłem kolejnego operatora trzy czy cztery stopnie nade mną, który trzymał straż między pierwszym a drugim piętrem. Na podeście leżało ciało, a na marmurową posadzkę kapała krew.

Chwilę wcześniej nasz człowiek zauważył mężczyznę, który wyjrzał zza załomu klatki schodowej. Według raportów wywiadu w budynku mogło się znajdować nawet czterech mężczyzn. Chaled, syn bin Ladena,

prawdopodobnie mieszkał na pierwszym piętrze, a Osama bin Laden – na drugim.

Mężczyzna na klatce schodowej nie miał zarostu, więc musiał być synem bin Ladena.

– Chaled – szeptał operator. – Chaled.

Mieszkańcy rezydencji na pewno usłyszeli silniki śmigłowców, a także strzały, które padły w domku dla gości i eksplozje ładunków do wysadzania drzwi.

Zaraz potem jednak ponownie zapadła cisza, w której rozchodziło się tylko echo naszych kroków. Mężczyzna na schodach usłyszał, jak ktoś wypowiada jego imię.

Skąd znają moje imię? – musiał się zastanawiać.

Ciekawość wzięła nad nim górę i wychylił głowę. W tej samej chwili nasz człowiek strzelił mu w twarz. Chaled stoczył się ze schodów, a jego ciało zaległo na półpiętrze.

Zerknąłem do tyłu i zobaczyłem, że ustawiają się za mną kolejni SEALsi. W korytarzu pierwszego piętra już się od nich roiło i nie potrzebowali naszej pomocy.

Mogliśmy iść tylko w górę.

Ścisnąłem za ramię gościa na szpicy, chcąc dać mu do zrozumienia, że jestem gotowy.

– Ruszaj.

ROZDZIAŁ 15

Drugie piętro

Ominęliśmy ostrożnie leżące na plecach ciało Chaleda.

Śliskie stopnie już sprawiały nam kłopot, a jego krew tylko pogarszała sprawę. Każdy krok był ryzykowny. Nieco wyżej stał oparty o schody kałasznikow.

Całe szczęście, że Chaled nie miał jaj, żeby go użyć, pomyślałem.

Gdyby idący jako jedynka nie wywołał imienia Chaleda, możliwe, że utknęlibyśmy na klatce. Chaled musiałby tylko zasadzić się na półpiętrze i posyłać w dół kilka kul za każdym razem, gdy próbowalibyśmy zbliżyć się do jego pozycji. To byłby prawdziwy koszmar, z pewnością ponieślibyśmy straty.

Spodziewaliśmy się większego oporu. Pomimo wszystkich gadek o zamachach samobójczych i przelewaniu krwi za Allacha na razie tylko jeden z braci al-Kuwaiti strzelał w naszą stronę. Chaled przynajmniej myślał o obronie. Gdy później sprawdzaliśmy jego karabin, okazało się, że nabój czekał załadowany w komorze. Chaled przygotowywał się do walki, ale koniec końców nawet nie miał okazji, by nam zagrozić.

W noktowizorach ciemną klatkę schodową spowijał zielonkawy blask. Szturmowiec, który trzymał straż, szedł teraz na szpicy, a my tuż za nim. Zwalnialiśmy, nie chcąc się zbytnio śpieszyć. Facet na przedzie stanowił oczy i serce grupy, to on dyktował tempo.

Do przodu, stop. Do przodu, stop.

Na razie wszystko się zgadzało. Zakładaliśmy, że natrafimy w rezydencji na minimum czterech mężczyzn i w tej chwili brakowało nam tylko ostatniego – Osamy bin Ladena. Starałem się jednak zagłuszyć te myśli. Nie miało znaczenia, kogo znajdziemy na drugim piętrze. Bardzo możliwe, że czekała nas wymiana ognia, a na krótkim dystansie strzelanina zwykle trwa kilka sekund. Nie ma miejsca na błędy.

Skup się, upominałem sam siebie w myślach.

Ponieważ jedynka szedł bezpośrednio przede mną, nie miałem zbyt dużo roboty. Byłem tam tylko po to, by go wspierać. Minął jakiś kwadrans i bin Laden miał mnóstwo czasu, żeby obwiesić się ładunkami wybuchowymi albo po prostu chwycić za karabin.

Wpatrywałem się w podest na górze. Wszystkie moje zmysły działały na podwyższonych obrotach. Wytężałem słuch, by usłyszeć, jak ktoś ładuje broń albo podkrada się w naszą stronę. Nie robiliśmy niczego nowego, zaliczyliśmy setki podobnych działań. Na najbardziej podstawowym poziomie czyściliśmy pomieszczenia dokładnie tak, jak na kursie w Green Teamie. Tylko dwie rzeczy sprawiały, że ta operacja była wyjątkowa: nasz cel oraz fakt, że znajdowaliśmy się na terenie Pakistanu.

Podest u szczytu schodów przechodził w wąski korytarz zakończony drzwiami balkonowymi. Mniej więcej w odległości półtora metra od klatki schodowej znajdowało się dwoje drzwi – jedne po lewej, drugie po prawej.

Przejście było dość ciasne, szczególnie dla gości w pełnym sprzęcie operacyjnym. Nic nie widziałem za naszym zwiadowcą, bo wyżej schody zwężały się jeszcze bardziej.

Byliśmy nie dalej niż pięć kroków od ich szczytu, kiedy usłyszałem wyciszone strzały:

Pach. Pach.

Jedynka ujrzał mężczyznę, który wyglądał zza drzwi jakieś trzy metry dalej. Ze swojej pozycji nie widziałem, czy trafił, ale nieznajomy zniknął w ciemnym pokoju.

Wspiąwszy się na podest, ostrożnie podeszliśmy do drzwi. Nasza akcja nie przypominała scen rodem z filmów akcji; nie wparowaliśmy do środka, strzelając gdzie popadnie.

Byliśmy cierpliwi.

Gość na szpicy trzymał karabin w górze, gdy zbliżaliśmy się do otwartych drzwi. Nadal nie wykonywaliśmy żadnych gwałtownych ruchów. Zamiast tego zatrzymaliśmy się przy progu i zerknęliśmy do środka. Dwie kobiety stały nad ciałem u stóp łóżka. Obie były ubrane w długie suknie i miały zmierzwione włosy, jakby przed chwilą się obudziły. Płakały i zawodziły w języku arabskim. Gdy młodsza odwróciła wzrok, ujrzała nas w drzwiach.

Krzyknęła coś po arabsku i rzuciła się na jedynkę. Dzieliła nas odległość zaledwie półtora metra. Mój kolega odsunął broń na bok, po czym złapał obie kobiety i pociągnął w stronę kąta. Gdyby którakolwiek z nich miała na sobie kamizelkę z bombą, prawdopodobnie uratowałby nam życie, poświęcając własne. W ułamku sekundy podjął bezinteresowną decyzję.

Gdy tylko nasz kolega usunął je z drogi, weszliśmy do środka z trzecim SEALsem i zobaczyliśmy ciało mężczyzny u stóp łóżka. Miał na sobie

biały podkoszulek bez rękawów, luźne jasnobrązowe spodnie i jasnobrązową tunikę. Kule trafiły go w prawy bok głowy, a z otworów trysnęła krew i fragmenty mózgu. Mężczyzna trząsł się w pośmiertnych konwulsjach. Razem z drugim operatorem wycelowaliśmy w jego pierś i pociągnęliśmy za spust. Dopiero kilka kolejnych pocisków sprawiło, że przestał się ruszać.

Rozejrzałem się szybko i naliczyłem troje dzieci w kącie przy przesuwanych drzwiach balkonowych. Cała trójka – nie potrafiłem ocenić, czy byli to chłopcy, czy dziewczęta – siedziała w oniemieniu, gdy czyściłem pokój.

Ponieważ mężczyzna na podłodze nie ruszał się, a my nie widzieliśmy innych zagrożeń, zabezpieczyliśmy dwa mniejsze pomieszczenia przy sypialni. Pchnąwszy pierwsze drzwi, zobaczyłem ciasne, zagracone biuro. Na niewielkim biurku leżały stosy papierów. Za drugimi drzwiami znajdowały się toaleta i prysznic.

Wszystko robiliśmy odruchowo i w głowie odhaczaliśmy kolejne punkty. Człowiek, który był największym zagrożeniem, leżał martwy przy łóżku. Jedynka pilnował kobiet i dzieci. Razem z kumplem z zespołu wyczyściliśmy biuro i łazienkę, podczas gdy reszta SEALsów zajmowała się pokojami po drugiej stronie korytarza.

Wychodząc z sypialni, minąłem Walta.

– Z tamtej strony czysto – poinformował mnie.

– Z tej też.

Jedynka wyprowadził kobiety i dzieci z sypialni na balkon, żeby nie panikowały, a gdy dołączył do nas Tom, nasza praca była zakończona.

– Drugie piętro zabezpieczone – usłyszałem jego głos w sieci radiowej oddziału.

ROZDZIAŁ 16

Geronimo

Na łóżku w sypialni bin Ladena wciąż leżała najmłodsza kobieta. Krzyczała histerycznie, trzymając się za łydkę.

Walt stał obok ciała. Było ciemno – w dzielnicy nie usunięto jeszcze awarii prądu – i nie widzieliśmy dokładnie twarzy mężczyzny. Podniosłem rękę, by włączyć latarkę przymocowaną do bocznych szyn na hełmie. Zabezpieczyliśmy nasz cel, a ponieważ wszystkie okna były zasłonięte, nikt nie widział nas z zewnątrz i nie musieliśmy się martwić światłem.

Przynajmniej jeden pocisk zmasakrował mężczyźnie twarz, zalewając ją krwią. Strzał w głowę roztrzaskał prawą stronę czaszki, a kilka kolejnych rozszarpało pierś. Leżał w rozrastającej się kałuży krwi. Gdy kucnąłem, by lepiej mu się przyjrzeć, dołączył do mnie Tom.

– To chyba nasz chłoptaś – stwierdził.

Nie chciał wymawiać przez radio nazwiska bin Ladena, bo wieści w mgnieniu oka dotarłyby do stolicy. Wiedzieliśmy, że prezydent Obama słucha, i woleliśmy się nie pomylić.

Przeprowadziłem w głowie krótkie podsumowanie:

Mężczyzna był wysoki, na oko miał jakieś sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu.

Na drugim piętrze nie mieszkał żaden inny osobnik płci męskiej.

Dwaj kurierzy znajdowali się dokładnie tam, gdzie przewidywali analitycy z CIA.

Im dłużej wpatrywałem się w zmasakrowaną twarz, tym częściej mój wzrok przesuwał się w stronę nosa, który nie ucierpiał od strzałów. Wyciągnąłem z kieszeni ściągawkę z planem misji i otworzyłem ją na stronie ze zdjęciami. Długi, szczupły nos pasował. Brodę ofiara miała kruczoczarną, choć spodziewałem się, że będzie częściowo siwa.

– Zajmiemy się tym z Waltem – rzuciłem do Toma.

– Przyjąłem.

Założyłem nitrylowe rękawiczki i wyciągnąłem aparat, by zrobić zdjęcia, a Walt przygotował się do pobrania próbek DNA.

Will, gość, który znał arabski, opatrywał na łóżku nogę płaczącej kobiety. Dowiedzieliśmy się później, że była to Amal al-Fatah, piąta żona bin Ladena. Nie pamiętam, w którym momencie akcji oberwała, ale rana była niewielka, pewnie od rykoszetu albo odłamka.

– Słuchajcie, na pierwszym piętrze mamy sporo materiałów SSE – odezwał się ktoś w sieci oddziału. – Będziemy tu potrzebować pomocy.

Tom ruszył do wyjścia. Słyszałem, jak zgłasza przez radio:

– Prawdopodobnie, powtarzam, p r a w d o p o d o b n i e mamy cel na drugim piętrze.

Walt wygrzebał ze sprzętu rurkę CamelBaka[28] i spryskał mężczyźnie twarz wodą.

Zacząłem ścierać krew, używając do tego celu koca z łóżka. Z każdym pociągnięciem twarz zabitego stawała się coraz bardziej znajoma, choć

zaskoczyło mnie, jak młodo wyglądał. Brodę miał ciemną, może ją farbował? Nie potrafiłem przestać myśleć o tym, jak bardzo różnił się od moich wyobrażeń sprzed misji.

Dziwnie się czułem, patrząc na tego człowieka. To on był powodem wojny, którą toczyliśmy od dekady. Nie mieściło mi się w głowie, że wycieram krew z ciała najbardziej poszukiwanego terrorysty na świecie, by zrobić mu zdjęcie. Teraz musiałem skupić się na zadaniu. Potrzebowaliśmy fotografii wysokiej jakości; istniała spora szansa, że będzie je oglądać mnóstwo ludzi i nie chciałem spartolić sprawy.

Odrzuciłem na bok koc i podniosłem aparat, którym przez kilka ostatnich lat zrobiłem setki zdjęć. Wszyscy byliśmy w tym całkiem nieźli – od lat bawiliśmy się w *CSI: Kryminalne zagadki Afganistanu.*

Zacząłem od ujęć całego ciała. Następnie kucnąłem, by skupić się na twarzy. Trzymając za brodę, obróciłem głowę w prawo, a potem w lewo i zrobiłem kilka zdjęć z profilu. Bardzo chciałem skupić się na nosie. Ponieważ broda była taka ciemna, to właśnie zdjęcia z profilu wydawały mi się najbardziej wyraziste.

– Możesz potrzymać mu powiekę dobrego oka? – poprosiłem Walta.

Walt uniósł mężczyźnie powiekę, ukazując brązowe, pozbawione życia oko, a ja zrobiłem zdjęcie w dużym powiększeniu. Podczas gdy ja zajmowałem się aparatem, Will pilnował kobiet i dzieci na balkonie. Piętro niżej moi koledzy zbierali dowody w postaci komputerów, nośników pamięci, laptopów i filmów. Na zewnątrz Ali, tłumacz z CIA, zajmował się gapiami razem z zespołem zabezpieczającym teren.

Przez radio słyszałem rozmowy Mike’a na temat rozbitego śmigłowca:

– Saperzy, przygotujcie się do wysadzenia.

Z meldunków w sieci oddziału wiedziałem, że SEALs zajmujący się niszczeniem tajnego sprzętu i specjalista z EOD byli w drodze na miejsce kraksy.

– Będziemy wysadzać – rzucił SEALs do swojego partnera.

– Przyjąłem – odparł saper, po czym nagle zaczął wyciągać ładunki wybuchowe i rozkładać po domu.

– Kurwa, co jest? – rzucił do niego nasz chłopak.

Wszyscy byli zdezorientowani.

– Przecież powiedziałeś, że wysadzamy.

– Ale nie dom, tylko śmigłowiec!

– Jaki śmigłowiec? – Specjalista z EOD myślał, że chcemy zrównać dom z ziemią. Przygotowywaliśmy się także na takie rozwiązanie.

Wieści o Chalk One jeszcze się nie rozeszły i niektórzy dopiero teraz dowiadywali się o kraksie. W Waszyngtonie też nie byli pewni, czy spadliśmy, gdy oglądali przekazy z dronów. Później usłyszałem, że na ziarnistym, czarno-białym obrazie wyglądało to tak, jakbyśmy „zaparkowali" Black Hawka na podwórzu. Prezydent i jego sztab byli do tego stopnia zaskoczeni, że skierowali do JSOC-u krótką wiadomość z pytaniem, co się stało. McRaven odpowiedział im: „Wprowadzamy poprawki do planu. [...] Śmigłowiec spadł na podwórze, ale moi ludzie są przygotowani na taką ewentualność i poradzą sobie z sytuacją".

Tymczasem na zewnątrz załoga maszyny niszczyła tajny sprzęt. Teddy, szef pilotów i pilot prowadzący, wyszedł z niej jako jeden z ostatnich. Stanąwszy w drzwiach, spojrzał na dół – do ziemi miał około dwóch metrów, a ponieważ nie chciał skakać i ryzykować kontuzji, zrzucił na dół linę i zjechał na podwórze. W ten sposób stał się jedyną osobą, która tej nocy zgodnie z planem zjechała po linie na teren rezydencji.

Kiedy po chwili na miejsce dotarli specjalista z EOD i SEALs, od razu zabrali się do zakładania ładunków wybuchowych na maszynie. Wgramoliwszy się na ogon, saper próbował umieścić jeden z nich blisko wirnika. Ponieważ miał na sobie cały sprzęt i noktowizor, wspinaczka na chwiejną, wąską sekcję ogona nie przychodziła mu łatwo. Za każdym razem, kiedy sięgał w stronę części opartej o mur, bał się, że ta pęknie pod jego ciężarem.

Wszedł najwyżej, jak umiał i jedną ręką umieścił ładunek. Drugą utrzymywał równowagę, balansując niebezpiecznie nad podwórzem. Najważniejsze było zniszczenie awioniki i sprzętu łączności. Gdy już uporał się z ogonem, zaminował kabinę.

Black Hawk, który wylądował bezpiecznie, i CH-47 z zespołem szybkiego reagowania krążyły w pobliżu, czekając na zakończenie akcji. Zużycie paliwa stanowiło realny problem i musieliśmy się śpieszyć.

– Dziesięć minut – zakomunikował Mike przez radio.

Nagle na drugim piętrze włączył się prąd i sypialnię zalało jasne światło. Najwyraźniej awaria została usunięta. W idealnym momencie, co bardzo ułatwiło nam pracę.

Kontynuowałem robienie zdjęć, a Walt pobierał próbki. Zamoczył bawełniany wacik we krwi bin Ladena. Drugi włożył mu do ust, żeby zdobyć próbkę śliny. W końcu wyciągnął sprężynową strzykawkę, którą dostaliśmy od CIA do pobrania szpiku kostnego z kości udowej. Walt próbował wbić ją kilka razy w udo bin Ladena, ale igła nie wyskakiwała.

– Trzymaj. – Podałem mu swoją strzykawkę. – Spróbuj tej.

Uderzył nią mocno w miękką część uda bin Ladena, ale też nie zadziałała.

– Pierdolić to – syknął Walt i rzucił obie strzykawki w kąt.

Właśnie kończyłem robić drugą serię zdjęć. Każdą próbkę pobieraliśmy dwukrotnie, żeby mieć dwa identyczne zestawy. Walt schował jeden do kieszeni spodni, a drugi przekazał SEALsowi z Chalk Two – nawet gdyby jedna z maszyn została zestrzelona podczas lotu powrotnego do Dżalalabadu, drugi zestaw próbek dotarłby bezpiecznie do bazy. Musieliśmy mieć dowód dla Pakistanu i reszty świata, że dopadliśmy bin Ladena.

Na balkonie Will próbował wyciągnąć od kobiet informację, kto leży na podłodze.

Amal, żona bin Ladena, która dostała w kostkę, histeryzowała i nie dało się z nią rozmawiać. Kiedy jednak pracowałem, słyszałem dolatujące z łóżka nade mną kwilenie drugiej kobiety. Choć oczy miała napuchnięte, starała się surowym wzrokiem patrzeć Willowi prosto w twarz, gdy ten raz po raz pytał ją, kim jest martwy facet.

– Jak on się nazywa?

– Szejk – odparła kobieta.

– Jaki szejk? – nie odpuszczał Will. Nie chciał naprowadzać ją na żadną odpowiedź i zadawał tylko ogólne pytania.

Kobieta podawała mu jednak jakieś pseudonimy, więc wyszedł na balkon. Dzieci siedziały cicho przy ścianie. Will kucnął i zapytał jedną z dziewczynek:

– Kim jest ten człowiek?

Dziewczynka nie umiała kłamać.

– Osama bin Laden.

– Jesteś pewna? – zapytał jeszcze raz, uśmiechając się do niej.

– Tak.

– Rozumiem. Dziękuję.

Wrócił do sypialni, złapał jedną z żon i potrząsnął nią mocno.

– Przestań mnie wkurwiać! – wycedził ostrzejszym tonem niż wcześniej. – Kto to jest?

Kobieta wybuchła płaczem. Przestraszona, straciła całą wolę walki.

– Osama – wyznała w końcu.

– Jaki Osama? – drążył Will, ściskając ją za ramiona.

– Osama bin Laden.

Wypchnął ją na zewnątrz, do dzieci, po czym wszedł z powrotem do sypialni.

– Hej, chłopaki, mamy podwójne potwierdzenie – rzucił. – Potwierdziłem tożsamość z dziewczynką i ze starą. Obie mówią to samo.

Po chwili zjawili się Jay i Tom. Ten drugi stanął nad ciałem.

– Will wydobył od kobiety i dziecka zeznanie, że ten mężczyzna to UBL.

Klęcząc obok głowy, chwyciłem za brodę i znów obróciłem ją na lewo i prawo, żeby Tom mógł zrobić zdjęcia profilów. Miałem przy sobie kartę SSE, więc podetknąłem ją Jayowi pod nos, a on porównał twarz zabitego z prawdziwym bin Ladenem i symulacjami CIA.

– Tak, wygląd się zgadza – przyznał i natychmiast wyszedł z sypialni, żeby przekazać wieści dalej. Reszta z nas wróciła do pracy. Jay połączył się na zewnątrz przez radio satelitarne z admirałem McRavenem, który wciąż był w Dżalalabadzie i na bieżąco informował Biały Dom o rozwoju sytuacji.

– Ku chwale Boga i ojczyzny, podaję hasło „Geronimo” – powiedział Jay. – Geronimo EKIA, wróg zabity w akcji.

W sieci oddziału słyszałem komunikaty chłopaków z pierwszego piętra. Potrzebowali pomocy przy gromadzeniu materiałów wywiadowczych

w pomieszczeniach z elektroniką. To właśnie na pierwszym piętrze bin Laden zorganizował swoje prowizoryczne biuro, w którym trzymał komputery i nagrywał oświadczenia wideo.

Pomieszczenia biurowe były uporządkowane i dobrze zorganizowane. Wszystko miało swoje miejsce – każda płyta CD, DVD czy karta pamięci. SEALsi skupili się na gromadzeniu mediów elektronicznych: dyktafonów, kart pamięci, pendrive'ów i komputerów. CIA szkoliła nas w zakresie sprzętu, jakiego najprawdopodobniej używał bin Laden. Na szkoleniu agenci pokazali nam nawet model dyktafonu, za którym powinniśmy się rozglądać. Okazało się, że SEALsi z pierwszego piętra znaleźli dyktafon, który wyglądał dokładnie tak samo. Po raz kolejny byłem pod ogromnym wrażeniem pracy wywiadu i żałowałem, że nie uwierzyłem Jen, gdy mówiła o stu procentach.

Kiedy już pobraliśmy próbki DNA i zrobiliśmy zdjęcia, Walt i inny SEALs złapali bin Ladena za nogi, żeby wynieść go z sypialni. Pomimo wszechobecnego zamieszania i krzątaniny, doskonale zapamiętałem, jak ciągnęli jego ciało po schodach.

Zostałem na drugim piętrze, żeby poszukać materiałów wrażliwych. W biurze nie było nic użytecznego. Chwyciłem tylko plik jakichś papierów – prawdopodobnie o zawartości religijnej – i kilka kaset magnetofonowych, po czym wrzuciłem to do zwijanego worka z siatki. Szybka inspekcja łazienki wyłożonej zielonymi kafelkami nie przyniosła rezultatów. Znalazłem tylko pudełko po farbie do włosów Just For Men, której bin Laden musiał używać do farbowania brody. Nic dziwnego, że wyglądał tak młodo, kiedy go znaleźliśmy.

Otworzyłem wolno stojącą, niespełna dwumetrową szafę na ścianie między łazienką a biurem, wyposażoną w dwoje drzwi. W środku

znajdowało się kilka kompletów ubrań – długie koszule, workowate spodnie i kamizelki popularne w tym regionie.

Zaskoczyło mnie, jak schludnie wszystko było poukładane – koszulki w kostkę, a wieszaki rozstawione w równej odległości. Choć w innych częściach rezydencji równie dobrze mogliby mieszkać ludzie opętani patologicznym zbieractwem, szafa bin Ladena przeszłaby pomyślnie inspekcję w obozie dla rekrutów korpusu piechoty morskiej. To właściwie mogłaby być moja szafa, pomyślałem.

Chwyciłem parę koszul i kamizelkę, żeby wepchnąć je do worka. Skupialiśmy się na zbieraniu elektroniki, ale na drugim piętrze i tak nie mogłem liczyć na zbyt bogaty łup, więc doszedłem do wniosku, że lepiej wziąć cokolwiek. Otworzyłem szuflady na dnie szafy i przetrząsnąłem je szybko. Znów nic. Wyglądało na to, że tu bin Laden tylko spał.

Wychodząc z sypialni, zauważyłem półkę nad drzwiami – dokładnie w miejscu, gdzie zastaliśmy bin Ladena po wejściu na drugie piętro. Sięgnąłem w górę ręką i namacałem dwie sztuki broni, karabinek AK i pistolet Makarowa w kaburze. Sprawdziłem magazynki i komory, okazało się jednak, że obie bronie są puste.

Osama bin Laden nie przygotował się do obrony. Nie zamierzał z nami walczyć. Przez lata przekonywał swoich zwolenników, żeby nosili samobójcze kamizelki i wlatywali samolotami w budynki pełne cywili, a dziś nawet nie chwycił za broń. Podczas naszych zmian regularnie spotykaliśmy się z takim zachowaniem. Im wyżej ktoś stał w łańcuchu dowodzenia, tym większą okazywał się ciotą. Przywódcy nie mieli woli walki – to młodzi, podatni na wpływy fanatycy obwieszali się ładunkami wybuchowymi i przeprowadzali samobójcze ataki.

Cały czas słuchałem w radiu meldunków zespołu zabezpieczającego teren.

Ali, tłumacz z CIA i czterej SEALsi spędzili większość czasu na drodze na północny zachód od rezydencji. Po wylądowaniu dwaj operatorzy i Cairo, pies bojowy, obeszli na wszelki wypadek teren.

Później wyglądali gapiów, którzy mogli zaniepokoić się zamieszaniem. Mieszkańcy dzielnicy słyszeli śmigłowce, sporadyczne eksplozje i strzały. Zaciekawieni, podchodzili małymi grupkami do zespołu zabezpieczającego.

– Wracajcie do domów – radził im Ali w języku pasztuńskim. – Przeprowadzamy operację policyjną.

Na nasze szczęście Pakistańczycy słuchali i rozchodzili się do domów. Kilku wrzuciło na Twittera wiadomość o śmigłowcach i hałasie.

Czas uciekał.

Przez radio Mike podawał kolejne komunikaty. Znajdowaliśmy się na terenie siedziby bin Ladena prawie pół godziny. Za każdym razem, kiedy się zgłaszał, moi koledzy z pierwszego piętra prosili go o cierpliwość.

– Potrzebujemy jeszcze dziesięciu minut – powiedział jeden z SEALsów. – Nie jesteśmy nawet w połowie roboty.

W odpowiedzi Mike powtórzył spokojnym tonem, ile upłynęło czasu. Chodziło o znalezienie złotego środka; wszyscy chcieliśmy zostać i upewnić się, że nie przeoczyliśmy niczego ważnego, ale w śmigłowcach kończyło się paliwo i nie mogliśmy zbyt długo zwlekać.

– Zaprzestać działań, pięć minut! – oznajmił w końcu Mike. Oznaczało to, że mamy porzucić wszystko, co robimy, i w ciągu pięciu minut dostać się do strefy lądowania.

Moja praca na drugim piętrze była zakończona, więc ruszyłem do drzwi. Mimo to czułem, jakbyśmy wycofywali się w środku akcji. Szczyciliśmy się tym, że wracaliśmy do bazy z kompletem materiałów. Wciąż zostało nam sporo do zrobienia, ale musieliśmy pogodzić się z faktem, że

porzucamy nieprzeszukane pokoje. Wisiała nad nami groźba utraty paliwa, a zwlekając, dawaliśmy więcej czasu na reakcję policji i wojsku. W każdym razie znaleźliśmy to, po co przylecieliśmy – Osamę bin Ladena – a teraz musieliśmy uciekać, nim będzie za późno.

– Wyprowadźcie kobiety i dzieci z rezydencji – zarządził Mike przez radio.

Słyszałem, jak Will próbuje namówić żony bin Ladena i dzieci na balkonie, żeby wyszli na zewnątrz. Nie chcieliśmy, by podeszli do zaminowanego Black Hawka, zanim ten wybuchnie, ale prośby Willa obijały się jak groch o ścianę. Kobiety szlochały, a dzieci płakały albo siedziały otępiałe i żadne z nich nie chciało ruszyć się z miejsca.

Nie miałem czasu, żeby mu pomóc, musiałem jeszcze zajrzeć do C1. Zbiegłem na dół za śliskim śladem krwi bin Ladena, który ciągnął się na parter, gdzie Walt schował ciało do worka. Po drodze nasi chłopcy przeciągnęli bin Ladena po zwłokach jego syna. Biała koszula Chaleda była czerwona od krwi ojca.

W C1 moi koledzy robili zdjęcia i pobierali próbki DNA al-Kuwaitiego. Gdy dotarłem na miejsce, jego żona i dzieci klęczeli w rogu podwórza. Próbowałem przekonać ich, by wstali i ruszyli za mną, ale wtedy dostałem pilny komunikat od Mike’a:

– Chłopaki, zostawcie wszystko, co robicie, i ruszajcie do strefy lądowania.

Black Hawk i CH-47 na resztkach paliwa leciały na miejsce. Gestami w końcu zmusiłem żonę i dzieci al-Kuwaitiego, by wstali, po czym zaprowadziłem ich do domku dla gości. Co prawda od wraku dzieliła go niewielka odległość – a my użyliśmy silnych ładunków – ale mieszkańcy powinni być w środku bezpieczni, o ile nie wybiegną na podwórze.

Próbowałem pokazać im rękami i dźwiękami, że na podwórzu będzie wielka eksplozja.

– Zostańcie w środku – powiedziałem wreszcie po angielsku.

Nie mam pojęcia, czy mnie zrozumieli. Wyszedłem i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Gnając wyjeżdżonym podjazdem, zobaczyłem Mike’a, a obok niego Teddy’ego i resztę załogi śmigłowca. Śmiesznie wyglądali w tych swoich wielkich hełmach lotniczych i armijnych mundurach polowych – zagubieni i zupełnie nie na miejscu.

Spojrzałem na Mike’a, by przyciągnąć jego uwagę.

– Kobieta i dzieci zostają w C1 – powiedziałem. – Nie zaciągnę ich nigdzie indziej.

SEALsi, którzy pracowali na pierwszym piętrze, wylewali się strumieniem z budynku. Musieliśmy przypominać Cyganów albo załogę Świętego Mikołaja – wszyscy chłopcy nieśli na plecach worki wypchane do tego stopnia, że bardziej człapali, niż biegli. Jeden trzymał pod pachą komputer, a w drugiej ręce skórzaną torbę sportową. Zebrali na pierwszym piętrze tyle materiałów wywiadowczych, że skończyły im się worki i musieli korzystać z tego, co znaleźli na terenie rezydencji. Niektórzy nieśli skórzane walizki z lat pięćdziesiątych, jakby szli do biura, a inni torby z logo Adidasa, jakby wracali z siłowni.

Za bramą obróciłem się na prawo i pobiegłem do SEALsów, którzy już ustawiali się w grupach. Snajperzy wyznaczyli strefę lądowania. Mój transport miał się ewakuować w ocalałym Black Hawku – zabezpieczaliśmy ciało bin Ladena, a mniejszą, zwrotniejszą jednostkę trudniej było zestrzelić. Na pokładzie CH-47 lecieli SEALsi z drugiego transportu plus Teddy i załoga rozbitego śmigłowca.

W domach wszędzie wokół nas paliły się światła, a z okien wyglądali gapie. Ali wołał do nich po pasztuńsku, żeby się schowali. Przeliczyliśmy chłopaków. Brakowało Willa.

– Gdzie jest Will? – zapytałem, przesuwając się wzdłuż szeregu.

– Zabierał kobiety i dzieci, kiedy wychodziłem – odparł Walt, który stał obok worka z ciałem. Czekał, by załadować je na pokład śmigłowca.

Właśnie miałem pytać przed radio, co się dzieje, kiedy zobaczyłem, jak Will wybiega z rezydencji – jako ostatni z naszych.

Stanąwszy obok Walta, zobaczyłem po prawej Black Hawka, który lądował w polu na błyskającym markerze stroboskopowym ze światłem podczerwonym. Śmigłowiec wypuścił flary, a ja pochyliłem głowę, by osłonić oczy przed pyłem z wirników. Gdy chmura kurzu minęła nas, podnieśliśmy ciało i popędziliśmy na złamanie karku do czekającej maszyny. To był nasz transport do wolności i nie zamierzaliśmy się na niego spóźnić.

Potykaliśmy się o wysokie skiby świeżo zaoranej ziemi, gdy w pośpiechu pokonywaliśmy sto metrów dzielące nas od maszyny, siłując się z ciężkim ciałem. Musieliśmy wyglądać jak para zataczający się pijaków.

Obciążenie porządnie dawało nam w kość, lecz Waltowi było dużo trudniej. Mierzył zaledwie sto sześćdziesiąt siedem centymetrów, więc przez krótszy krok co kilka metrów potykał się o jedną ze skib. Raz po raz z jego ust wyrywała się wiązanka przekleństw, ale twardo parł naprzód.

Przebiegliśmy pod wirnikiem i wrzuciliśmy ciało na pokład, po czym szybko wspięliśmy się do kabiny. Zająłem miejsce za siedzeniami pilotów. Byłem wykończony; moja pierś unosiła się i opadała gwałtownie, a ja z trudem łapałem powietrze.

Ja pierdolę, chyba naprawdę nam się uda, pomyślałem.

Po chwili zacząłem się jednak denerwować, bo śmigłowiec nie startował. W Afganistanie piloci unosili maszynę, gdy but ostatniego SEALsa dotykał jeszcze ziemi. Im dłużej zwlekaliśmy, tym bardziej się obawiałem, że za chwilę oberwiemy pociskiem z RPG.

Startuj, startuj, startuj, myślałem. No dalej, chłopie, startuj!

Pobożne życzenia. Black Hawk wciąż czekał. Mało tego, wirniki zwolniły. Piloci nie chcieli odlecieć, zanim nie zjawi się CH-47. Śmigłowce lubiły latać parami. Tymczasem ładunki na Chalk One mogły w każdej chwili wybuchnąć, SEALs i specjalista z EOD nastawili timer na pięć minut. Mnóstwo czasu, gdyby akcja przebiegała zgodnie z harmonogramem.

Problem w tym, że nie przebiegała. Było osiem minut po ustalonym czasie odlotu. Co prawda doliczyliśmy sobie dziesięć dodatkowych, ale one też się kończyły.

Musieliśmy zakładać, że policja i pakistańskie wojsko zmierzają na naszą pozycję, by zbadać sytuację. Byliśmy najeźdźcami, którzy wtargnęli na terytorium suwerennego państwa. Widziałem wyraz niezadowolenia na twarzy Toma. Wisiał na radiu, próbując się dowiedzieć, o co chodzi. On też chciał, żeby piloci podnieśli maszynę.

– Lecimy – zdecydował w końcu. – Musimy startować, teraz!

Do odpalenia ładunków na rozbitym śmigłowcu została niecała minuta. SEALs, który je zakładał, podbiegł do Jaya i złapał go za ramiona. Obaj czekali w strefie lądowania na CH-47. Jay tak bardzo skupił się na zapewnieniu śmigłowcom bezpieczeństwa, że nie słyszał, jak ktoś wywołuje jego imię.

– Odwołaj CH-47! – rzucił do niego SEALs. – Musimy ewakuować wszystkie maszyny z okolicy. Ładunki wybuchną w ciągu trzydziestu

sekund.

Jay znów wisiał na radiu. Wiedział, że eksplozja strąci z nieba nadlatującego CH-47, a odłamki zniszczą czekającego na biegu jałowym Black Hawka.

Hałas wirników stał się wyraźniejszy i Black Hawk dynamicznie wyrwał w powietrze. Odbiliśmy na północny wschód, nabierając prędkości. Kilka sekund po starcie ujrzałem potężny rozbłysk światła. Eksplozja na moment skąpała kabinę swoim blaskiem, po czym zginęła w ciemnościach.

Po wybuchu CH-47 zawrócił na południe i wylądował. Pozostali SEALsi wsiedli na pokład razem z załogą zniszczonego Black Hawka. A ponieważ śmigłowiec zużył sporo paliwa, krążąc po okolicy, nie miał ani kropli zapasu i, obciążony dodatkowymi pasażerami, musiał polecieć prosto do bazy w Dżalalabadzie.

Zamknąłem oczy i wziąłem głęboki oddech. W kabinie było ciemno; ciemności rozświetlał tylko blask kontrolek na kokpicie. Z miejsca, gdzie siedziałem, widziałem kilka wskaźników, między innymi wskaźnik poziomu paliwa.

Gdy już myślałem, że w końcu mogę się rozluźnić, coś zwróciło moją uwagę – kontrolka paliwa mrugała na czerwono. Co prawda nie jestem pilotem, ale nawet ja domyśliłem się, że czerwone światełko nie oznacza nic dobrego.

ROZDZIAŁ 17

Ewakuacja

Co rusz zerkałem w stronę kokpitu, na mrugającą kontrolkę poziomu paliwa.

Z odprawy przed misją pamiętałem, że od punktu tankowania dzieliło nas dziesięć minut lotu. Poczułem, jak maszyna pochyla się na bok i wykonuje gwałtowny skręt, jakby wciągał nas wir wody w odpływie. Wyglądało na to, że krążyliśmy wokół jakiegoś obszaru. Technicy pokładowi stali przy drzwiach, wypatrując czegoś na ziemi. Kątem oka patrzyłem, jak spada poziom paliwa.

W kabinie znów nie było miejsca. Tom siedział obok mnie, a Walt na ciele bin Ladena, które leżało u moich stóp, pośrodku kabiny.

Niedługo po starcie zaczęły drętwieć mi nogi. Ruszałem palcami, żeby pobudzić krążenie. Nasza rola w tej misji dobiegła końca, ale nie mogliśmy się rozluźnić, dopóki nie zatankujemy i nie miniemy bezpiecznie granicy.

Odwróciłem się w stronę ciemnej kabiny, próbując zapomnieć o rozterkach. Wszyscy byliśmy gościami z osobowością typu A, którzy lubią mieć wszystko pod kontrolą. Trzydzieści osiem minut temu myślałem

tylko o tym, żeby wyrzucić linę z Black Hawka, zjechać na podwórze i zdobyć szturmem rezydencję, a teraz, gdy mój udział w misji był zakończony i tkwiłem bezczynnie w śmigłowcu, znów nie wiedziałem, co ze sobą zrobić.

Co by mi przyszło z zamartwiania się o poziom paliwa? Nie znałem się na pilotowaniu. Mrugające światełko równie dobrze mogło być bożonarodzeniową lampką.

Śmigłowiec zrobił kolejny zwrot, po czym pochylił się mocno i opadł do zawisu. Szef załogi otworzył drzwi, a ja zobaczyłem kontur CH-47 w odległości pięćdziesięciu metrów.

Część SEALsów z drugiego zespołu zabezpieczała teren w wysokiej do pasa trawie. Gdy dotknęliśmy ziemi, klęczeli, odwróceni do Blak Hawka tyłem, i przepatrywali horyzont w poszukiwaniu wszelkich znaków pakistańskiego wojska lub policji. Strumień powietrza z wirników chłostał trawę wokół nich.

Dwaj goście z obsługi naziemnej, z goglami chroniącymi oczy przed pyłem i kamykami, przyciągnęli wąż. Wirniki nie przestawały się kręcić, gdy podłączali go do baku.

– Chcą przenieść czterech czy pięciu z nas do czterdziestki siódemki, żeby zmniejszyć obciążenie! – Tom starał się przekrzyczeć hałas.

Dodatkowe obciążenie w postaci ciała bin Ladena i pełnego baku wymagało pewnych środków ostrożności. Piloci woleli dmuchać na zimne. Kilku naszych wysiadło z Black Hawka, między innymi Charlie.

W Abbottabadzie wybuch zaminowanego śmigłowca wreszcie przyciągnął uwagę pakistańskiego wojska. Pakistańczycy uziemili swoje siły powietrzne, o czym wówczas nie mieliśmy pojęcia, żeby policzyć ludzi. Ponieważ nikogo nie brakowało, wysłali dwa myśliwce F-16

uzbrojone w działka 30 mm i pociski powietrze-powietrze. Pakistańska armia od zawsze utrzymuje wojsko w stanie gotowości przeciwko Indiom. Większa część obrony powietrznej kraju jest wymierzona na wschód, w kierunku zagrożeń płynących z tamtej strony. Myśliwce zaryczały na niebie, mknąc do Abbottabadu.

Spojrzałem na zegarek. Chciałem wreszcie wrócić do Dżalalabadu albo chociaż wyjść z maszyny i pomóc. Wszyscy chcieliśmy, ale obsługa miała swoje zadania, tak jak my mieliśmy swoje. Pomaganie na siłę tylko opóźniłoby procedury, a teraz powodzenie misji zależało od tego, jak szybko ci goście pozwolą nam wystartować.

Samotny CH-47, który zabrał chłopaków z Chalk Two, odleciał, zanim myśliwce F-16 przemknęły nad rezydencją.

Obserwowałem, jak faceci od tankowania odłączają węże i ciągną je do CH-47. Wirniki ich śmigłowca zaczynały przyspieszać, kiedy wchodzili z wężami po rampie. Zespół zabezpieczający porzucił swoją pozycję i wsiadł na pokład.

Obie maszyny wzniosły się w powietrze i ruszyły na zachód, do Afganistanu. Tym razem na kokpicie nic już nie mrugało. Wystarczyło przelecieć nad granicą.

Jeszcze raz sprawdziłem zegarek: tankowanie trwało dwadzieścia minut. Oczami wyobraźni widziałem ścigające nas myśliwce. Wtedy nie miałem o tym pojęcia, ale F-16 krążyły jakiś czas nad Abbottabadem, zanim poszerzyły zakres poszukiwań.

Wróciłem myślami do broszury na temat pakistańskiej obrony powietrznej. Ich wojsko musiało wiedzieć, gdzie jesteśmy. Liczyłem tylko, że zdobyliśmy wystarczającą przewagę, by uciec ewentualnej pogoni.

Po raz pierwszy, odkąd dostaliśmy sygnał dziesięciu minut do celu, ściągnąłem z głowy hełm i przeczesałem dłońmi spocone, zmierzwione włosy. Próbowałem nie myśleć o myśliwcach ani o pociskach powietrze-powietrze, żeby nie spędzić czterdziestu pięciu minut lotu na zamartwianiu się. Na szczęście Tom znalazł nam zajęcie.

– Przeszukajmy jeszcze raz ciało, żeby się upewnić, czy niczego nie przeoczyliśmy.

Walt zszedł z piersi bin Ladena i założył nitrylowe rękawiczki. Rozpiąłem zamek worka na zwłoki, po czym otworzyliśmy go razem, żeby odsłonić ciało. Walt zaczął je oklepywać, najpierw z przodu, a następnie wsunął ręce pod spód i obmacał plecy. Sprawdziliśmy kieszenie spodni. Szukaliśmy śmieci – karteczek z numerami telefonów czy innymi informacjami.

Gdy Walt przeszukiwał bin Ladena, zauważyłem, że technicy pokładowi próbują przyjrzeć się ciału. Niby wyglądali przez okna na zewnątrz, lecz co jakiś czas zerkali do tyłu. Przyzwaliśmy ich machnięciem ręki, a ja oświetliłem twarz bin Ladena latarką z czerwonym światłem.

Oczy im zalśniły, a na ustach pojawiły się uśmiechy. Oni też cieszyli się, że biorą udział w misji. Ćwiczyliśmy z nimi od pierwszego dnia w Karolinie Północnej. Bez tych gości nie dalibyśmy rady – to oni bezpiecznie wymanewrowali pakistańską obronę powietrzną i teraz wieźli nas do domu. Na widok ich podekscytowania po raz pierwszy pomyślałem, że skutki tej akcji będą znacznie większe, niż nam się wydawało.

Walt niczego nie znalazł. Zapiął worek i znów usiadł na piersi bin Ladena.

Zamknąłem oczy, analizując wszystko, co się stało. Godzinę temu myślałem, że zginiemy w katastrofie lotniczej. Trochę mnie bawiło, że z jakiegoś powodu o wiele dłużej rozpamiętywałem kraksę niż strzały

napastnika w C1 – może dlatego, że brałem udział w niejednej strzelaninie, a nigdy wcześniej się nie rozbiłem. Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Miałem czas o tym myśleć i ściskało mnie w piersi, gdy wyobrażałem sobie, jak spadamy, a ja widzę pędzącą w naszą stronę ziemię.

Nie miałem nad niczym kontroli, to mnie najbardziej przerażało.

Jakaś część mnie uważała, że zawiedliśmy, mimo że ciało bin Ladena leżało u moich stóp. Nie zgromadziliśmy wystarczającej ilości materiałów wywiadowczych; nie zdążyliśmy sprawdzić wszystkich szuflad, a w korytarzu na pierwszym piętrze stały stosy skrzyń, których nawet nie tknęliśmy. Zazwyczaj radziliśmy sobie lepiej, ale tym razem po prostu skończył się nam czas. Byliśmy perfekcjonistami i choć po kraksie operacja przebiegała gładko, jej ostatnia część – zbieranie informacji – nie spełniła naszych oczekiwań.

Byliśmy swoimi największymi krytykami.

Zatrzeszczało radio, wyrywając mnie z otępienia.

– Jesteśmy z powrotem w afgańskiej przestrzeni powietrznej – oznajmił Tom.

Później dowiedziałem się, że mieliśmy wystarczającą przewagę odległości – pakistańskie myśliwce nawet się do nas nie zbliżyły.

Po kwadransie ujrzałem kręgi jasnego światła Dżalalabadu. Oglądałem ten widok setki razy i tym razem nie czułem się wcale inaczej. Wiedziałem, że się udało; za kilka minut mieliśmy bezpiecznie postawić stopy na ziemi.

Śmigłowiec wylądował tuż przed hangarem, w ochronnej łunie świateł, a na pasie startowym czekała na nas biała toyota hilux.

Kiedy wychodziliśmy z maszyny, zobaczyłem, jak z samochodu wysiadają Rangersi i ruszają po ciało. Wyznaczono im zadanie przetransportowania go do Bagramu.

Dowodził nimi sierżant, z którym współpracowałem na poprzedniej rotacji. Mimo że ja miesiąc wcześniej wróciłem do domu, on wciąż służył w Afganistanie. Przed akcją wpadliśmy na siebie parę razy w stołówce. Facet był w porządku i łączył nas wzajemny szacunek.

Kiedy jednak jego chłopaki podeszli do kabiny śmigłowca, żeby wziąć ciało, odgoniłem ich machnięciem ręki. To była nasza robota.

– Nie ma chuja – warknął Walt. – My się tym zajmiemy.

Lecieliśmy aż do Pakistanu, żeby dopaść Osamę bin Ladena, a teraz osobiście chcieliśmy doprowadzić sprawy do końca.

Złapaliśmy za uchwyty worka na zwłoki i przenieśliśmy go na pakę toyoty. Wskoczyłem na klapę i usiadłem tyłem do kierunku jazdy. Patrzyłem, jak z CH-47 wychodzą moi koledzy, i nagle poczułem, jakby ktoś ściągnął mi z ramion ogromny ciężar.

W aucie znajomy sierżant złapał mnie za ramię. Kiedy się obróciłem, podał mi monetę 75. Pułku Ranger.

– Do końca życia będziesz bohaterem mojego syna – powiedział. – Dobra robota.

Kiwnąłem głową. Chwilowo najbardziej cieszył mnie fakt, że wróciliśmy bezpiecznie do domu. Nie mieliśmy teraz czasu, żeby rozmyślać o naszej spuściźnie.

ROZDZIAŁ 18

Potwierdzenie

Przed hangarem dostrzegłem admirała McRavena.

Stał sam przy wejściu, z rękami schowanymi w kieszeniach. Musiał przyjechać z Centrum Operacji Połączonych, gdy tylko dostał sygnał, że przekroczyliśmy granicę.

Pickup zatrzymał się przed drzwiami hangaru, a McRaven podszedł do klapy. Wyglądał na zniecierpliwionego, jakby koniecznie chciał zobaczyć ciało.

– Pokażcie mi go – powiedział.

– Tak jest, sir – odparłem, zeskakując z paki.

Złapałem za worek i ściągnąłem go z auta. Uderzył w asfalt jak zdechła ryba. Kucnąłem, żeby odpiąć suwak. Z twarzy bin Ladena odpłynęły niemal wszystkie kolory i jego skóra miała szarawy kolor. Ciało było zwiotczałe, a na dnie worka zgromadziła się skrzepnięta krew.

– Oto pański chłopiec – rzuciłem.

McRaven, ubrany w mundur polowy w pustynnym pikselowym kamuflażu, nachylił się nad bin Ladenem. Chwyciłem za brodę i obróciłem

głowę na boki, żeby zobaczył profil.

– Widać, że farbował brodę – wyjaśniłem. – Nie wygląda tak staro, jak myślałem.

Zrobiłem krok do tyłu, bo wokół McRavena szybko zgromadziła się spora grupa ludzi. Wielu chłopaków ze śmigłowca jeszcze nie widziało ciała. Admirał przyklęknął.

– Powinien mieć sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu... – Rozejrzał się po tłumie i wskazał kogoś palcem. – Ile masz wzrostu?

– Sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry – odparł SEALs.

– Mógłbyś się obok niego położyć?

Upewniwszy się, że admirał nie robi sobie jaj, SEALs położył się obok ciała.

– W porządku, w porządku. Możesz wstać.

Pomiar był raczej żartem, ale bin Laden nie wyglądał tak, jak się tego spodziewaliśmy. Jestem pewien, że McRaven miał podobne wątpliwości co ja, gdy wszedłem na drugie piętro.

Stojąc na skraju zbiegowiska, zauważyłem Jen. W mocnym świetle hangaru wydawała się blada i zestresowana. Kolejni goście wciąż wchodzili do środka, gdy zobaczyła Alego. Uśmiechnął się do niej, a ona zaczęła płakać. Paru SEALsów otoczyło ją ramionami i poprowadziło naprzód, żeby obejrzała ciało, co trochę mnie zaskoczyło.

Kilka dni wcześniej powiedziała mi w stołówce, że nie chce go widzieć.

– Nie interesuje mnie to – wyjaśniła krótko. – Oglądanie martwych ludzi nie wchodzi w zakres moich obowiązków.

Z początku byłem pewien, że przemawia przez nią brawura. W swojej pracy nie musiała brudzić sobie rąk. Chodziła w drogich szpilkach i nie

martwiła się o przenoszenie worków na zwłoki do śmigłowca. Jen pokonała bin Ladena na poziomie intelektualnym.

– Jeśli nam się uda – powiedziałem przy stoliku – będziesz musiała obejrzeć ciało.

Teraz, w hangarze, zatrzymała się przed zbiegowiskiem żołnierzy. Nic nie powiedziała, ale po jej reakcji zorientowałem się, że zobaczyła ciało na podłodze. Łzy spływały jej po policzkach; potrzebowała czasu, żeby oswoić się z tym widokiem. Spędziła pół dekady na tropieniu bin Ladena, a teraz on leżał martwy u jej stóp.

Dla nas ta sytuacja była łatwiejsza.

My oglądaliśmy zwłoki regularnie – po prostu musieliśmy z tym żyć i po robocie nie poświęcaliśmy czasu na myślenie o zabitych. Nie byliśmy zblazowanymi awanturnikami, kiedy jednak człowiek zobaczył pierwszego trupa, tak naprawdę widział je wszystkie.

Ludzie, którzy pracowali na poziomie Jen, nie mieli do czynienia z krwią, więc widok martwego bin Ladena z pewnością stanowił dla niej wstrząsające przeżycie.

Odszedłem od tłumu i oparłem się o samochód. Położyłem swój karabin na masce, a rękawiczki wcisnąłem do kieszeni spodni. Większość chłopaków już wróciła i właśnie wchodzili do hangaru. Wszędzie wokół widziałem uśmiechnięte gęby.

Jako jeden z ostatnich pojawił się Teddy. Po jego minie od razu poznałem, że jest zły, a może nawet zażenowany faktem, że jego maszyna się rozbiła. Złapałem go i zamknąłem w niedźwiedzim uścisku.

– Teddy! – powiedziałem. – Chłopie, jesteś wielki.

Posłał mi nieśmiały uśmiech, próbując wykręcić się z moich ramion.

– Gościu, bez przesady – rzucił.

Jestem przekonany, że tylko dzięki jego umiejętnościom dokończyliśmy operację. Wszyscy skupiali się na tym, kto pociągnął za spust, a tymczasem znacznie trudniej posadzić spadającą maszynę, niż strzelić. Jeden zły ruch i skończylibyśmy na podwórzu pod stertą złomu. Teddy uratował nam życie.

– Dobra robota – pochwalił mnie Walt. Podał mi dłoń, ale już po chwili trzymał mnie w objęciach. Przez kilka minut wszyscy wymienialiśmy gratulacje. Do hangaru ciągle napływali nowi ludzie. Nie pamiętam, z kim rozmawiałem; jedyne, co utkwiło mi w głowie, to poczucie, że wreszcie jesteśmy bezpieczni.

Nie musieliśmy długo czekać, aż zaczną się pierwsze żarty.

– Wysadzić całą chatę? Serio? – parsknął Charlie do specjalisty z EOD.

Później, jak jedna wielka drużyna, ustawiliśmy się do paru zdjęć. Po sesji fotograficznej przełączyliśmy się jednak z powrotem na tryb pracujący – zabawa zabawą, a wciąż trzeba było lecieć do Bagramu, żeby przekazać do analizy materiały wywiadowcze.

Rangersi zapakowali już ciało i polecieli przed nami, a my w niewielkiej odległości z tyłu, w drugim samolocie. Na płycie lotniska załadowaliśmy sprzęt i przymocowaliśmy go do pokładu C-130. Weszliśmy do samolotu z bronią i w oporządzeniu. Znalazłem sobie wolne miejsce na przedzie i usiadłem.

Zauważyłem niedaleko szlochającą Jen. Siedziała na podłodze i przyciskała kolana do piersi w pozycji embrionalnej. W czerwonym świetle kabiny ledwie widziałem jej oczy. Były napuchnięte, a Jen zdawała się patrzeć gdzieś w przestrzeń. Wstałem i klepnąłem ją w ramię.

– Hej, miałaś rację – to naprawdę było sto procent! – powiedziałem, nachylając się do niej, żeby nie zagłuszyły mnie silniki.

Spojrzała na mnie zdezorientowana.

– Bez kitu. Totalne sto procent.

Kiwnęła głową i znów zaczęła płakać. Wróciłem na swoje miejsce, bo załoga zgasiła światła. Kilka minut później byliśmy w powietrzu i lecieliśmy w stronę Bagramu. Wyłączyłem się na większą część czterdziestopięciominutowego lotu. Nie spałem, ale przynajmniej odpocząłem. Czekało mnie wiele godzin pracy.

Wypuścili nas z C-130 przy hangarze na płycie postojowej lotniska. W środku czekała mała ekipa agentów FBI i CIA, którzy mieli nam pomóc w przejrzeniu dokumentów, pendrive'ów i komputerów z rezydencji bin Ladena. Gdy weszliśmy do hangaru, z zaskoczeniem zobaczyłem, że każdy z analityków stoi przy własnym stoliczku, z rękami założonymi za plecy jak podczas spoczynku na paradzie wojskowej.

W kącie ktoś rozstawił stoły, które uginały się od zielonych plastikowych pudełek z jedzeniem. W wysokich pojemnikach piętrzyły się kurze udka i frytki, a duży ekspres wypluwał z siebie jedną ohydną kawę za drugą. Od śniadania minęło co najmniej siedem godzin, ale nikt nawet nie tknął jedzenia. Mieliśmy zadanie do wykonania.

Zaraz za drzwiami zaczęliśmy ściągać z siebie sprzęt. Kiedy zdejmowałem kamizelkę, przez moje ramię przeszła fala bólu. Był raczej tępy, ale uciążliwy. Próbowałem przyjrzeć się ranie, nie widziałem jednak żadnej krwi.

– Hej, Walt, mam coś na ramieniu? – zapytałem.

On też ściągał z siebie niepotrzebny balast.

– Nie wygląda to zbyt groźnie – powiedział. – Musiałeś oberwać odłamkiem. Obejdzie się bez szwów.

Przeglądając sprzęt, złapałem za szczypce do prętów wiszące na moich plecach i skaleczyłem się w palec. W uchwycie tkwił spory metalowy odłamek.

Pewnie od kuli, pomyślałem.

Gdy al-Kuwaiti otworzył ogień, fragmenty pocisku musiały mnie trafić, zanim odpowiedziałem na atak. Nosiłem szczypce dość wysoko i ich uchwyty znajdowały się kilka centymetrów obok mojej głowy. Miałem cholerne szczęście, że nie dostałem odłamkiem w szyję.

Po szybkim sprawozdaniu z misji zaczęliśmy rozpakowywać materiały, które znaleźliśmy w rezydencji. Na kursie BUD/S wpojono nam, by w pierwszej kolejności zajmować się sprzętem zespołu, następnie sekcji, a dopiero na końcu swoim własnym.

Podzieliliśmy stoliki na grupy odpowiadające poszczególnym pokojom w rezydencji. Przeniosłem torby do stolika przeznaczonego na rzeczy z pokoju A na drugim piętrze głównego budynku, otworzyłem je i zacząłem wykładać wszystko, co znalazłem. Z jednej strony ustawiłem stos kaset z komody, a z drugiej położyłem karabin i pistolet.

Na białej tablicy narysowaliśmy schemat rezydencji, a także plany głównego budynku i domku dla gości. Zaniosłem swój aparat do SEALsa, który pomagał analitykowi z CIA ściągać zdjęcia na komputer.

– I co, jak wyszły? – zapytałem, podając mu aparat.

– Na razie dobrze.

Gdy zdjęcia bin Ladena pojawiły się na monitorze, odetchnąłem z ulgą. Mieliśmy jego ciało, więc zdjęcia nie były aż tak istotne, ale wolałem nawet nie myśleć, co mówiliby chłopcy, gdybym je spieprzył. Charlie i Walt nie daliby mi żyć.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Wygląda okej – powiedział analityk. – Jest wszystko, czego potrzebujemy.

Nie wiedziałem, czy te fotografie kiedykolwiek zostaną rozpowszechnione i, szczerze mówiąc, miałem to gdzieś. Ta decyzja była poza moim zasięgiem. Słyszałem, jak moi kumple gadają z agentami CIA na temat rzeczy, które znaleźli.

– Człowieku, tak mi przykro – powiedział SEALs, który przeszukiwał pierwsze piętro. – Było tego dużo więcej, ale zabrakło nam czasu. Mogliśmy to zrobić dużo lepiej.

Analityk z CIA niemal się roześmiał, kiedy to usłyszał.

– Spokojnie – rzucił. – Przestań się martwić. Spójrz tylko na cały ten szajs – będziemy potrzebować miesięcy, żeby to dokładnie przejrzeć! Przywieźliście dzisiaj więcej materiałów, niż zgromadziliśmy przez ostatnie dziesięć lat.

Przekazywanie materiałów zabrało nam ponad dwie godziny. W przedniej części hangaru, jakieś dziesięć metrów od stołów, specjalista FBI pobierał próbki DNA bin Ladena. Gdy skończył, Rangersi przewieźli ciało na USS „Carl Vinson”, żeby urządzić pogrzeb.

Po zakończeniu pracy zacząłem pakować swój sprzęt. Rozładowałem i zabezpieczyłem broń, odłączyłem przyrządy celownicze i spakowałem wszystko do pojemników. Rozłożywszy kamizelkę na stole, wyciągnąłem niewykorzystany granat oraz ładunek wybuchowy. Nie było sensu zabierać ich do domu.

Byłem już prawie gotowy, gdy do hangaru weszli Jen i Ali. Za kilka minut mieli lecieć do Stanów, bo siły powietrzne miały do dyspozycji pustego C-17.

Jen przytuliła mnie przed odlotem.

– Nie wiem, kiedy się zobaczymy. Uważajcie na siebie – rzuciła, idąc z Alim do drzwi.

Przez najbliższe miesiące czekało ją przesiewanie materiałów ze szturmu – wystarczająco dużo pracy, żeby nie mieć czasu się nudzić. W przeciwieństwie do nas, polowanie na bin Ladena było dla niej całym życiem. Wyglądała na zmęczoną i szczęśliwą zarazem. Spędziła nad tą misją większą część ostatnich dziesięciu lat i na pewno nie odchodziła lekkim krokiem.

Ponieważ prawie wszystko było już spakowane, zaczęliśmy się częstować zimnym jedzeniem. Chłopaki z oddziału stłoczyli się przed telewizorem w tylnej części hangaru. Prezydent Obama miał za chwilę wygłosić przemówienie.

Plotki głosiły, że JSOC przejrzał tekst przemówienia, żeby do mediów nie przeciekły szczegóły dotyczące misji. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że prędzej czy później jakieś informacje wypłyną, ale liczyliśmy, że prezydent Obama przynajmniej na razie postara się zachować tajemnicę.

– Za tydzień będą gadać, że w misję byli zaangażowani SEALsi – rzuciłem do Walta.

– Za tydzień? Człowieku, najpóźniej jutro.

Mniej więcej o 21.45 czasu wschodniego rzecznik Białego Domu ogłosił, że prezydent chce się zwrócić do narodu. O 22.30 ludzie już gadali, że chodzi o bin Ladena. Oficer wywiadu marynarki wojennej w rezerwie, Keith Urbahn, jako pierwszy puścił wiadomość na Twitterze. Wkrótce wszystkie gazety i stacje telewizyjne podawały, że Osama bin Laden nie żyje.

O 23.35 prezydent Obama pojawił się na wizji. Przeszedł długim holem i stanął za podium. Patrząc w obiektywy kamer, opowiedział światu o tym,

co zrobiliśmy.

– Dobry wieczór. Chciałbym dziś przekazać mieszkańcom Ameryki, że Stany Zjednoczone przeprowadziły operację, podczas której zginął Osama bin Laden – przywódca Al-Kaidy i terrorysta odpowiedzialny za śmierć tysięcy niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci.

Wszyscy słuchaliśmy w milczeniu.

Obama podziękował wojsku za tropienie członków Al-Kaidy i chronienie obywateli.

– Zapobiegliśmy kolejnym atakom terrorystycznym i wzmocniliśmy obronę ojczyzny. W Afganistanie obaliliśmy Rząd Talibów, który zapewniał Al-Kaidzie i bin Ladenowi azyl i wsparcie. Na całym świecie współpraca z przyjaciółmi i sojusznikami pomogła nam schwytać i zabić dziesiątki terrorystów, łącznie z tymi, którzy odpowiadali za ataki z 11 września.

Prezydent podkreślił, że tuż po swojej elekcji, w rozmowie z Leonem Panettą, uczynił misję schwytania bin Ladena priorytetem rządu, i wyjaśnił w kilku słowach, jak go znaleźliśmy. Ta część przemówienia była zręcznie napisana i nie zdradzała istotnych szczegółów.

– Dziś, pod moim przywództwem, Stany Zjednoczone przeprowadziły precyzyjną operację w rezydencji na terenie miasta Abbottabad w Pakistanie. Niewielki zespół amerykański wykonał tę misję, wykazując się wielką odwagą i umiejętnościami. Podczas zadania nie ucierpiał żaden Amerykanin, a nasi żołnierze powzięli wszelkie środki ostrożności, by uniknąć ofiar w ludności cywilnej. W trakcie strzelaniny zabili bin Ladena i przejęli jego ciało.

Żaden z nas nie był szczególnym zwolennikiem Obamy, szanowaliśmy go jednak jako głównodowodzącego sił zbrojnych. To on dał nam zielone światło.

– Wiecie, że właśnie zarobiliśmy dla Jaya admiralską gwiazdę? – powiedział w trakcie przemowy Walt. – I zapewniliśmy Obamie reelekcję.

– A co, wolałbyś olać tę misję? – zapytałem.

Wszyscy wiedzieliśmy, jaki jest układ.

Byliśmy tylko narzędziami w rękach polityków, a gdy wszystko szło po ich myśli, to oni pokazywali się na ekranach. Nadmuchiwali swoje role. Tak czy inaczej jednak powinniśmy byli to zrobić. Podjęliśmy właściwą decyzję. Pomijając aspekt polityczny, osiągnęliśmy dokładnie taki rezultat, na jakim nam zależało.

– Za rok admirał McRaven stanie na czele Dowództwa Operacji Specjalnych, a któregoś dnia zrobią z niego Szefa Operacji Morskich – dodałem.

Obama określił naszą misję jako „najbardziej znaczące dokonanie w wysiłkach narodu, by pokonać Al-Kaidę", i podziękował nam za poświęcenie.

– Ludność Ameryki nie widzi ich dokonań i nie zna ich nazwisk – rzucił na koniec.

Spodziewaliśmy się, że zdradzi jakieś szczegóły – wówczas moglibyśmy przynajmniej porobić sobie jaja. Musiałem jednak przyznać, że przemowa nie była taka zła. Jeśli już, wypadła raczej blado i rozczarowująco.

– Dobra, mam dość – rzuciłem do Walta. – Chodźmy coś zjeść albo chociaż wziąć gorący prysznic.

Ktoś puścił w obieg informację, że za kilka godzin lecimy do domu. Odszukałem swój plecak z cywilnymi ciuchami i wsiadłem do autobusu, który jechał do bazy JSOC-u. Goście z zespołu doszli do wniosku, że przed podróżą zdążą się jeszcze wykąpać.

W bazie mieli kilka przyczep z prysznicami. Stojąc pod strumieniem cholernie gorącej wody, czułem, jak moje ciało wreszcie się rozluźnia.

A poza tym byłem głodny jak wilk.

W bazie JSOC-u znajdowała się niewielka sekcja DEVGRU, coś w rodzaju naziemnego warsztatu, w którym utrzymywano na chodzie nasze auta, motocykle, czterokołowce i humvee. Warsztat prowadził SEALs z pomocą chłopaków z Seabees[29] i mechanika.

Lot do domu został przesunięty o kilka godzin, więc postanowiliśmy się rozgościć. Na hali panował bałagan – wszędzie walały się części, narzędzia i pojazdy we wszelkich stadiach rozbiórki. Zebraliśmy się w niewielkim biurze z poczekalnią i kanapą. SEALs, który rządził warsztatem, powitał nas z otwartymi ramionami.

– Czego potrzebujecie? – zapytał.

Tutejsi chłopcy stworzyli z modułowych budynków i wiaty na samochody patio z ceglanym piecem do pizzy i dużym gazowym grillem. Walt podchodził do chłopaków, rozdając cygara, które parę tygodni temu dostał od National Rifle Association w ramach powitania w kraju. Ludzie z NRA nie mieli pojęcia, że zapalimy je po misji, w której zginął bin Laden.

Byli z nami wszyscy oprócz Jaya, Mike’a i Toma. Nasze szychy jeszcze nie wróciły z odprawy na lotnisku z admirałem McRavenem.

Spędziliśmy większość czasu na patio, chłonąc rozgrzewające, wiosenne słońce. Goście z Seabees mieszkający w bazie rozpalili grill, żeby usmażyć steki i ogony homara, które wynieśli ze stołówki. Czułem zapach popcornu dolatujący z biura i pizzę w ceglanym piecu.

Powoli odpływałem, gdy nagle ktoś krzyknął:

– Ludzie, w życiu nie uwierzycie! Już się wydało!

Dowódca zespołu ochrony bazy czytał wiadomości w jednym z terminali komputerowych. Trzeba było niecałych czterech godzin, żeby wieści o udziale SEALsów w misji przeciekły do mediów. Zaraz potem wszyscy wiedzieli, że chodziło o SEALsów z DEVGRU, wywodzących się z jednostki w Virginia Beach.

Choć od miesiąca próbowaliśmy zachować tę operację w tajemnicy, nagle zrobiło się o niej głośno. Widzieliśmy w telewizji tłumy, które spontanicznie zgromadziły się pod Białym Domem, w strefie zero w Nowym Jorku i pod Pentagonem. Na stadionie w Filadelfii, podczas meczu baseballowego Major League, kibice zaczęli skandować „U-S-A". Wszyscy komentowali wiek tych ludzi, a właściwie dzieciaków, które nie miały pojęcia, jak wyglądały Stany Zjednoczone przed atakami z 11 września 2001 roku.

Oglądaliśmy to szaleństwo i zastanawialiśmy się, co teraz myślą nasze rodziny w domach. Nikt nie wiedział, że poleciałem do Afganistanu. Przekazałem rodzicom, że wyjeżdżam za miasto na szkolenie i nie zabieram komórki. Byłem przekonany, że w tej chwili wydzwania do mnie połowa znajomych, żeby zapytać, gdzie jestem.

Słońce grzało przyjemnie, kiedy jedliśmy na zewnątrz. Z pełnym żołądkiem wreszcie mogłem pomyśleć o śnie. Kilka godzin później przyjechał autobus, żeby zabrać nas do samolotu. Po adrenalinie nie było śladu, gdy człapaliśmy niemrawo na pokład.

Oprócz załogi w C-17 lecieliśmy tylko my.

Najpierw na pokład trafiły nasze kontenery; dopiero po załadunku weszliśmy do środka, żeby rozłożyć się na karimatach. W tym czasie szefowie załogi gadali z pilotami. Loty w wojskowych C-17 bywały bardzo różne – czasami człowiek trafiał na fajną załogę, która pozwalała mu spać

tam, gdzie miał na to ochotę, a kiedy indziej musiał zgodnie z regulaminem siedzieć na wyznaczonym miejscu.

Gdy samolot rozgrzewał silniki, przez interkom odezwał się jeden z szefów załogi:

– Hej, chłopaki, nie zatrzymujemy się w Niemczech, więc po drodze będziemy musieli zatankować w powietrzu – powiedział. – Prześpijcie się.

Najwyraźniej odgadli, kim są ich pasażerowie, i postanowili zapewnić nam trochę tak potrzebnego odpoczynku. Zwykle lądowaliśmy na tankowanie w Niemczech. Zatkało nas z wrażenia, że załoga specjalnie dla nas poleci prosto do kraju. Byliśmy na nogach od niemal dwudziestu czterech godzin. Wystartowaliśmy cicho i samolot skręcił na zachód.

Padaliśmy z nóg.

Medialne wariactwo, które widzieliśmy w telewizji i w sieci, działało nam na nerwy. Chyba nikt się na to nie przygotował, ale gdy rozciągałem gnaty na pokładzie C-17, byłem tak zmęczony, że zwyczajnie miałem to gdzieś. Mój umysł musiał się na chwilę wyłączyć.

Po dwóch Ambienach zasnąłem, zanim opuściliśmy afgańską przestrzeń powietrzną.

ROZDZIAŁ 19

Doświadczyć magii

Moja komórka wibrowała, dzwoniła, piszczała i pobrzękiwała, kiedy przychodziły do mnie zaległe wiadomości.

Zaraz po wylądowaniu C-17 w Virginia Beach każdy z chłopaków włączył swój telefon. Odpowiedziała nam kakofonia dźwięków. Odłożyłem komórkę na bok, bo podskakiwała jak świeży popcorn w mikrofalówce.

Podczas gdy my znajdowaliśmy się nad Atlantykiem, wiadomości o misji zdominowały telewizję i Internet. Dziennikarze dosłownie szturmowali Virginia Beach; szukali prawdziwych, żywych SEALsów, żeby przeprowadzić z nimi wywiad. Tymczasem w Waszyngtonie, Pentagonie i na Kapitolu wszystkie osoby, które dysponowały nawet szczątkowymi informacjami, zdradzały je komu popadnie.

Gdy mój telefon wreszcie umilkł, zacząłem przeglądać wiadomości. Ludzie nie mieli pojęcia, że brałem udział w operacji, ale wszyscy wiedzieli, że jestem SEALsem i koniecznie chcieli pogadać na temat ataku. Dostałem SMS-y od rodziny, a nawet od znajomych z college’u, z którymi

nie gadałem od lat. Wszystkie wiadomości brzmiały mniej więcej tak samo: „Hej, człowieku, o co chodzi? Oglądam wiadomości. Jesteś w mieście?”.

Jeszcze przed wylotem misję utrzymywano w tak ścisłej tajemnicy, że nie mogliśmy o niej gadać nawet z innymi chłopakami z jednostki – a teraz miałem prawie sto e-maili, pięćdziesiąt wiadomości głosowych i ze trzydzieści SMS-ów z pytaniami, czy czasem nie siedzę w Pakistanie i czy nie wiem, co się dzieje. Rodzina martwiła się tylko, czy wszystko u mnie w porządku i czy wróciłem bezpiecznie do domu.

Samolot nie zdążył jeszcze dobrze się zatrzymać, a załoga już otwierała drzwi. Na pokład wbiegł dawny dowódca zespołu, który czekał na przejęcie pałeczki w DEVGRU. Góra opóźniała zmianę w łańcuchu dowodzenia do zakończenia operacji, więc nie było go z nami w Afganistanie. Uważałem go za jednego z najlepszych dowódców, z jakimi kiedykolwiek pracowałem. Wszyscy goście go kochali, bo zawsze nas wspierał.

Kiedy zbieraliśmy plecaki, szedł przez samolot, by uścisnąć każdego chłopaka i podać mu dłoń. Chciał być pierwszym, który przywita nas po powrocie. Wciąż otrząsaliśmy się z otępienia po Ambienie, więc cała sytuacja wydawała się trochę odrealniona. Jego patykowata sylwetka i łysa głowa przesuwająca się przez pokład były pierwszymi sygnałami, że czeka nas dużo bardziej spektakularne powitanie, niż się spodziewaliśmy.

Świst silników zagłuszał rozmowy, kiedy wysiadaliśmy z samolotu. Na zewnątrz było ciemno i po wyjściu z oświetlonej kabiny prawie nic nie widziałem. Moje oczy potrzebowały kilku sekund, żeby się przyzwyczaić, a wówczas zobaczyłem setki kolegów z jednostki, którzy ustawili się do powitania. Ruszyliśmy w stronę białych autobusów. Choć dzieliło nas od nich pięćdziesiąt metrów, po drodze uścisnąłem chyba ze sto rąk.

Zawsze staraliśmy się witać samoloty, kiedy zespół bojowy wracał ze zmiany. Uderzyło mnie, że ludzie, którzy mi gratulowali, równie dobrze

mogli być na moim miejscu. Po prostu mieliśmy szczęście znaleźć się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Czułem się wybrańcem losu.

Miałem zaledwie kilka sekund, by wykrzyczeć powitanie albo wymamrotać słowa podziękowania. Byliśmy zmęczeni i nieco przytłoczeni, gdy w końcu dotarliśmy do autobusów.

Na szczęście czekała na nas lodówka pełna piwa i gorąca pizza. Usiadłem w milczeniu na swoim miejscu i złapałem plecak między nogi. Balansując telefonem na kolanie, starałem się jednocześnie jeść i pić piwo. Rozejrzałem się po autobusie. Wszyscy wgapieni w wyświetlacze telefonów czytali wiadomości. Mniej więcej dwadzieścia godzin temu prezydent Obama zwrócił się do narodu z przemówieniem po śmierci bin Ladena.

Dopiero teraz wszystko zaczynało do mnie docierać. Właściwie to była całkiem klawa misja – jedna z tych, o których czytałem jako dzieciak na Alasce. Tworzyliśmy historię.

Gdy tylko w mojej głowie pojawiły się te myśli, szybko je zagłuszyłem. W chwili gdy zaczynasz wierzyć w swoją własną wielkość, jesteś zgubiony.

Po powrocie nawet nie wchodziłem do jednostki. Nasz sprzęt i broń zostały zabezpieczone i zamknięte. Nie było potrzeby wszystkiego wypakowywać, a my na szczęście dostaliśmy parę dni wolnego. Wrzuciłem plecak z cywilnymi rzeczami do samochodu i ruszyłem do domu. Nie chciało mi się iść z chłopakami do baru, żeby świętować, myślałem tylko o ciszy i spokoju. Powitanie na lotnisku zapewniło mi wystarczająco wiele emocji.

W drodze do domu zobaczyłem neon restauracji drive-in Taco Bell. Wracając ze zmiany, zwykle zatrzymywałem się w Niemczech na meksykańską przekąskę. Stanąłem samochodem w kolejce, żeby zamówić dwa chrupiące taco, fasolowe burrito i średnią pepsi.

Jedzenie podał mi przez okienko dzieciak w wieku szkoły średniej. Zjechałem na parking i wyciągnąłem taco. Rozłożywszy sobie papier na kolanach, polałem ostrym sosem zimną, świeżą sałatę.

Z radia leciała muzyka country. Przegryzając taco, próbowałem doszukać się jakiegoś sensu w ostatnich wydarzeniach. Kilka dni wcześniej wmuszałem w siebie żarcie z wojskowej stołówki i starałem się nie myśleć o czekającej nas misji, a teraz jadłem posiłek na parkingu w Taco Bell i ciągle nie miałem ochoty dopuszczać do siebie tego tematu.

Potrzebowałem kilku dni rozluźnienia.

Zanim opuściliśmy Bagram, żartowaliśmy, że powinniśmy wziąć urlop. W tej chwili reszta mojego zespołu przeprowadzała ćwiczenia z abordażu przy wirginijskim wybrzeżu. Dowództwo wynajęło statek pasażerski i wypełniło go statystami. To było wielkie, kosztowne przedsięwzięcie, ale w teorii wyglądało dużo ciekawiej niż w praktyce. Wspinając się po burcie wśród wysokich fal, człowiek marzył tylko o tym, by wreszcie wyjść z mroźnej wody.

Dojadłem burrito, zgniotłem papier w kulkę i wrzuciłem ją do torby. Upiłem jeszcze ostatni łyk pepsi, po czym zapaliłem silnik, żeby wrócić na trasę. W domu, zanim się całkiem zrelaksowałem, rozpakowałem rzeczy i wziąłem długi prysznic.

Nadal jednak nie potrafiłem się wyciszyć. Przespałem ostatnie dziewiętnaście godzin. Telewizor był włączony, więc zacząłem skakać po kanałach. Na każdym programie informacyjnym mówili coś o naszej operacji, choć większość informacji była czystą spekulacją.

Twierdzili, że wdaliśmy się w czterdziestominutową strzelaninę.

Że nieprzyjaciel otworzył ogień, kiedy znajdowaliśmy się poza murami rezydencji.

Podobno bin Laden był uzbrojony i próbował się bronić, zanim zginął.

No i oczywiście w ostatnich sekundach życia miał dość czasu, żeby spojrzeć nam głęboko w oczy i zrozumieć, że przyszli po niego Amerykanie.

W telewizji nasza misja przypominała słaby film akcji. Z początku mnie to śmieszyło.

Wtedy jednak zaczęli pokazywać zdjęcia. Największa tajemnica ostatnich tygodni zalewała media. Zobaczyłem wrak śmigłowca. Ładunki zniszczyły kadłub, ale tylna część ogona z wirnikiem na skutek eksplozji oderwała się i spadła na ziemię za murem.

Agencja Reutersa w jakiś sposób dotarła do fotografii zabitych. Na ekranie pojawiały się zdjęcia braci al-Kuwaiti, w tym Abrara, którego zastrzeliliśmy z Willem przez drzwi domku dla gości. Następnie pokazali zdjęcie miejsca, gdzie zginął bin Laden. Na dywanie widniała plama zaschniętej krwi.

Nie potrafiłem tego zrozumieć.

Nie mogłem pogodzić się z faktem, że media pokazują te fotografie w czasie najwyższej oglądalności antenowej. Nagle zniknęła granica między pracą a domem. Zawsze dobrze sobie radziłem z mentalnym blokowaniem „pracy", którą wykonywałem za oceanem. Kiedy byłem w domu, chciałem po prostu być w domu – i nigdzie indziej. Widok zdjęć sprawił, że zmieszały się dwie części mojego życia. Szczerze mówiąc, nie mieściło mi się to w głowie.

Tej nocy nie spałem zbyt dobrze. Musiałem łyknąć parę Ambienów, bez tabletek chyba nie zmrużyłbym oka.

Przez dwa dni unikałem telefonów od rodziny i znajomych. Moja komórka nie milkła nawet na chwilę. Rodzina pytała, czy byłem

zaangażowany w operację. Rodzice wiedzieli, że wyjechałem, ale nie mieli pojęcia dokąd.

Przed wyjazdem zadzwoniłem do nich i powiedziałem, że na szkoleniu nie będę mieć dostępu do telefonu. Zawsze starałem się zdradzać jak najmniej. Zwykle wysyłałem siostrom przypadkowe wiadomości, że je kocham. Nie traktowały ich jako ostrzeżenia, kiedy jednak rozpętała się burza w mediach, zrozumiały, że coś się stało.

Dzień po powrocie wynosiłem śmieci, kiedy nagle podeszła do mnie sąsiadka i mocno mnie przytuliła. Wiedziała, że jestem SEALsem, i zauważyła, że zniknąłem na wiele dni.

– Czasami człowiek nawet się nie domyśla, jak zarabiają na chleb jego sąsiedzi – powiedziała z uśmiechem, po czym wróciła do domu.

Podobnie było ze wszystkimi moimi kumplami. Jeden z nich prawie na progu musiał zmieniać dziecku pieluchę.

– Ledwo wszedłem do domu, a ona podaje mi dzieciaka – opowiadał, gdy spotkaliśmy się w pracy. – Przed chwilą zastrzeliłem bin Ladena, mówię. Mogę się napić piwa?

Inny gość spędził następny poranek na koszeniu zarośniętego trawnika. Mimo że media traktowały nas jak bohaterów, w domach byliśmy zwykłymi mężami.

Gdy dwa dni później oficjalnie wróciliśmy do pracy, Jay zwołał nas na spotkanie w tej samej sali konferencyjnej, w której dowiedzieliśmy się o misji. Na poziomie dowodzenia pojawiły się obawy związane z przeciekami.

– Najważniejsze, żeby unikać mediów – rzucił Jay – więc starajcie się nie wychylać.

Zatkało mnie. Przez całe tygodnie dbaliśmy o to, żeby nikt nie dowiedział się o akcji. Z Waszyngtonu przeciekały wszelkie dostępne informacje, ale to my wysłuchiwaliśmy kazań. Mieliśmy wrażenie, że to tylko kwestia czasu, kiedy w wiadomościach pojawią się nasze nazwiska. Dopiero co zabiliśmy najniebezpieczniejszego terrorystę świata i ostatnia rzecz, jakiej każdy z nas potrzebował, to rozgłos. Chcieliśmy wycofać się w cień i wrócić do pracy.

– Dobra, skoro mamy to z głowy, zapoznajcie się z harmonogramem. – ciągnął Jay. – Dostaliście tydzień wolnego.

– Ale nie taki prawdziwy tydzień? – parsknął Walt.

Kilku chłopaków zaśmiało się cicho.

– Okej, to kiedy zacznie się cała szopka? – zapytałem.

– Agencja przyjedzie za kilka dni – odparł Jay. – Wizytę planuje też sekretarz obrony. Przekażemy wam szczegóły, jak sami je poznamy. Miłego wypoczynku.

Tym razem ja też się zaśmiałem.

– Odpuścicie. Każdy chce doświadczyć odrobiny magii – powiedział Tom, kiedy wychodziliśmy z sali konferencyjnej.

Tylko że ta misja wcale nie była szczególnie trudna ani skomplikowana.

Tygodnie, a nawet miesiące po śmierci bin Ladena wciąż pojawiały się nowe szczegóły, które kierowały na nas światło reflektorów. Z tego powodu obawialiśmy się o swoje bezpieczeństwo. Większość z nas zainwestowała w domowe systemy alarmowe.

Część chłopaków głośno mówiła o swoich obawach podczas spotkań, które odbywały się z tygodniową regularnością.

– A jeśli nasze nazwiska wycieką do mediów? – zapytałem.

ABC News puściło idiotyczny reportaż o tym, jak rozpoznać SEALsa. Dziennikarz o nazwisku Chris Cuomo twierdził, że SEALs, który zastrzelił

bin Ladena, był prawdopodobnie sprawnym fizycznie, białym mężczyzną w wieku około trzydziestu lat, z brodą i długimi włosami. Następnie Cuomo zrobił to, co wszyscy dziennikarze przed nim – znalazł SEALsa, który zgodził się na wywiad, w tym przypadku założyciela DEVGRU, Richarda Marcinko.

– Są szczupli w pasie, z nogami jak u gazeli i rozbudowanymi górnymi partiami ciała. Prawie wszyscy mają też blokadę psychiczną: „nie zawiodę” – opowiadał Marcinko.

Kolejne charakterystyczne cechy: dłonie zrogowaciałe od strzelania, blizny po odłamkach z poprzednich operacji i wielkie ego.

– Krótko mówiąc, są jak patologiczni egoiści, którzy tworzą razem muzykę. Uczą się polegać na zespole. Gdy są znudzeni, współzawodniczą, żeby pokonywać kolejne granice. W innym wypadku pakują się w kłopoty – ciągnął Marcinko.

Ze śmiechu prawie pospadaliśmy z krzeseł. Wiedziałem, że ten człowiek był założycielem DEVGRU, ale wydawał się absolutnie oderwany od rzeczywistości współczesnych sił specjalnych. Nie znałem ani jednego SEALsa, który pasowałby do opisu. Już dawno wyrośliśmy z egoizmu. W społeczności sił specjalnych nie było takiego żołnierza sił lądowych ani marynarki, piechoty morskiej ani lotnictwa, który odpowiadałby profilowi. Nie tak wyglądał nasz etos. Byliśmy graczami drużynowymi, którzy zawsze starają się robić to, co najlepsze.

Ale tym razem nie spotkaliśmy się, by omawiać przecieki i problemy bezpieczeństwa.

– Zachowajcie to dla siebie, bo nikt jeszcze o tym nie wie – powiedział Jay. – Jutro w Kentucky zobaczycie się z prezydentem.

Ponieważ szopka rozkręciła się na całego, wiedzieliśmy, że w końcu nastąpi ten dzień.

– Lecimy po cywilnemu, do powitania przebierzemy się w mundury na miejscu.

Zwolnili nas do domów. Kiedy szedłem do samochodu, zapiszczał mój telefon.

Wiadomość od siostry:

„Podobno jedziecie jutro do prezydenta. Nie zakładaj krótkich spodenek, bo zorientują się po twoich gazelich nogach, że jesteś SEALsem”.

To tyle, jeśli chodzi o bezpieczeństwo operacyjne.

Następnego ranka lecieliśmy najstarszym C-130, jakiego kiedykolwiek widziałem. Był świeżo pomalowany, dzięki czemu z zewnątrz nie prezentował się tak źle, wystarczyło jednak wejść na pokład, by zobaczyć wyposażenie wyblakłe od zużycia.

Wchodziliśmy po rampie w nie najlepszych humorach. Zwykle podróżowaliśmy dużo nowszymi C-130 lub C-17.

– A co z naszym statusem gwiazd rocka? – rzucił Charlie, wciskając się na odchylane pomarańczowe krzesełko. – Chyba skończyło się nasze piętnaście minut sławy.

Dopiero plakietka przy drzwiach powiedziała nam całą prawdę – lecieliśmy na pokładzie jednego z MC-130E Combat Talonów, które brały udział w operacji „Orli szpon”.

Okazało się, że szef załogi znalazł tę maszynę zakonserwowaną i przekonał generała Air Force, by pozwolił ją odrestaurować i przywrócić do służby. W jakimś sensie pasowało, że lecieliśmy do Kentucky na spotkanie z prezydentem właśnie w tym samolocie. Miał bogatą przeszłość i chyba było go stać na jeszcze jeden historyczny lot.

Z lotniska pojechaliśmy bocznymi drogami do siedziby 160. Pułku Lotniczego Operacji Specjalnych, gdzie stacjonował Teddy i personel lotniczy. Prezydent Obama zaplanował na późniejszą godzinę spotkanie z tysiącami żołnierzy ze 101. Dywizji Powietrznodesantowej.

Zapędzili nas do wielkiej sali konferencyjnej, żebyśmy czekali. Wzdłuż ściany ciągnął się stół pełen wielkich kanapek, chipsów i napojów.

– Chyba awansowaliśmy w hierarchii – powiedziałem. – To jest dużo lepsze od zimnego kurczaka. Myślicie, że każą nam za to płacić?

Na stole przy wejściu leżała oprawiona flaga – jedna z tych, które zabraliśmy na robotę. Goście z zespołu podpisywali się z tyłu ramy, żeby sprezentować flagę prezydentowi.

– Po co się na tym podpisujemy? – zapytałem Toma. Jay i Mike mieli spotkanie z szychami z samej góry, więc jak zwykle to Tom ich zastępował.

– Bo robią to wszyscy, którzy brali udział w szturmie – wyjaśnił.

– Ale po co? – nie dawałem za wygraną. Chciałem usłyszeć jakiś rozsądny argument.

– Żeby przekazać ją prezydentowi – rzucił Tom, zmęczony moim nagabywaniem.

– Przez ile rąk będzie musiała przejść, zanim do niego trafi? I czy przypadkiem nie organizują wycieczek po Białym Domu?

Jedyna rzecz, która się jeszcze nie wydała, to nasze nazwiska.

Podszedłem do grupki chłopaków.

– Hej, wy też się na tym podpisujecie?

Okazało się, że większość już złożyła swój autograf.

– Wpisz byle jakie nazwisko i tyle – zasugerował Charlie. – Jak tak zrobiłem.

Znowu musieliśmy czekać, choć jeszcze przed chwilą nas poganiali, ale w końcu weszliśmy do audytorium, by spotkać się z prezydentem. Agenci z Secret Service sprawdzali nas wykrywaczem metalu. Gdy nadeszła moja kolej, wykrywacz zapiszczał przy kieszeni spodni. Dorzuciłem swój nóż do rosnącej sterty żelastwa.

W pokoju znajdowało się niewielkie podium, przed którym stało kilka rzędów krzeseł.

Walt usiadł obok mnie.

– Wolałbym teraz marznąć w wodzie na ćwiczeniach abordażu – rzucił.

Obama pojawił się w ciemnym garniturze, białej koszuli i błękitnym krawacie. U jego boku stał wiceprezydent Joe Biden, ubrany w niebieską koszulę i czerwony krawat. Prezydent przez parę minut przemawiał do nas z podium. W uznaniu zasług wręczył nam najwyższe odznaczenie, jakie można przyznać jednostce – Presidential Unit Citation[30].

Nie pamiętam zbyt dokładnie jego słów, ale brzmiały jak z podręcznika pisania przemówień:

„Jesteście tym, co najlepsze w Ameryce”.

„Stanowicie symbol tego kraju”.

„Dziękuję wam w imieniu wszystkich obywateli Stanów Zjednoczonych”.

„Dobra robota”.

Po przemówieniu pozowaliśmy do zdjęć. Biden wciąż rzucał dowcipami, których nikt nie rozumiał. Wydawał się w porządku, choć przypominał mi pijanego wujka z bożonarodzeniowej kolacji. Obama miał wygłosić przemówienie do dwóch tysięcy żołnierzy ze 101. Dywizji Powietrznodesantowej, ale zanim wyszedł, zaprosił zespół do swojej rezydencji na piwo.

– Jakiej rezydencji? – zapytałem później.

– Nie mam pojęcia – odparł Walt. – Do jego domu. Znaczy, Białego Domu. Chyba.

– Byłoby fajnie. Nie mam nic przeciwko odwiedzeniu jego rezydencji.

Walt uśmiechnął się z przekąsem.

Kiedy autobus zabierał nas na lotnisko, Obama zwracał się do wiwatujących żołnierzy:

– Pozbawiliśmy ich głowy – mówił – i w końcu ostatecznie zwyciężymy. Nasza strategia okazała się skuteczna, a najlepszym na to dowodem niech będzie fakt, że wreszcie wymierzyliśmy sprawiedliwość Osamie bin Ladenowi.

Po tym wyjeździe sytuacja powoli się unormowała. Znów obowiązywał zwyczajowy tryb zajęć – kilka tygodni zmiany, a następnie tydzień w domu. Jak dawniej, pędziliśmy w pociągu, który nie zatrzymywał się na żadnej stacji.

Nikt nie zadzwonił z Białego Domu w sprawie obiecanego piwka. Pamiętam, że kilka miesięcy później wspomniałem o tym Waltowi, gdy wracaliśmy ze strzelnicy.

– No i jak tam, słyszałeś coś o tym piwie? – zapytałem.

Na twarz Walta powrócił złośliwy uśmieszek.

– Serio uwierzyłeś w te pierdoły? – parsknął. – Założę się, że głosowałeś też na zmiany[31]. Naiwniak.

Epilog

Niespełna rok po operacji „Włócznia Neptuna” wyskoczyłem z pędzącego pociągu.

Przez ponad dekadę poświęcałem się dla pracy i kraju. Przez długie okresy nie miałem kontaktu z rodziną i przyjaciółmi, nie wracałem na święta, a całe moje ciało było narażone na urazy, które odcisnęły na nim trwałe piętno. W tym czasie służyłem z najlepszymi ludźmi Ameryki i zaprzyjaźniłem się z grupą facetów, których nazywam braćmi. Od czasu pierwszej zmiany w Navy SEALs i ataków z 11 września 2001 roku marzyłem, żeby wziąć udział w misji ujęcia lub zabicia Osamy bin Ladena, i ostatecznie miałem szczęście odegrać w niej swoją rolę. Czas, by ktoś zajął moje miejsce.

Tylko nieliczni mogą dziś powiedzieć, że spędzili całą karierę wojskową w SEALsach. Od dnia, w którym ukończyłem kurs BUD/S, przeszedłem do SEAL Team Five, a później do DEVGRU. Nigdy nie wykonywałem pracy na stanowisku pozaoperacyjnym; przez ponad dekadę nie miałem kiedy złapać oddechu – rok po roku brałem udział w stałym cyklu zmian bojowych. Po odsłużeniu swojego czasu w roli dowódcy zespołu zostałem zgłoszony na instruktora w Green Teamie i na inne stanowiska niebojowe

w jednostce. Wszystkie one znajdowały się daleko od pola walki, ale – szczerze mówiąc – chyba potrzebowałem odpoczynku. Wiedziałem, że dzięki niemu ze zdwojoną determinacją wrócę do działania. Jak w przypadku wszystkich chłopaków z jednostki na skutek pracowitych wyjazdów ucierpiało jednak moje życie prywatne. Doszedłem do wniosku, że nadeszła właściwa pora, by postawić je na pierwszym miejscu. Choć nie chciałem opuszczać jednostki, musiałem wreszcie zrobić krok naprzód i zakończyć karierę w SEALsach.

Przed odejściem spotkałem się z dowódcą – tym samym, który powitał nas po powrocie ze szturmu na rezydencję bin Ladena i który obecnie zajmował stanowisko p.o. dowódcy DEVGRU. Wiedziałem, że właśnie on, człowiek cieszący się naszym szacunkiem, najlepiej rozumie stres, w jakim nieustannie żyliśmy. Spotkałem się z nim w jego biurze na kilka dni przed zaplanowanym opuszczeniem jednostki.

– Co możemy zrobić, żebyś z nami został? – zapytał.

Schlebiało mi, że chciał mnie zatrzymać, ale spojrzałem mu w oczy i z pokorą pokręciłem głową.

– Najwyższy czas, żebym ruszył naprzód – powiedziałem.

Choć dręczyło mnie poniekąd poczucie winy, że porzucam swoich braci bez wsparcia, pogodziłem się z decyzją. Cały czas pojawiali się wśród nas nowi goście prosto z Green Teamu, wyszkoleni i gotowi do walki. Ja byłem zmęczony i chciałem spróbować czegoś nowego.

Mimo to dziwnie było żegnać się z Waltem, Charliem, Steve’em i Tomem. Ciągle jesteśmy przyjaciółmi, a do dnia, w którym to piszę, cała czwórka nadal służy w jednostce. Mając na uwadze ich bezpieczeństwo, nie będę wspominać, czym się teraz zajmują, ale wszyscy bez wyjątku poświęcają życie i czas dla dobra kraju.

Phil odzyskał pełną sprawność w postrzelonej nodze. Pozostaje jednym z moich najlepszych przyjaciół, a jego zapał do żartów nie zmalał ani odrobinę. Po odniesieniu rany on także opuścił marynarkę.

Kiedy odszedłem, w pierwszej kolejności zająłem się między innymi tą książką. Decyzja, by ją napisać, nie przyszła mi łatwo. Nikt z dowództwa nie poświęcał zbyt wielkiej uwagi rozgłosowi, jaki zyskała nasza misja; my z początku przyglądaliśmy się medialnej burzy z rozbawieniem, które jednak szybko przerodziło się w strach, bo z różnych źródeł wyciekały informacje. Szczyciliśmy się tym, że byliśmy cichymi profesjonalistami, ale z każdym kolejnym reportażem miałem coraz większą ochotę, by rozwiać wszelkie niejasności.

Aż do tej pory nie powstał żaden rzetelny reportaż na temat operacji, w której zginął bin Laden – nawet te, które rzekomo czerpały informacje z wewnętrznych źródeł, były pełne nieścisłości. Czułem, że ktoś powinien w końcu opowiedzieć prawdziwą historię. Dla mnie ta historia jest istotniejsza od samego szturmu i skupia się na ludziach, którzy świadomie narażają się na niebezpieczeństwo i poświęcają wszystko dla swojej pracy. To właśnie ich historia powinna być opowiadana – i to tak dokładnie, jak to tylko możliwe.

Od 1 maja 2011 roku wszyscy – od prezydenta Obamy aż po admirała McRavena – udzielali wywiadów na temat operacji. Skoro głównodowodzący sił zbrojnych jest gotowy do zdradzania takich tajemnic, ja także nie widzę przeciwwskazań.

Oczywiście nasza misja stała się argumentem w politycznym wyścigu dwóch partii o stołek w Białym Domu. Dla dwudziestu czterech mężczyzn, którzy tamtej nocy lecieli w śmigłowcach, polityka nie miała znaczenia. Tym zajmują się decydenci z Waszyngtonu, którzy oglądali nasze działania na monitorach z bezpiecznej odległości tysięcy kilometrów.

Kiedy wchodziliśmy do śmigłowców w Dżalalabadzie, nie zaprzątaliśmy sobie głów polityką. Nie zrozumcie mnie źle – nie chodzi o to, że byliśmy jej nieświadomi. Zdawaliśmy sobie sprawę, jak będą wyglądać skutki naszych działań, ale co za różnica, czy rozkaz wydał republikanin czy demokrata? Ten fakt nie zmienił moich zapatrywań politycznych.

Jeszcze raz chcę podkreślić, że w tej książce nie chodzi o mnie. Od początku starałem się przedstawić prawdziwą historię szturmu i ukazać poświęcenie SEALsów z jednostki. Wykorzystałem fakty z własnego życia tylko po to, by opisać, co czuje człowiek, który należy do tak wyjątkowej jednostki. Ja sam nie jestem wyjątkowy i liczę, że moje doświadczenia zostaną odczytane jak wspólne doświadczenia ludzi, z którymi służyłem i na których się wzorowałem. To właśnie oni są najlepsi na świecie i zrobili dla tego kraju więcej, niż ktokolwiek będzie w stanie zrozumieć.

Jeśli chodzi o poległych SEALsów – ich ofiara nie poszła na darmo. Niektórych straciliśmy w Iraku i Afganistanie, inni zginęli podczas przygotowań do walki. Wszyscy są bliscy naszym sercom i wiedzą, że polegli za sprawę większą od nich samych. Tacy jak oni każdego dnia poświęcają swoje życie, choć doskonale zdają sobie sprawę z ryzyka.

Chciałbym w tym miejscu wezwać każdą osobę, która przeczyta tę książkę, żeby także dała coś od siebie. Zadawano mi już pytanie: „Ale co mogę zrobić, jeśli nie jestem SEALsem i prawdopodobnie nie mógłbym być, nawet gdybym chciał?”

Do głowy przychodzą mi dwie odpowiedzi.

Po pierwsze, nie żyjcie wyłącznie dla siebie, lecz dla większej sprawy. Przysłużcie się swojej rodzinie, społeczeństwu, krajowi.

Po drugie, o ile to możliwe, przeznaczcie część swojego czasu lub pieniędzy na rzecz organizacji wspierających weteranów i wojowników,

którzy ucierpieli w walkach. Ci ludzie wykonali już swoją robotę, a teraz potrzebują naszej pomocy.

Zamierzam przekazać większość zysków z tej książki na cele dobroczynne. Oto kilka organizacji, które polecam:

All in All The Time Foundation
(allinallthetime.org)

The Navy SEAL Foundation
(navysealfoundation.org)

Tip of the Spear Foundation
(tipofthespearfoundation.org)

Wszystkie wymienione organizacje wspierają rodziny poległych SEALsów. Poświęćcie drobną część tego, co oni poświęcili dla Was, i pomóżcie mi zebrać miliony dolarów.

Opowiadam tę historię i przekazuję na cele charytatywne większość zysków, aby uhonorować ludzi, których straciliśmy od 11 września 2001 roku. To oni są prawdziwymi bohaterami.

THOMAS C. FOUKE
Lieutenant[32]
Porucznik

THOMAS RATZLAFF
SOCS
Special Warfare Operator Senior Chief Petty Officer (E-8)
– starszy chorąży marynarki

STEPHEN MILLS
SOC
Special Warfare Operator Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman

ROBERT REEVES
SOCS

Special Warfare Operator Senior Chief Petty Officer (E-8)
– starszy chorąży marynarki

NICHOLAS SPEHAR
SO2
Special Warfare Operator Petty Officer Second Class (E-5)
– bosmanmat

NICHOLAS NULL
EODC
Explosive Ordnance Disposal Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman, specjalista EOD

MICHAEL STRANGE
CTR1
Communications Intelligence Collection Operator
Petty Officer First Class (E-6)
– bosman, specjalista ds. pozyskiwania informacji wywiadowczych

MATTHEW MASON
SOC
Special Warfare Operator Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman

LOUIS LANGLAIS
SOCM
Special Warfare Operator Master Chief Petty Officer (E-9)
– starszy chorąży sztabowy marynarki

KRAIG VICKERS
EODCS
Explosive Ordnance Disposal Senior Chief Petty Officer (E-8)
– starszy chorąży marynarki, specjalista EOD

KEVIN HOUSTON
SOC
Special Warfare Operator Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman

JONAS KELSALL
LCDR (SEAL)
Komandor porucznik (SEAL)

JON TUMILSON
SO1
Special Warfare Operator Petty Officer First Class (E-6)
– bosman

JOHN FAAS
SOC
Special Warfare Operator Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman

JOHN DOUANGDARA
MA1
Master-At-Arms Petty Officer First Class (E-6)
– bosman, specjalista ds. ochrony instalacji lądowych i morskich

JESSE PITTMAN
SO1
Special Warfare Operator Petty Officer First Class (E-6)
– bosman

JASON WORKMAN
SO1
Special Warfare Operator Petty Officer First Class (E-6)
– bosman

JARED DAY
IT1
Information Systems Technician Petty Officer First Class (E-6)
– bosman, specjalista systemów informatycznych

HEATH ROBINSON
SOCS
Special Warfare Operator Senior Chief Petty Officer (E-8)
– starszy chorąży marynarki

DARRIK BENSON
SOCS
Special Warfare Operator Senior Chief Petty Officer (E-8)
– starszy chorąży marynarki

CHRISTOPHER CAMPBELL
SO1

Special Warfare Operator Petty Officer First Class (E-6)
– bosman

CALEB A. NELSON
SO1
Special Warfare Operator Petty Officer First Class (E-6)
– bosman

BRIAN BILL
SOC
Special Warfare Operator Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman

AARON VAUGHN
SO1
Special Warfare Operator Petty Officer First Class (E-6)
– bosman

TYLER STIMSON
SO1
Special Warfare Operator Petty Officer First Class (E-6)
– bosman

RONALD WOODLE
SO2
Special Warfare Operator Petty Officer Second Class (E-5)
– bosmanmat

DENIS CHRISTOPHER MIRANDA
SO3
Special Warfare Operator Petty Officer Third Class (E-4)
– starszy mat

DAVID BLAKE MCLENDON
CTRCS
Communications Intelligence Collection Operator
Master Chief Petty Officer (E-9)
– starszy chorąży sztabowy marynarki, specjalista ds. pozyskiwania informacji wywiadowczych

COLLIN THOMAS
SOC
Special Warfare Operator Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman

BRENDAN JOHN LOONEY
LT
Porucznik

ADAM OLIN SMITH
SO2
Special Warfare Operator Petty Officer Second Class (E-5)
– bosmanmat

ADAM BROWN
SOC

Special Warfare Operator Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman

TYLER J. TRAHAN
EOD2
Explosive Ordnance Disposal Petty Officer Second Class (E-5)
– bosmanmat, specjalista EOD

RYAN JOB
SO2
Special Warfare Operator Petty Officer Second Class (E-5)
– bosmanmat

ERIC F. SHELLENBERGER
SOC
Special Warfare Operator Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman

ANDREW J. LIGHTNER
PR1
Aircrew Survival Equipmentman Petty Officer First Class (E-6)
– bosman, specjalista ds. sprzętu ratowniczego załóg lotniczych

THOMAS J. VALENTINE
SOCS
Special Warfare Operator Senior Chief (E-8)
– starszy chorąży marynarki

SHAPOOR „ALEX” GHANE
SO2
Special Warfare Operator Petty Officer Second Class (E-5)
– bosmanmat

NATHAN HARDY
SOC
Special Warfare Operator Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman

MICHAEL KOCH
SOC
Special Warfare Operator Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman

LUIS SOUFFRONT
EOD1
Explosive Ordnance Disposal Petty Officer First Class (E-6)
– bosman, specjalista EOD

LANCE M. VACCARO
SOC
Special Warfare Operator Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman

JOSHUA THOMAS HARRIS
SO1

Special Warfare Operator Petty Officer First Class (E-6)
– bosman

JOHN W. MARCUM
SOCS
Special Warfare Operator Senior Chief Petty Officer (E-8)
– starszy chorąży marynarki

JASON R. FREIWALD
SOC (Select)
Special Warfare Operator Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman

STEVEN P. DAUGHERTY
CTT1
Cryptologic Technician, Technical Petty Officer First Class (E-6)
– bosman, specjalista ds. kryptografii

ROBERT R. MCRILL
MC1
Mass Communication Specialist Petty Officer First Class (E-6)
– bosman, specjalista ds. związanych z mediami

MARK T. CARTER
SOC
Special Warfare Operator Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman

JOSEPH CLARK SCHWEDLER
SO2
Special Warfare Operator Petty Officer Second Class (E-5)
– bosmanmat

JASON D. LEWIS
SO1
Special Warfare Operator Petty Officer First Class (E-6)
– bosman

FREDDIE PORTER
SN
Seaman (E-3)
– mat

MICHAEL A. MONSOOR
MA2 (SEAL)
Master-At-Arms Petty Officer Secon Class (E-5)
– bosmanmat, specjalista ds. ochrony instalacji lądowych i morskich

MARC A. LEE
AO2 (SEAL)
Aviation Ordnanceman Petty Officer Secon Class (E-5)
– bosmanmat, specjalista uzbrojenia lotniczego

SHANE E. PATTON
MM2 (SEAL)

Machinist’s Mate Petty Officer Secon Class (E-5)
– bosmanmat, specjalista ds. silników i maszyn

MICHAEL P. MURPHY
LT (SEAL)
Porucznik (SEAL)

MICHAEL M. MCGREEVY, JR.
LT (SEAL)
Porucznik (SEAL)

MATTHEW G. AXELSON
STG2 (SEAL)
Sonar Technician, Surface Petty Officer Secon Class (E-5)
– bosmanmat, specjalista ds. hydroakustyki

JEFFREY S. TAYLOR
HM1 (SEAL)
Hospital Corpsman Petty Officer First Class (E-6)
– bosman, sanitariusz

JEFFREY A. LUCAS
ET1 (SEAL)
Electronics Technician Petty Officer First Class (E-6)
– bosman, specjalista systemów elektronicznych

JAMES SUH
QM2 (SEAL)

Quartermaster Petty Officer Second Class (E-5)
– bosmanmat, specjalista ds. logistyki

JACQUES J. FONTAN
FCC (SEAL)
Fire Controlman Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman, specjalista bezpieczeństwa pożarowego

ERIK S. KRISTENSEN
LCDR (SEAL)
Komandor porucznik (SEAL)

DANNY P. DIETZ
GM2 (SEAL)
Gunner’s Mate Petty Officer Second Class (E-5)
– bosmanmat, specjalista ds. uzbrojenia

DANIEL R. HEALY
ITCS (SEAL)
Information Systems Technician Senior Chief
Petty Officer (E-8)
– starszy chorąży marynarki, specjalista systemów informatycznych

THEODORE D. FITZHENRY
HMCS (SEAL)
Hospital Corpsman Senior Chief Petty Officer (E-8)
– starszy chorąży marynarki, sanitariusz

ROBERT P. VETTER
BM1 (SWCC)
Boatswain’s Mate Petty Officer First Class (E-6)
– bosman (jednostka łodzi specjalnych)

BRIAN OUELLETTE
BM1 (SWCC)
Boatswain’s Mate Petty Officer First Class (E-6)
– bosman (jednostka łodzi specjalnych)

THOMAS E. RETZER
IC1 (SEAL)
Interior Communications Administrator Petty Officer First Class (E-6)
– bosman, specjalista systemów łączności pokładowej

MARIO MAESTAS
IT2 (SEAL)
Information Systems Technician Petty Officer Second Class (E-5)
– bosmanmat, specjalista systemów informatycznych

DAVID M. TAPPER
PH1 (SEAL)
Photographers Mate Petty Officer First Class (E-6)
– bosman, fotograf

PETER G. OSWALD
CDR (SEAL)
Komandor (SEAL)

NEIL C. ROBERTS
ABH1 (SEAL)
Aviation Boatswain’s, Aircraft Handling Mate Petty Officer First Class (E-6)
– bosman, specjalista ds. zabezpieczenia sprzętu lotniczego

MATTHEW J. BOURGEOIS
HMC (SEAL)
Hospital Corpsman Chief Petty Officer (E-7)
– starszy bosman, sanitariusz

JERRY „BUCK” POPE
ENS (SEAL)
Podporucznik (SEAL)

Lista udostępniona przez Navy SEAL Foundation

Od Autora

Kiedy byłem w gimnazjum, nauczyciel polecił nam napisać rozprawkę na temat ulubionej książki. Spoglądając na tytuły książek ustawionych na regale, zwróciłem uwagę na *Men in Green Faces* – powieść byłego komandosa Navy SEALs, Gene'a Wentza, o przebiegu działań w delcie Mekongu. Obfitująca w barwne sceny zasadzek i strzelanin, koncentrowała się na poszukiwaniach zbuntowanego pułkownika z Wietnamu Północnego.

Już od pierwszych stron wiedziałem, że w przyszłości sam chcę być żołnierzem tej jednostki, a z każdą kolejną kartką coraz bardziej pragnąłem sprawdzić, czy się tam nadaję.

Później, podczas ćwiczeń w spienionych falach Pacyfiku, spotkałem ludzi takich jak ja – ludzi napędzanych dążeniem do perfekcji; ludzi, którzy najbardziej bali się porażki. Miałem zaszczyt współpracować z nimi, a ich postawa inspirowała mnie każdego dnia. Dziś mogę powiedzieć, że służba u ich boku uczyniła mnie lepszym człowiekiem.

Po trzynastu kolejnych zmianach bojowych wojna dla mnie dobiegła końca. *Niełatwy dzień* stanowi epilog pewnego etapu mojego życia. Przed

odejściem ze służby chciałem wyjaśnić, co motywowało nas podczas morderczych kursów Navy SEALs i dekady nieustannych walk.

Nie jesteśmy żadnymi superbohaterami, ale łączy nas poświęcenie dla wyższej sprawy. To właśnie więzy bliskości i braterstwa pomagają nam z własnej woli, ramię w ramię stawiać czoło wszelkim zagrożeniom.

Ta książka to historia grupy ludzi, z którymi w latach 1998—2012 miałem szczęście służyć w Navy SEALs. Aby chronić tożsamość zaangażowanych osób, zmieniłem ich imiona i nazwiska, łącznie ze swoim własnym, a także pominąłem informacje związane z toczącymi się obecnie misjami.

Dołożyłem wszelkich starań, by nie ujawniać szczegółów taktyki i procedur stosowanych przez zespoły Navy SEALs podczas codziennych zmagań z terrorystami i bojownikami całego świata. To nie jest książka dla osób, które chcą poznać tajemnice naszej działalności.

Choć jej celem jest rzetelne opisanie autentycznych wydarzeń, nie zdradzam żadnych poufnych informacji – jest to dla mnie bardzo ważne. Z pomocą mojego wydawcy zatrudniłem byłego pełnomocnika Operacji Specjalnych, który dokładnie przejrzał maszynopis i upewnił się, że nie zawiera on żadnych zakazanych tematów ani szczegółów mogących zagrozić bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych. Jestem przekonany, że zespół, który razem ze mną pracował nad tą książką, pomógł mi ochronić i wesprzeć interesy naszego państwa.

Jeśli wspominam o innych organizacjach lub agencjach rządowych i militarnych, robię to w celu zachowania ciągłości zdarzeń i tylko wtedy, gdy inna publikacja bądź oficjalny dokument rządowy mówią o ich udziale w opisywanych misjach.

Czasem jednak odnoszę się do publicznie rozpoznawalnych osób z wysokiego dowództwa wojskowego, używając ich prawdziwych nazwisk,

ale robię to, gdy jestem pewien, że nie zagrażam w żaden sposób bezpieczeństwu operacyjnemu. W innych przypadkach celowo zdepersonalizowałem uczestników tej historii, by zapewnić im anonimowość, nie opisuję również technologii, które mogłyby zagrozić Stanom Zjednoczonym.

Materiały zawarte w tej książce są dostępne w innych odtajnionych źródłach i publikacjach. Moim celem nie jest potwierdzanie ani zaprzeczanie – oficjalne bądź nieoficjalne – zdarzeniom i działaniom osób, organizacji rządowych czy agencji. Pragnąc chronić charakter poszczególnych misji, w niektórych miejscach uogólniam daty i kolejność zdarzeń. Żadne z tych zabiegów nie mają jednak wpływu na adekwatność moich wspomnień ani opis biegu wypadków. Działania, na których się skupiam, były już omawiane przez liczne ogólnodostępne publikacje, zarówno cywilne, jak i rządowe. Spis tych publikacji można znaleźć w źródłach poświadczających.

Zdarzenia opisane w *Niełatwym dniu* opierają się na moich osobistych wspomnieniach, a rozmowy odtwarzałem z pamięci. Wojna bywa chaotyczna, ale robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby w przytaczane przeze mnie historie nie wkradły się przekłamania. Za wszelkie nieścisłości odpowiedzialność ponoszę tylko ja. Ta książka przedstawia wyłącznie moje osobiste poglądy, które nie muszą być zgodne z poglądami marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, Departamentu Obrony czy kogokolwiek innego.

Pomimo poczynionych przeze mnie starań ochrony bezpieczeństwa narodowego kraju i operacyjnego mężczyzn i kobiet, którzy walczą za nas na całym świecie, wierzę, że *Niełatwy dzień* wiernie przedstawia opisywane wydarzenia, jednocześnie stanowiąc autentyczny portret żołnierzy z zespołów Navy SEALs i ich świadectwo braterstwa. Choć napisane

w pierwszej osobie, moje doświadczenia są uniwersalne. Nie jestem lepszy ani gorszy od nikogo, z kim służyłem. Decyzja o napisaniu książki nie przyszła mi łatwo i jestem pewien, że niektórzy ludzie z naszego środowiska będą na mnie krzywo patrzeć.

Nadszedł czas, aby rozwiać wątpliwości związane z jedną z najważniejszych misji w historii oręża Stanów Zjednoczonych. Niestety, w przekazach medialnych poświęconych atakowi na siedzibę Osamy bin Ladena zanikła świadomość, dlaczego i dzięki komu misja zakończyła się sukcesem. *Niełatwy dzień* tym samym oddaje hołd najbardziej zasłużonym – twórcom zespołowego sukcesu, poczynając od analityczki wywiadu tropiącej Osamę bin Ladena, a na pilotach, którzy przetransportowali nas do Abbottabadu, i żołnierzach odpowiedzialnych za szturm skończywszy. Żadna z tych osób nie była ważniejsza od pozostałych.

Niełatwy dzień to historia o „chłopakach", o ofiarach, które ponosimy, i o poświęceniu niezbędnym, by wykonywać tę brudną robotę; *Niełatwy dzień* to opowieść o braterstwie, które istniało na długo przed moim zaciągiem i będzie istnieć długo po moim odejściu ze służby.

Mam nadzieję, że pewnego dnia jakiś młody chłopak przeczyta tę książkę i w przyszłości zostanie jednym z nas – albo przynajmniej spróbuje poświęcić życie celom większym od niego samego. Jeśli tak się stanie, uznam, że osiągnąłem swój cel.

Mark Owen

22 czerwca 2012
Virginia Beach, Wirginia

Źródła poświadczające

Ackman Dan, *The Cost of Being Osama Bin Laden*, „Forbes Magazine”, 14 września 2001.

Armia Stanów Zjednoczonych, 160. Pułk Lotniczy Operacji Specjalnych. *160th SOAR(A) Green Platoon Train-up program*, zarchiwizowane na podstawie oryginału 31 maja 2008.

Associated Press, *Jimmy Carter: Iran hostage rescue should have worked*, „USA Today”, 17 września 2010.

Bowden Mark, *Helikopter w ogniu*, Mayflay, Warszawa 2011.

Butcher Mike, *Here's the guy who unwittingly live-tweeted the raid on Bin Laden*, „TechCrunch”, 2 maja 2011.

Chalker Dennis, Dockery Kevin, *One Perfect Op: Navy SEAL Special Warfare Teams*, Avon Books, Nowy Jork 2002.

Eggen Dan, *Bin Laden, Most Wanted For Embassy Bombings?*, „The Washington Post", 28 sierpnia 2006.

Encyclopædia Britannica Online, 11 edycja, hasło „Abbottabad" http://en.wikisource.org/wiki/1911_Encyclopædia_Britannica/Abbottabad

FBI. *FBI Ten Most Wanted Fugitives*, zarchiwizowane na podstawie oryginału 3 stycznia 2008 roku.

Fury Dalton, *Kill Bin Laden*, St. Martin's Press, Nowy Jork 2008.

Goldman Adam, Apuzzo Matt, *Phone call by Kuwaiti courier led to bin Laden*, „PilotOnline", 3 maja 2011.

Graham Maureen, Graham Troy, *Navy SEAL killed in Afghanistan was part of Lynch rescue*, „Philadelphia Inquirer", 22 sierpnia 2003.

Hagerman Bart (red.), *USA Airborne: 50th Anniversary*, Turner Publishing Company, Paducah, Kentucky 1990.

Marcinko Richard, *Komandos*, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 2012.

Mayer Jane, *The Dark Side: Inside Story of How the War on Terror Turned Into a War on American Ideals*, Random House, Nowy Jork 2008.

Miller Greg, *CIA flew stealth drones into Pakistan to monitor bin Laden house*, „The Washington Post", 16 maja 2011.

Most wanted terrorists' list released, CNN.com, 10 października 2001.

Murdico Suzanne, *Osama Bin Laden*, Rosen Publishing Group, 2004.

Schmidle Nicholas, *A Reporter At Large. Getting Bin Laden: What happened that night in Abbottabad*, „The New Yorker”, 8 sierpnia 2011.

Smith Michael, *Killer Elite: The Inside Story of America's Most Secret Special Operations Team*, St. Martin's Press, Nowy Jork 2007.

O autorach

MARK OWEN – były członek jednostki United States Naval Special Warfare Development Group (DEVGRU), znanej powszechnie jako SEAL Team Six. Podczas wielu lat służby w Navy SEAL wziął udział w setkach operacji na całym świecie, m.in. w akcji oswobodzenia kapitana Richarda Phillipsa na Oceanie Indyjskim w 2009 roku. Owen pełnił funkcję dowódcy zespołu podczas operacji „Włócznia Neptuna" 1 maja 2011 roku w Pakistanie, w której zginął Osama bin Laden. Owen jako jeden z pierwszych wszedł na drugie piętro kryjówki przywódcy terrorystów, gdzie był świadkiem śmierci bin Ladena. Personalia Marka Owena – jak również innych SEALsów wymienionych w książce *Niełatwy dzień* – zostały zmienione ze względów bezpieczeństwa.

KEVIN MAURER – od dziewięciu lat zajmuje się opisywaniem operacji specjalnych. Razem z operatorami Sił Specjalnych przebywał w Afganistanie sześć razy, w 2006 roku spędził miesiąc z jednostką operacji specjalnych we wschodniej Afryce i został przydzielony do sił Stanów Zjednoczonych działających w Iraku i na Haiti. Jest autorem czterech książek, część z nich podejmuje temat operacji specjalnych.

Zdjęcia

Afgańska uzbrojona półciężarówka wojskowa na przełęczy między Bagram a Kunduzem. Z powodu złych warunków pogodowych zimowe miesiące są zwykle spokojniejsze od letnich.

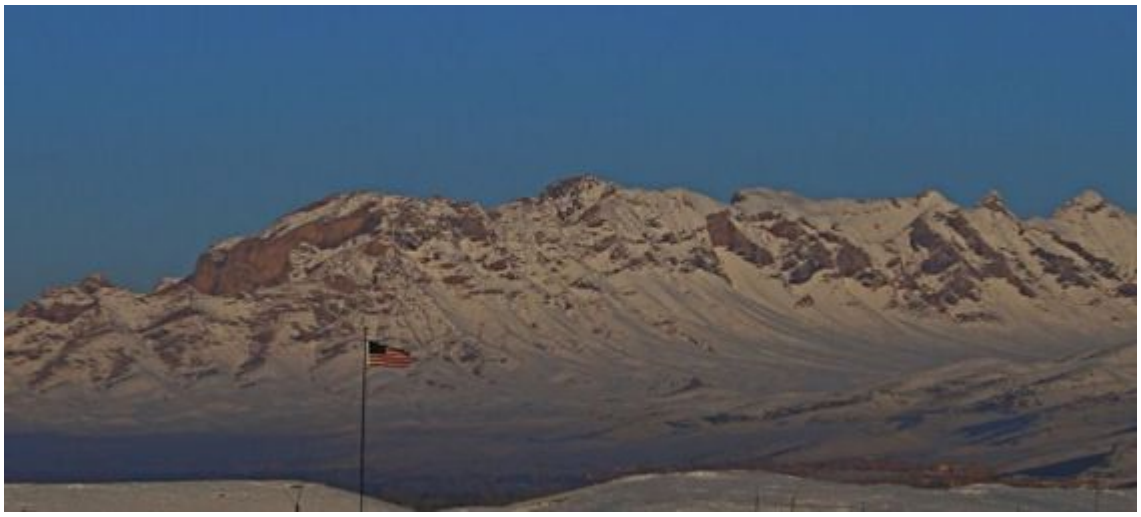

Widok z naszej bazy w centralnym Afganistanie. Podczas służby w tym kraju wielokrotnie zachwycałem się jego naturalnym pięknem.

Pistolet maszynowy Heckler & Koch MP7 kalibru 4,6 mm z tłumikiem dźwięku; mocno zmodyfikowany granatnik M79 kalibru 40 mm, znany także pod nazwą „pirackiego gnata”; karabinek automatyczny Heckler & Koch HK416 kalibru 5,56 mm z lufą o długości 10,5 cala (266 mm) oraz tłumikiem.

Sprzęt szturmowy na czas zmiany w Afganistanie. Widać moje pistolety, karabiny, hełm z noktowizorem i ważącą trzydzieści kilogramów kamizelkę z płytami balistycznymi.

Bardzo lekki hełm balistyczny wyposażony w panoramiczne gogle noktowizyjne z czterema przetwornikami, zapewniającymi znacznie szersze pole widzenia niż klasyczne monokulary czy gogle noktowizyjne. Marker ze światłem podczerwonym jest natomiast niezbędny podczas wszelkich akcji z użyciem śmigłowców i innych środków lotniczych.

Otwarta rampa C-17 na chwilę przed skokiem spadochronowym nad Oceanem Indyjskim podczas akcji oswobodzenia kapitana Phillipsa.

Szkolenie HAHO nad Wielkim Kanionem.

Członkowie DEVGRU schodzący do lądowania podczas szkolenia HAHO.

Członkowie DEVGRU schodzący do lądowania podczas szkolenia HAHO.

Śmigłowiec transportowy CH-47, znany także jako „latający autobus szkolny”.

Widok z tylnej części CH-47. W workach znajdują się liny do szybkich zjazdów.

Śmigłowca CH-47, takiego jak ten, używaliśmy podczas misji w Kunarze.

Śmigłowce MH-6 Little Bird, takie jak te, na których latają Night Stalkerzy podczas operacji w Iraku.

Marsz iracką pustynią do punktu ewakuacji po pracowitej nocy.

Operacja *Włócznia Neptuna*

(1 maja 2011)

Plan zakładał użycie dwóch śmigłowców UH-60 Black Hawk do przetransportowania dwudziestu dwóch SEALsów, sapera i tłumacza CIA z bazy w Dżalalabadzie do rezydencji w Abbottabadzie na terenie Pakistanu. Dwa śmigłowce CH-47, które zabrały zapasowe paliwo i siły szybkiego reagowania złożone z dodatkowych SEALsów, zorganizowały wysunięty punkt tankowania w odległości dziesięciu minut od celu.

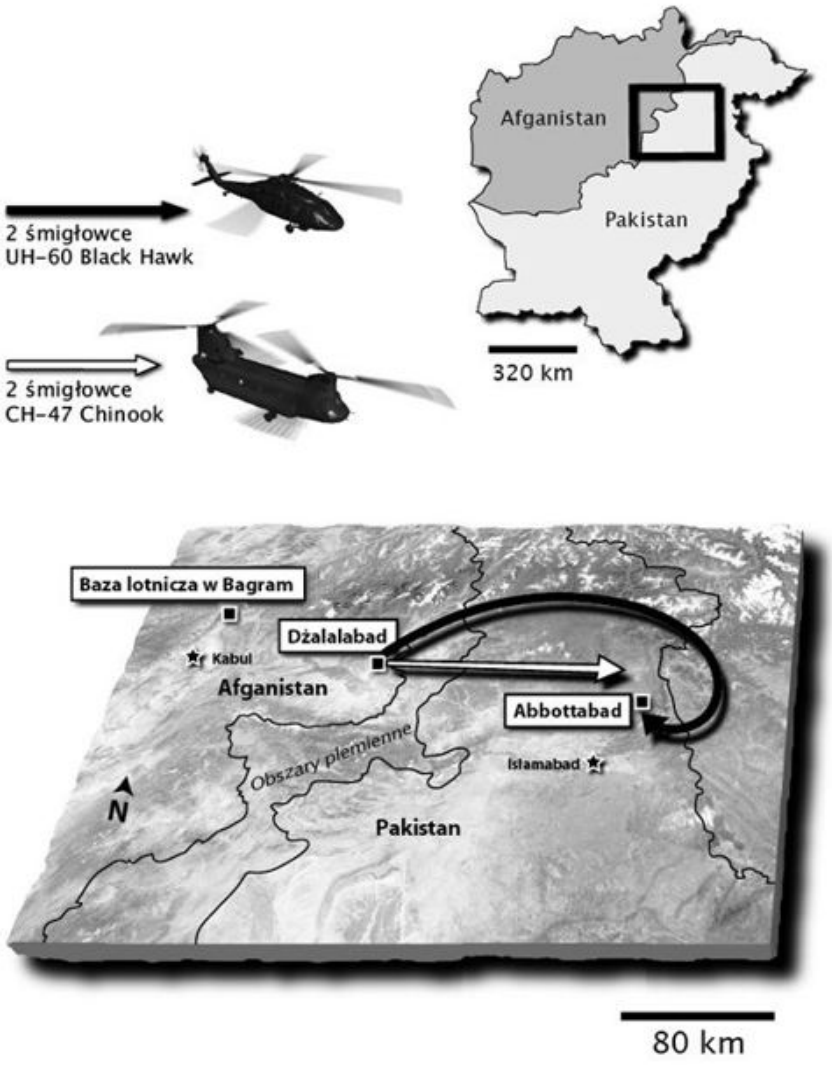
2 śmigłowce
UH-60 Black Hawk
2 śmigłowce
CH-47 Chinook
Afganistan
Pakistan
320 km
Baza lotnicza w Bagram
Dżalalabad
Kabul
Afganistan
Abbottabad
Islamabad
Obszary plemienne
N
Pakistan
80 km

Siedziba Osamy bin Ladena

Rezydencja o powierzchni czterdziestu arów stała przy Kakul Road w dzielnicy klasy średniej miasta Abbottabad. W tej popularnej miejscowości turystycznej znajduje się pakistańska akademia wojskowa. Bin Laden mieszkał na drugim piętrze głównego budynku.

(Mury otaczające rezydencję zakończone były drutem kolczastym.)

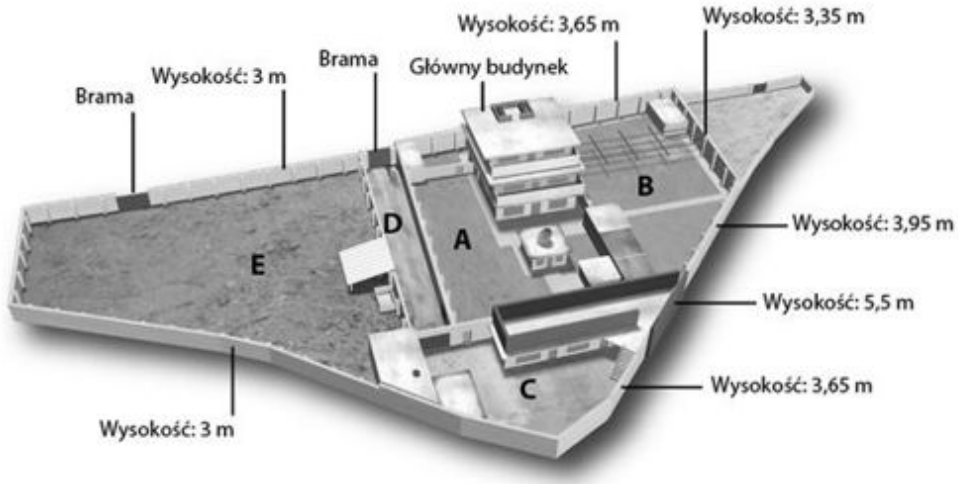

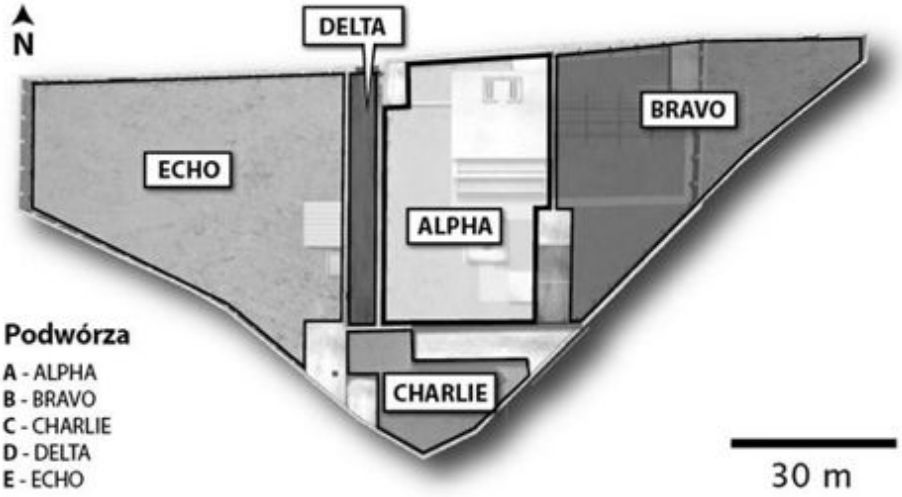

Podwórza

A - ALPHA
B - BRAVO
C - CHARLIE
D - DELTA
E - ECHO

Operacja *Włócznia Neptuna*: podejście

1. Śmigłowiec z zespołem Chalk One na pokładzie próbował zawisnąć nad podwórzem A, ale nie był w stanie utrzymać pozycji i rozbił się na podwórzu E.

2. Chalk Two wylądował za murem i rozmieścił na pozycji zespół zabezpieczający złożony z czterech SEALsów, tłumacza i psa wojskowego.

3. Piloci Chalk One zdołali rozbić śmigłowiec na podwórzu E – na zachód od głównego budynku.

4. Piloci Chalk Two widzieli kraksę Chalk One i natychmiast podjęli decyzję o wylądowania za bramą, rezygnując z pierwotnego planu dostarczenia SEALsów na dach głównego budynku za pomocą szybkiej liny.

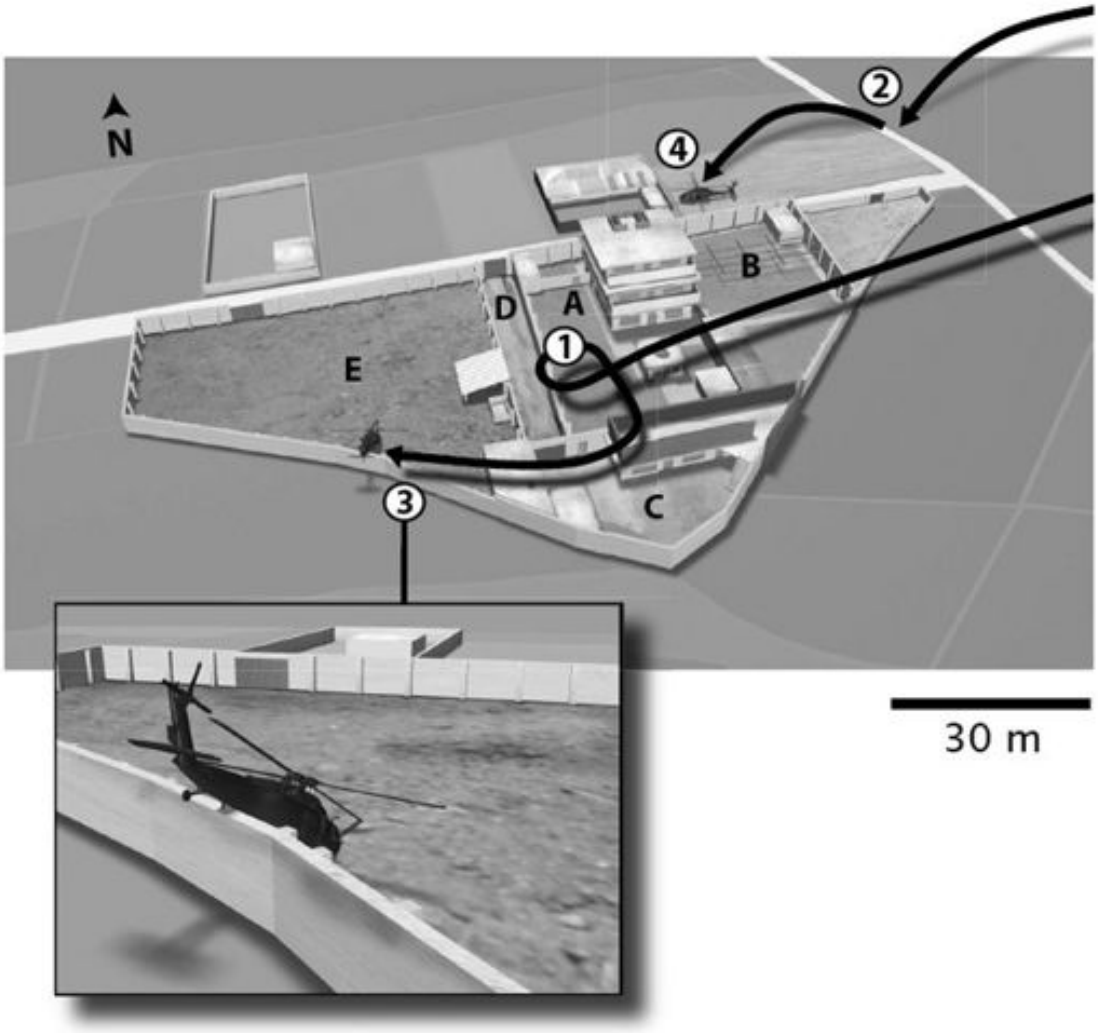
N
1
2
3
4
A
B
C
D
E
30 m

Operacja *Włócznia Neptuna*: szturm

Po kraksie SEALsi z Chalk One szybko ochłonęli i rozpoczęli szturm.

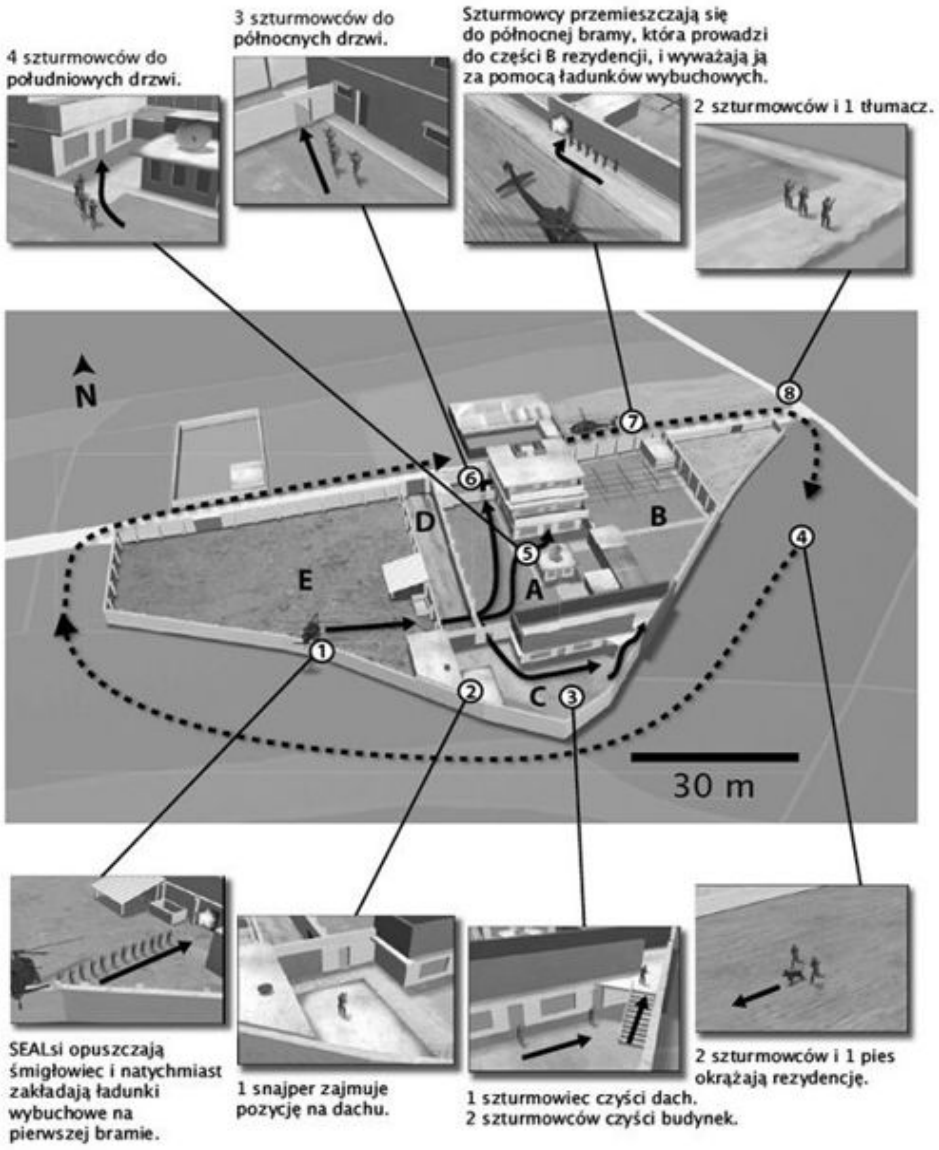

Operacja *Włócznia Neptuna*: główny budynek

1. SEALsi z Chalk Two otwierają bramę za pomocą ładunków wybuchowych, ale na drodze staje im ceglana ściana. Natychmiast przemieszczają się do bramy D.

2. Mike – starszy podoficer Navy SEALs biorący udział w operacji – otwiera główną bramę, wpuszczając operatorów z Chalk Two na teren rezydencji.

3. Po wyczyszczeniu budynku C zespół Owena rusza do głównego budynku, aby wesprzeć pozostałych operatorów.

4. Tom i jego zespół, zablokowani przez metalową furtkę w korytarzu, czyszczą południową część parteru, po czym wychodzą z budynku i ruszają do północnych drzwi.

5. Charlie zakłada ładunek na północne drzwi i czeka na sygnał od Toma.

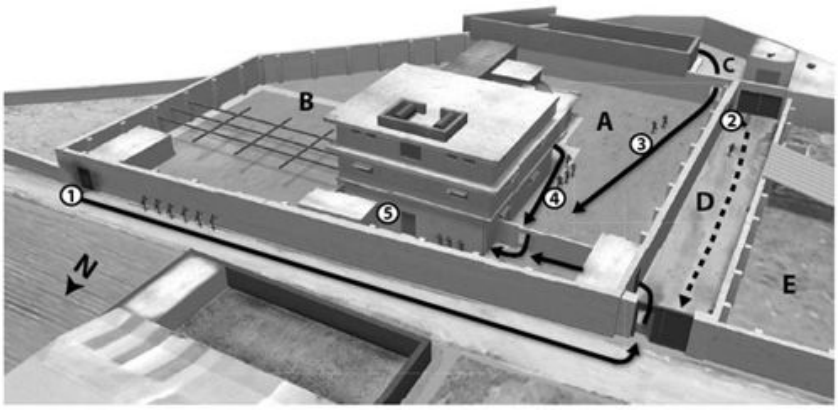
B
A
C
D
E
N

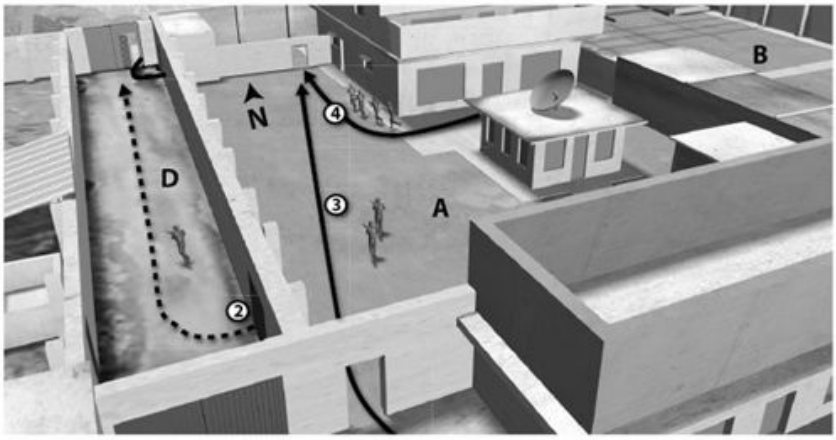
B
N
D
A

Wewnątrz głównego budynku

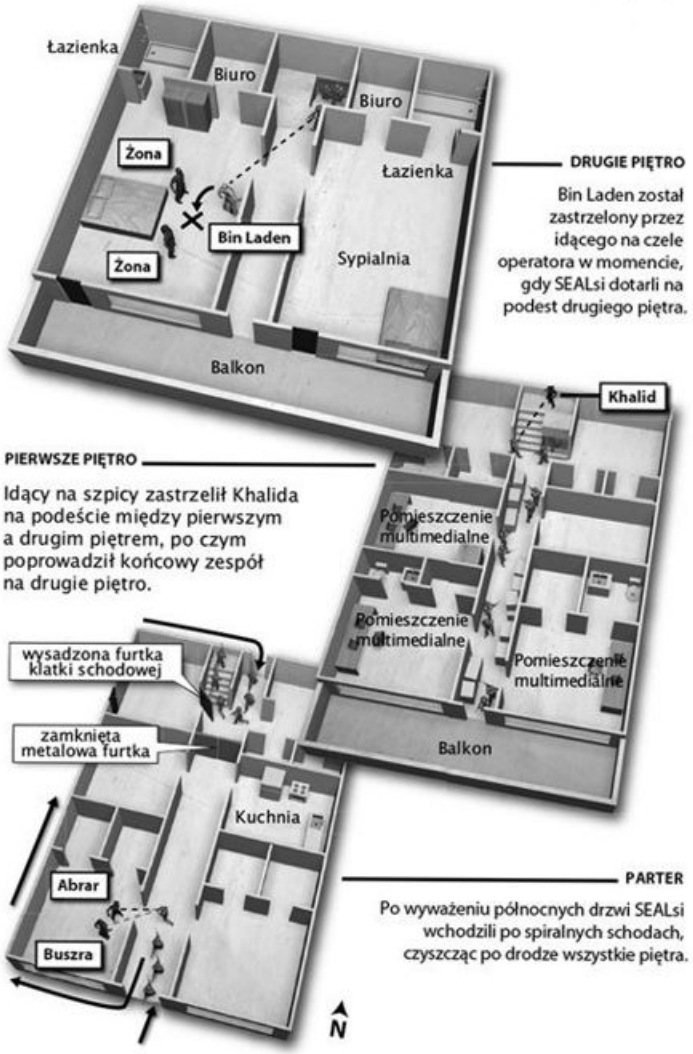

Operacja *Włócznia Neptuna*: ewakuacja

1. SEALsi wynoszą ciało bin Ladena z rezydencji.

2. Transport z Chalk One przechodzi przez pole i dostaje się na pokład Black Hawka.

3. Ponieważ zostały nam dosłownie sekundy, CH-47 otrzymał rozkaz zawrócenia na południe i zrobienia kółka, by uniknąć latających fragmentów wysadzanego Black Hawka.

4. Śmigłowiec wybucha.

5. Transport z Chalk Two i załoga rozbitego Black Hawka wchodzą na pokład CH-47 z siłami szybkiego reagowania.

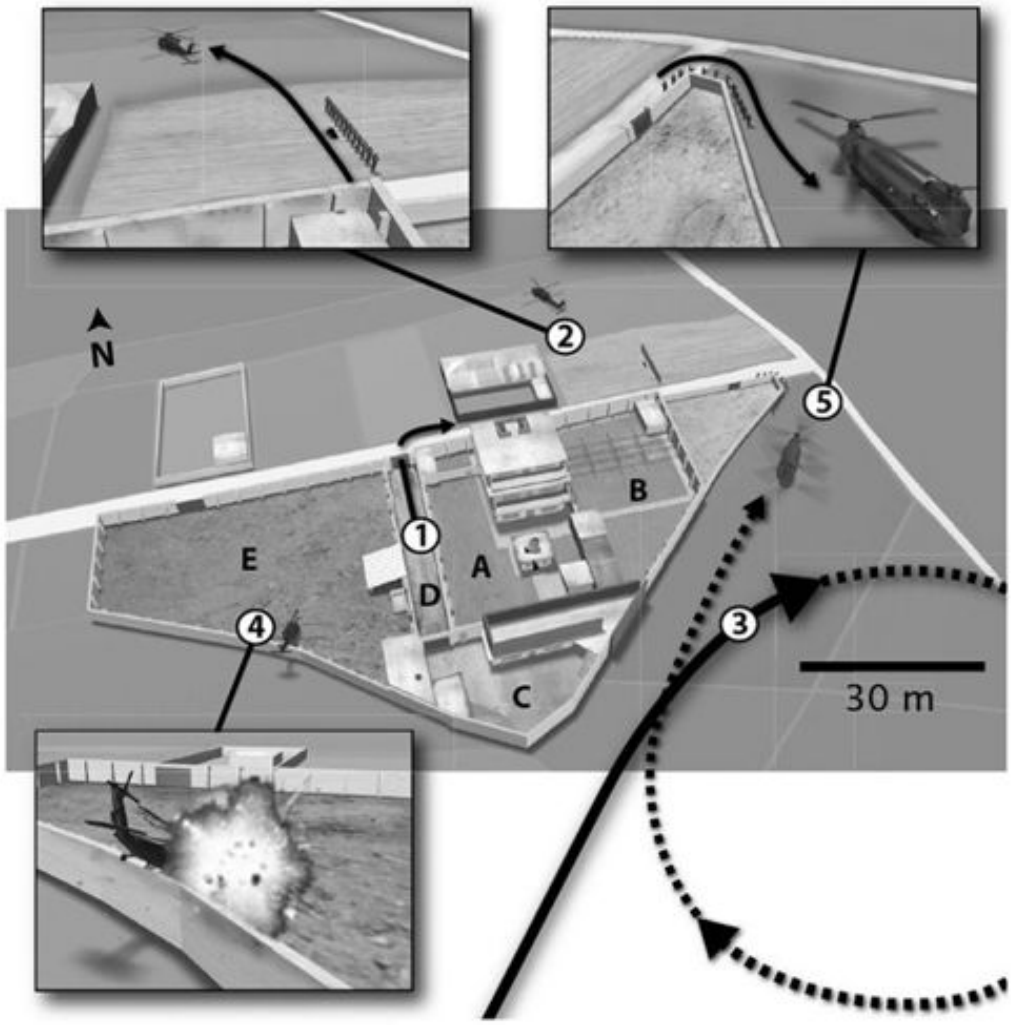
N
A
B
C
D
E
1
2
3
4
5
30 m

Operacja *Włócznia Neptuna*: ewakuacja

1. CH-47 zabiera część SEALsów z rezydencji i leci prosto do bazy w Dżalalabadzie.

2. Black Hawk kieruje się na północ, do wysuniętego punktu tankowania.

3. Black Hawk i CH-47 wracają prosto do Dżalalabadu.

4. C-130 zabiera zespół szturmowy z Dżalalabadu do Bagram.

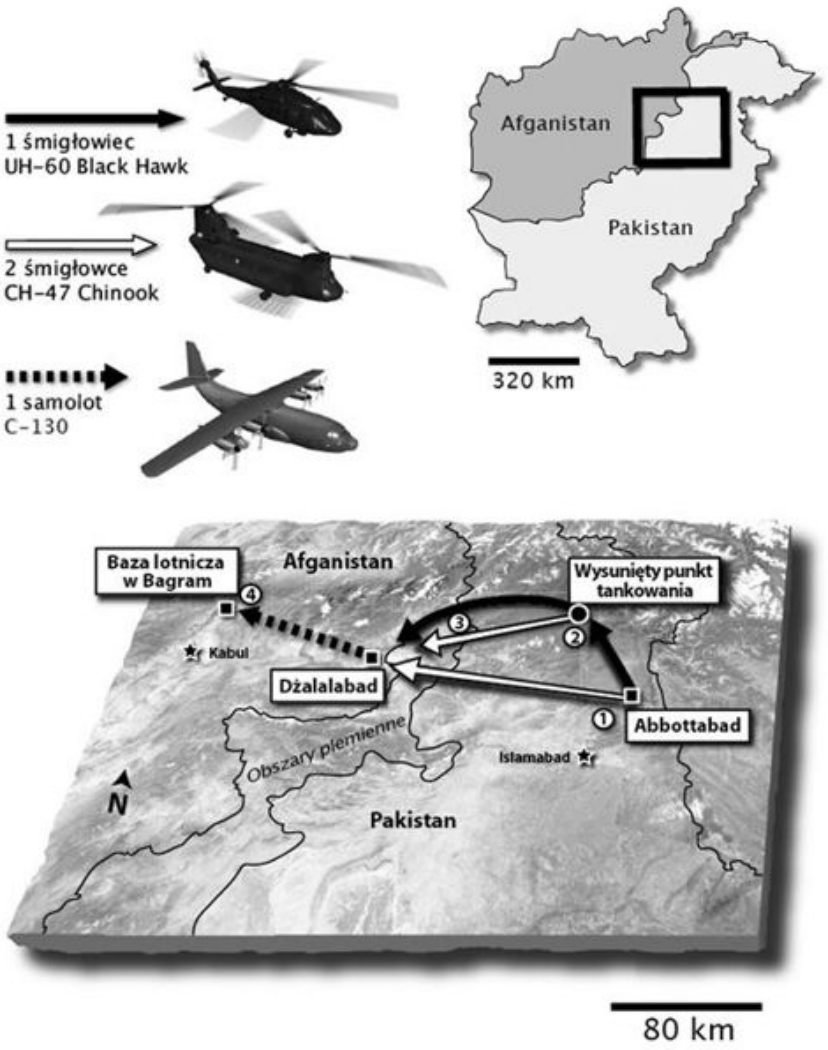
1 śmigłowiec
UH-60 Black Hawk
2 śmigłowce
CH-47 Chinook
1 samolot
C-130
Afganistan
Pakistan
320 km
Baza lotnicza w Bagram
Afganistan
Wysunięty punkt tankowania
Kabul
Dżalalabad
Abbottabad
Islamabad
Obszary plemienne
N
Pakistan
80 km

Przypisy

[1] Kryptonim „chalk” (pol. „kreda”) na oznaczenie transportu powietrznego pochodzi z czasów drugiej wojny światowej, podczas której spadochroniarze aliantów oznaczali numer swojego transportu kredą na plecach (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] DEVGRU (Naval Special Warfare Development Group) – jednostka kontrterrorystyczna Navy SEALs, znana także jako SEAL Team Six.

[3] Operator – powszechnie używane, także w Polsce, określenie członka zespołu bojowego lub realizacyjnego jednostki specjalnej wojska, policji lub innych służb mundurowych.

[4] Green Team – jeden z zespołów tworzących SEAL Team Six, w którym kandydaci przechodzą selekcję.

[5] Naval Special Warfare Development Group – Grupa Rozwojowa Morskich Działań Specjalnych.

[6] BUD/S (Basic Underwater Demolition/SEAL) – Podstawowy Kurs Niszczenia Podwodnego/SEAL.

[7] W nomenklaturze zachodniej stosowane w Polsce pojęcie antyterroryzmu dotyczy ogółu przedsięwzięć związanych z przeciwdziałaniem terroryzmowi. Kontrterroryzm to jego fizyczne zwalczanie.

[8] CQB (Close Quarters Battle) – walka w zamkniętych pomieszczeniach.

[9] Trident – odznaka Navy SEALs, złożona z kotwicy, pistoletu, trójzębu i orła.

[10] JSOC (Joint Special Operations Command) – Połączone Dowództwo Sił Specjalnych.

[11] Termin „drugi pokład" pochodzi z języka marynarki wojennej. Na okręcie najniższą kastą była załoga z maszynowni (ostatniego pokładu), dla której szczytem marzeń było awansowanie na wyższy pokład.

[12] OTB (Over-The-Beach) – działania przeprowadzane na wybrzeżu.

[13] SERE (Survival, Evasion, Resistance and Escape) – kurs, który uczy przetrwania w sytuacji oddzielenia żołnierza od jednostki i/lub schwytania przez siły nieprzyjaciela.

[14] Night Stalkers – w polskim tłumaczeniu Nocni Łowcy, jednostka ta jest jednak znana głównie pod swoją oryginalną nazwą.

[15] Piekielny tydzień (z ang. „Hell Week") – najbardziej wymagająca część kursu BUD/S, podczas której kandydaci do Navy SEAL są poddawani wyczerpującym ćwiczeniom fizycznym w ekstremalnych warunkach.

[16] HAHO (High Altitude, High Opening) – skoki spadochronowe z dużych wysokości, podczas których otwarcie spadochronu następuje zaraz po opuszczeniu samolotu, również na bardzo dużej wysokości.

[17] HSAC (High-Speed Assault Craft) – szybka łódź szturmowa.

[18] Członek załogi samolotu transportowego odpowiedzialny za ładunek oraz ludzi przewożonych w jego ładowni, wydaje polecenia skoczkom.

[19] RHIB (Rigid-Hulled Inflatable Boat) – łódź nazywana czasem w języku polskim łodzią hybrydową.

[20] CAS (Close Air Support) – bezpośrednie wsparcie lotnicze.

[21] FOB (Forward Operating Base) – wysunięta baza operacyjna.

[22] SHOT (shooting, hunting and outdoors trade show) – amerykańskie targi zbrojeniowe, obecnie organizowane w Las Vegas.

[23] SSE (Sensitive Site Exploitation) – działania polegające na gromadzeniu informacji w miejscu przeprowadzenia operacji.

[24] JOC (Joint Operations Center) – Połączone Centrum Operacji.

[25] Skiff (z ang. SCIF – Sensitive Compartmented Information Facility) – pomieszczenie odpowiednio zabezpieczone przed infiltracją, służące do organizowania ściśle tajnych spotkań i narad.

[26] Krótkotrwale działający lek nasenny.

[27] FRIES (Fast Rope Insertion/Extraction System) – system desantu i ewakuacji przy pomocy szybkiej liny.

[28] Zbiornik na wodę o pojemności 2–3 litrów, zaopatrzony w rurkę z ustnikiem, pozwalającą na picie bez użycia rąk. Może być przenoszony w kamizelce lub plecaku.

[29] US Navy Seabees („Pszczoły Morskie”) – bataliony inżynieryjne marynarski wojennej Stanów Zjednoczonych.

[30] Presidential Unit Citation – Wyróżnienie Prezydenta USA.

[31] Nawiązanie do kampanii prezydenckiej Baracka Obamy z 2008 roku pod nazwą „Vote for Change” – „Głosuj na zmiany”.

[32] Stopnie wojskowe w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych oznaczone są wedle tabel zaszeregowania (paygrade). Marynarze oraz podoficerowie mogą otrzymać stopnie z zakresu od marynarza (E-1) do starszego chorążego sztabowego marynarki (E-9). W przypadku stopni podoficerskich, od starszego mata (E-4) do starszego chorążego sztabowego marynarki (E-9) oprócz stopnia podaje się również specjalność, danego marynarza, w której szkolił się od momentu wstąpienia do US Navy. Stąd skomplikowane oznaczenia z kodami literowymi, z których każdy odpowiada innej specjalności wojskowej. Oznaczenia specjalności wojskowej SOxx (Special Warfare Operator) oznaczające specjalność morskiego komandosa zostały wprowadzone dopiero 6 maja 2006 roku.

This file was downloaded from Z-Library project

Your gateway to knowledge and culture. Accessible for everyone.

z-library.sk z-lib.gs z-lib.fm go-to-library.sk

Official Telegram channel

Z-Access

https://wikipedia.org/wiki/Z-Library